tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 49 (1352)
1-7.12.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

KAROLINA OPOLSKA
PRZYPISY NAPISAŁA JEJ AI

JAK WYBIERANO ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKIEGO W 1995 ROKU

DANIEL OBAJTEK
WIELKI SPONSOR Z PCIMIA

ONKOLOGIA PRZYSZŁOŚCI
JAK NOWE TERAPIE RATUJĄ ŻYCIE

PRZEMOC DOMOWA

MAMY TO ZA ŚCIANĄ

TOMASZ SCHUCHARDT

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
49 >
9 771509 311508

eprasa.pl/740ab42c27

CAŁA POLSKA CZYTA PAŁKIEWICZA

WARTOŚCIOWY PREZENT ŚWIĄTECZNY

zakup w www.swiatksiazki.pl

eprasa.pl 740ab42e27

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Lem o nas

„Sytuacja, kiedy ludzie, którzy robili rzeczy podłe, wciąż zajmują się działalnością publiczną, jest rzeczą głęboko demoralizującą". Jakże słowa Stanisława Lema z 2002 r. pasują do tego, co mamy w dzisiejszej Polsce. Wspominam o tym, bo nasza fundacja wyda niebawem kolejną książkę. Będzie to wybór felietonów Lema, które pisał dla „Przeglądu" w latach 2002-2006.

Ten gigant myśli był wizjonerem i jednocześnie realistą. Gdy w grudniu 2001 r. wręczaliśmy mu w krakowskim domu naszą redakcyjną Busolę, powiedział: „Regularnie czytam wasz tygodnik i go cenię. »Przegląd« jest pismem odważnym, wiarygodnym, pisze w nim wielu znakomitych autorów". Z taką oceną, i to od mistrza Lema, można iść przez dziennikarskie życie z podniesioną głową. Pamiętając przy tym, że tygodnik jest tyle wart, co jego ostatnie numery. I dlatego trzeba zejść na ziemię. Niestety.

Na ziemię trudno zejść Karolowi Nawrockiemu. Od wyborów minęło kilka miesięcy, a do niego jeszcze nie dotarło, że w kraju są nie tylko jego wyborcy. Oszołomiony wygraną uwierzył, że stało się to za jakąś nadzwyczajną przyczyną i że jest w nim niezwykła moc. I może wszystko. Za tak infantylne złudzenia każdego polityka czeka twarde zderzenie z glebą. I choć dla Nawrockiego to nie pierwszyzna, nie będzie tak jak na kibolskich ustawkach. Polityka to zajęcie wielokrotnie złożone, skomplikowane i perfidne. A w funkcji, którą przyszło mu pełnić, czekają na niego konkurenci, głównie zresztą z jego własnego obozu. Szybko zbliża się też moment zderzenia z prezesem Kaczyńskim. Zobaczymy, co Nawrocki zrobi z ustawą o zakazie hodowli zwierząt futerkowych. Przeciw są przecież konfederaci i Radio Maryja. A Kaczyński jest bardzo za.

Większym problemem, i to takim, który niebawem się rozwinie, jest wojna, jaką Nawrocki wypowiedział tej Polsce, która głosowała na Trzaskowskiego. Nie dość, że nie ma dla niej nic poza połajankami, to jeszcze prowokuje kolejne konflikty. A kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Może Nawrocki pomyśli, jak kończy Daniel-wszystko-mogę-Obajtek. Albo poczyta jako historyk o ludziach wyciągniętych na ważne funkcje z kapelusza, którzy kończyli w niesławie lub w zapomnieniu.

Na koniec mam lepszą wiadomość. Szykujemy prenumeratę „Przeglądu" za pośrednictwem paczkomatów InPost. Proszę popatrzeć, gdzie jest najbliższy paczkomat, i pomyśleć, czy nie byłaby to najlepsza forma zakupu naszego tygodnika.

Dostawa gwarantowana w każdy poniedziałek. Szczegółowe informacje pod numerami telefonów: 22 635 84 10 wew. 118, 111 lub 101 i adresem e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 740ab42e27

W NUMERZE

KRAJ

8 **Autor? Ćwierćinteligencja!**
Wpadki z AI w branży medialnej

12 **Wielki sponsor z Pcimia**
Jak Obajtek trwonił pieniądze Orlenu

24 **Każdy element jest ważny**
Kongres Zdrowie Polaków wywiera wpływ

30 **35 lat religii w szkole – polemika**
Głos nauczycieli religii

KULTURA

18 **Hejt za rolę, czyli gdy fikcja boli za bardzo**

18 **Granie potwora zostawia ślad**
– rozmowa z Tomaszem Schuchardtem

22 **Zło nie umiera nigdy**
Przemoc domowa polską normą

49 **Uczony nie może być posłuszny**
Benedyktyńska praca prof. Orackiego

50 **Śląsk to nie region, to światopogląd**
– rozmowa ze Zbigniewem Rokitą

54 **Na rozstaju czasu**
Klata w Narodowym z „Termopilami polskimi"

56 **Qulturalia**

66 **Dom dzienny, dom nocny**
Wystawa w Mocaku

MEDIA

26 **„TVP – wielkie rozczarowanie". W sieci wrze**
Dziennikarze komentują

HISTORIA

32 **Jak w 1995 r. wybraliśmy przyszłość**
Kwaśniewski wygrał mimo ataków

36 **Koniec seksualnych chuliganów**
Rewolucja roku 1956

ZAGRANICA

40 **Lewica złożona do trumny**
Przemiany w Ameryce Łacińskiej

43 **Mirafiori do kasacji**
Przemysł motoryzacyjny Włochom odjechał

ZDROWIE

46 **Nowoczesne terapie onkologiczne dostępne dla każdego**
Coraz więcej chorych dostaje szansę

SPORT

58 **Papszun na wydaniu, Legia w kryzysie**
Polacy w europejskich pucharach

OBSERWACJE

60 **Miss Universe**
Królują stroje narodowe

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Lem o nas

27 **Jan Widacki**
Wybór między Jałtą a Monachium

31 **Roman Kurkiewicz**
Cała władza w ręce Karola

39 **Tomasz Jastrun**
Piaskiem w oczy

57 **Wojciech Kuczok**
Uwłasnowolnienia

36
HISTORIA

KONIEC SEKSUALNYCH CHULIGANÓW
Rewolucja roku 1956

54
KULTURA

NA ROZSTAJU CZASU
Klata w Narodowym z „Termopilami polskimi"

60
OBSERWACJE

MISS UNIVERSE
Królują stroje narodowe

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 740ab42e27

Sejmie, zrób coś!

Po stronie prawicy startujących i zgłoszonych było mnóstwo, dzięki temu to oni opanowali większość obwodowych komisji i zasadniczo, zwłaszcza w komisjach na wsiach i w małych miastach, byli poza kontrolą. Jedna rzecz ich różniła od strony demokratycznej – nie walczyli między sobą. Dodatkowo chytrze wystawili kandydata „pozasystemowego", ale zaprawionego w bojach specjalistę od PR. Wróg był jeden i nawet nie próbowali walczyć z Hołownią ani kandydatami lewicy. Po stronie demokratycznej był od początku wściekły atak na samych siebie, a ze strony PO na Hołownię. On właściwie tylko się odgryzał. Jedynym, który nawoływał do opanowania, był Tusk, ale tzw. doły nie chciały go słuchać i nie słuchają do dziś.

Sejmie, zrób coś!

Lewica głównie atakowała Trzaskowskiego i trochę Hołownię oraz PSL (LGBT, aborcja – tak jakby to były najważniejsze tematy wyborów prezydenckich, gdzie chodziło o głosy tej wsi i małych miast). W wyborach prezydenckich obóz demokratyczny nic nie wygrał, a wszystko przegrał. Część lewicy dziarsko przeszła na stronę wroga. Teraz być może przez długie lata nie będzie możliwości realizacji słusznych postulatów dotyczących praw kobiet i praw dla osób LGBT.

Hołownia przez sześć lat uczciwie informował, że wszedł do polityki po to, aby wygrać wybory prezydenckie. To się nie udało, więc z polityki odchodzi i najlepiej będzie, gdy szybko się o nim zapomni.

Dariusz Barczyński

TVP – wielkie rozczarowanie

„Telewizja publiczna" to takie samo po orwellowsku prawdziwe znaczenie jak „Prawo i Sprawiedliwość" czy „Platforma Obywatelska". Należałoby zabrać partyjniactwu możliwość decydowania o telewizji publicznej, a na jej czele powinien stanąć przewodniczący wybierany w wyborach powszechnych przez płatników abonamentu i zależny od wyborców mandatem. Nie kłaniałby się kacykom partyjnym i byłby od nich niezależny.

Józef Brzozowski

SKOŃCZMY Z TYM

Skończmy z tym

Dziękuję Otwartym Klatkom za pomoc, wsparcie i odwagę – tak, odwagę – przy śledztwach. Jestem prawie od początku, czyli od 11 lat, pod waszymi skrzydłami. Bo my, mieszkańcy wsi, żyjemy tu w cieniu fermy norek. A to nie fermy, to obozy zagłady. Tu nie liczy się ani zwierzę, ani człowiek. Liczy się producent zwierząt na futro. Lobby opanowało Radio Maryja, Konfederację i część posłów, pozwalając na okrucieństwo.

Romana Bomba

Oddajcie 100 milionów!

Oddajcie 100 milionów!

Jeśli posłowie odczuwają zdumienie, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby ograniczyć środki finansowe przeznaczane na IPN. Tym bardziej że osiągnięcia tej instytucji są dosyć skromne, nie licząc pompowania kultu „wyklętych". Narracja polskiego IPN totalnie przegrywa z pohukiwaniem ukraińskiego odpowiednika. Przecież to się w głowie nie mieści.

Damian Paweł Strączyk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Podczas meczu między Legią Warszawa a Spartą Praga wywieszony został transparent adresowany do przebywającego w Budapeszcie Zbigniewa Ziobry. Obecny na trybunach prezydent Karol Nawrocki nie skomentował hasła. Warszawa, 27 listopada 2025 r.

FOT. ENTER23

eprasa.pl 740ab42e27

Zadłużenie gospodarstw domowych w Polsce przekroczyło **760 mld zł.**

•

Prokuratura postawiła **zarzuty w sprawie Collegium Humanum** 29 osobom. W tym Jackowi Sutrykowi, prezydentowi Wrocławia, oraz politykom PiS Karolowi Karskiemu i Ryszardowi Czarneckiemu. Dotychczas zarzuty postawiono 78 podejrzanym.

•

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że nie uznając małżeństwa mężczyzn, którzy pobrali się w Berlinie, Polska złamała prawo unijne. Jest to odpowiedź na pytanie Naczelnego Sądu Administracyjnego, który teraz będzie musiał rozstrzygać sprawę.

•

Kard. Grzegorz Ryś został mianowany przez papieża Leona XIV metropolitą krakowskim. Zastąpi abp. Marka Jędraszewskiego, który przechodzi na emeryturę po głębokim skonfliktowaniu księży w archidiecezji.

•

W 69 seminariach duchownych w Polsce (diecezjalnych, zakonnych i misyjnych) przygotowanie do kapłaństwa w tym roku akademickim rozpoczęło 289 mężczyzn. Łącznie we wszystkich rocznikach są 1453 osoby, podczas gdy jeszcze w 2000 r. było 6789 kleryków.

•

Polska kupi od Szwecji trzy okręty podwodne dla Marynarki Wojennej.

•

Prof. Robert Traba z Olsztyna otrzymał Nagrodę Rady Miasta Krakowa im. Stanisława Vincenza za badania nad historią pogranicza Europy Środkowo-Wschodniej i promowanie dialogu między narodami. W jego pracy ważne miejsce zajmują również Warmia i Mazury, od wieków wielokulturowe.

•

Prof. Krystyna Pawłowicz odchodzi z Trybunału Konstytucyjnego i przechodzi w stan spoczynku. Z tego tytułu będzie otrzymywała co miesiąc 30 tys. zł brutto i ok. 10 tys. zł brutto emerytury. Na pożegnanie z Trybunałem dostanie jeszcze 310 tys. zł odprawy i ekwiwalentu za niewykorzystany urlop. Bardzo kosztowne są te pisowskie kadry.

•

Sąd Okręgowy w Warszawie wykreślił z ewidencji partii politycznych Nową Nadzieję, na czele której stoi Sławomir Mentzen. Powodem jest niezłożenie do Państwowej Komisji Wyborczej sprawozdania finansowego za 2024 r.

•

Prawie 5% mieszkań w Polsce nie ma toalety i ludzie żyją w lokalach, które nie nadają się do zamieszkania.

•

Maria Kurowska, posłanka PiS z Podkarpacia, wpływała na decyzje finansowe Funduszu Sprawiedliwości w 2020 r., gdy szefem ministerstwa był Zbigniew Ziobro.

•

Już przed meczem z Holandią na Stadionie Narodowym policja zatrzymała 104 nietrzeźwe osoby, 19 posiadających narkotyki i 5 poszukiwanych.

•

Ponad **930 tys. zarejestrowanych sztuk broni** i **367 tys. osób mających pozwolenie na broń** to statystyczny obraz Polski w 2024 r.

•

1279 kg ważyła największa dynia na świecie, wyhodowana w Wielkiej Brytanii.

PRZEBŁYSKI

Bliźniacy Karnowscy już nie razem

Strzeż się bliźniaka swojego. A przynajmniej bądź czujny i patrz mu na ręce. Bo jak jesteś naiwną gapą, możesz skończyć jak Michał Karnowski z „Sieci". Od konkurentów tego tygodnika, czyli z „Do Rzeczy", dowiadujemy się, że Michał został zwolniony dyscyplinarnie przez brata, Jacka Karnowskiego. Nie zmartwiło to redaktorów Goćka i Gmyza, którzy piszą, że Jacek chciał Michała zagłodzić. Powołują się na słowa samego zainteresowanego, które padły w programie na kanale TAK (Tulicki, Adamczyk, Karnowski). Kanale założonym po odejściu z wPolsce24.

Na zagłodzonych to oni nie wyglądali. Na głodnych sukcesów tak. Oj, będzie tam się działo. Pierwsze paczki z żywnością już trafiły na Foksal.

Przepisali Biblię w areszcie

Do tej uczelni pomysł przepisywania Biblii pasuje jak ulał. Bo i gdzie to zrobić, jak nie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim? A precyzyjniej – w Areszcie Śledczym w Lublinie. Studenci KUL mieli okazję do kontaktu z aresztem. A 80 aresztantów, pewnie dość dla siebie niespodziewanie, zajęło się pracami ręcznymi. Czyli przepisywaniem Biblii i ozdobnymi malunkami. Zajęło im to trzy miesiące. Sukcesem aresztantów pochwalił się oczywiście rektor KUL. Ks. prof. Mirosław Kalinowski docenił dzieło, które po raz pierwszy zostało użyte podczas mszy inaugurującej rok akademicki 2025/2026 w Centrum Studiów KUL dla osadzonych. Może w przyszłości Wydział Prawa na KUL zaproponuje aresztantom przepisanie Kodeksu karnego?

Ojciec Chaberek – nowy Darwin

Jak pod ręką nie ma aresztantów, to uczelnie muszą szukać innych pomysłów. Często tak kompletnie od czapy jak propozycja Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Już sama nazwa konwersatorium, „Wiara i Rozum", zapowiada, że musi być gorąco. A jak jeszcze zaprosi się dominikanina dr. hab. Michała Chaberka, odlot gwarantowany. To gość, który obala teorię Darwina. I ewolucję, bo „ewolucja nie myśli. Nie działa ze względu na cel. Zatem nie stanowi dostatecznej przyczyny powstania nowego gatunku". I tak przez godzinę z hakiem. A swoją drogą, jak się słucha ojca Chaberka, to można zwątpić w ewolucję. W naukę na UAM też.

Wielbłądy w „Gazecie Wyborczej"

Są błędy i są wielbłądy. Tak o wypadkach piłkarzy zwykł mówić bramkarz Jan Tomaszewski. Ciekawe, co by powiedział o serii wpadek „Gazety Wyborczej", która pracuje bez korekty. Skutki można zobaczyć choćby w tym tytule: „Ból brzucha i wzdęcia to mogą być objawy choroba uchyłkowej". Można by machnąć ręką, gdyby nie fakt, że zarząd spółki zarabia krocie, „GW" puchnie od ogłoszeń, a na korektę zabrakło.

A czytelnicy? Muszą się domyślać, co Kali chce napisać. Taki test na inteligencję.

Poradnik

Ból brzucha i wzdęcia to mogą być objawy choroba uchyłkowej

FOT. YOUTUBE (2), ARCHIWUM, KUL

eprasa.pl 740ab42e27

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Konfederacja jest tak mocna w mediach społecznościowych, a Lewica tak słaba?

DR HAB. OLGIERD ANNUSEWICZ,
politolog, Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW

Nie zgodziłbym się, że Lewica jest „supersłaba", bo kampania Magdaleny Biejat pokazała, że jej politycy potrafią być w internecie bardzo silni. Budowanie takiej pozycji wymaga jednak konsekwencji. Konfederacja korzysta dziś z przewagi doświadczenia. Historycznie zawsze była w awangardzie. Od końcówki lat 90. i początku następnej dekady jej środowisko sprawnie adaptowało kolejne kanały komunikacji, takie jak fora dyskusyjne, dzięki czemu jego zasięgi rosły organicznie i później geometrycznie. Na Lewicy tylko Robert Biedroń ma dużą widoczność, lecz dominuje u niego model „life and style", a nie treści programowe. Reszta polityków nie przebija się równie mocno. Lewica może nadrobić tę różnicę tylko intensywną, długofalową pracą, której przez lata brakowało.

DR HAB. WOJCIECH PESZYŃSKI,
politolog, UMK w Toruniu

Konfederacja jest silna, bo działa pragmatycznie i trafia do młodych, także tych, którzy dopiero będą głosować. Mentzen skutecznie buduje przyszłą bazę wyborczą, komunikując się nawet z 15-, 16-latkami i traktując to jako inwestycję. W przeciwieństwie do jego ugrupowania „stara" lewica (jak Nowa Lewica Czarzastego) jest słaba, bo zbyt długo opierała się na mediach tradycyjnych. Lepiej sobie radzi partia Razem, która jak Konfederacja działa na zasadzie ruchu antyestablishmentowego i dzięki mediom społecznościowym omija tradycyjne kanały przekazu, które dla partii protestu nigdy nie były sprzyjające.

DR MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, Uniwersytet SWPS

Prawica jest silna jako partie, także w mediach społecznościowych, podczas gdy Lewica jako struktura partyjna tej siły nie ma. Jej przewagą są raczej pojedyncze osoby o lewicowym profilu, które mają zasięgi i pomysł na treści. Kluczowe jest właśnie to: pomysł i sposób użycia social mediów. Dawniej sukces osiągał Jerzy Urban, dziś widoczny jest np. Jan Śpiewak, dość poczytny, zdecydowany twórca cyfrowy i działacz społeczny. Z kolei tacy twórcy jak Sławomir Mentzen czy Krzysztof Bosak zbudowali duże społeczności dzięki odwadze, konsekwencji i dobremu zrozumieniu formatu. Mentzen perfekcyjnie opanował TikToka, choć, jak mówią specjaliści, jego pierwsze ruchy były dość słabe. Ale się wyrobił. Problem Lewicy polega więc na braku odważnych koncepcji i ludzi, którzy potrafiliby zaplanować i tworzyć skuteczne, atrakcyjne treści. Marszałek Czarzasty czasami próbuje, ale może nie czuje tego ducha, a może go nie ma.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 740ab42e27

Autor? Ćwierćinteligencja!

Skandal wokół książki Karoliny Opolskiej to niejedyna wpadka związana z AI w branży medialnej

Kornel Wawrzyniak

Wśród rzeczy na ziemi i w niebie, o których nie śniło się filozofom, z pewnością jest to, że jednym z najgorętszych tematów dla opinii publicznej mogą się stać przypisy bibliograficzne. Wszystko przez dziennikarkę TVP Info, która wykorzystała sztuczną inteligencję przy pisaniu książki o teoriach spiskowych. Przedstawiciele tejże opinii publicznej szybko dostrzegli, że w książce są zmyślone źródła. Sytuacja jest szkodliwa dla wiarygodności całego środowiska dziennikarskiego, jak również naukowego, ze względu na poruszany temat. Miało być clickbaitowo, miało być amerykańsko. Wyszło jak zwykle – Bareja by się uśmiał.

Halucynacje sztucznej inteligencji

Pod koniec września 2025 r. nakładem wydawnictwa Harde ukazała się książka „Teoria spisku, czyli prawdziwa historia świata". Autorką jest dziennikarka Karolina Opolska, która wszem wobec chwali się 20-letnim doświadczeniem pracy w mediach, ostatnio w TVP Info, wcześniej m.in. w radiu Tok FM i portalach internetowych.

Na początku listopada historyk Artur Wójcik prowadzący w mediach społecznościowych profil Sigillum Authenticum opublikował wpis o tym, że znalazł w bibliografii do książki Opolskiej trzy zmyślone pozycje: „Dawno nie czułem takiego zażenowania. Karolina Opolska, dziennikarka i wykładowczyni dziennikarstwa, nie miała cywilnej odwagi przyznać się, że w swojej książce »Teoria spisku, czyli prawdziwa historia świata«… po prostu zmyśliła część przypisów. Nie pomyliła się, wymyśliła nieistniejące książki albo nie zweryfikowała tego, co »wypluła« jej AI. W poniedziałek zapytałem ją publicznie na platformie X, dlaczego posunęła się do czegoś takiego. Trudno tu mówić o prowokacji czy o żarcie, te fikcyjne źródła są zbyt banalne, by mogły być zamierzonym pastiszem (casus Kpinomira). To nie jest kwestia błędu w nazwisku autora, pomyłki w tytule, roku wydania czy numerze strony. Mówimy o całkowicie zmyślonych publikacjach, rzekomo autorstwa znanych historyków".

Artur Wójcik: Dawno nie czułem takiego zażenowania. Karolina Opolska, dziennikarka i wykładowczyni dziennikarstwa, po prostu zmyśliła część przypisów.

Przypadek Opolskiej szybko przerodził się w ożywioną dyskusję o wiarygodności osób publicznych i o etyce dziennikarskiej. „Nie każdy musi i nie każdy powinien wydawać książki. Można się skupić na YouTube o teoriach spiskowych i programach publicystycznych w mediach państwowych. To łatwiej zapomnieć – a papier może na długo wizerunkowo zaszkodzić", pisała o sprawie w mediach społecznościowych dziennikarka technologiczna Małgorzata Fraser.

Według specjalistów z Instytutu Monitorowania Mediów użytkownicy sieci oskarżają Opolską przede wszystkim o to, że nadużyła zaufania jako dziennikarka. Równolegle trwa dyskusja o wzroście nieufności do nowych technologii.

– W marketingu kluczowe są dwa elementy. Po pierwsze, dać się poznać, bo jeśli odbiorcy nie będą wiedzieli, że istnieją nasze produkty czy usługi, to jak mają po nie sięgnąć? Po drugie, wyróżnić się, wskazać, w czym jesteśmy lepsi od konkurencji. Przez dyskusję wokół przypisów opinia publiczna dowiedziała się, że Karolina Opolska napisała książkę. Ale czy na pewno w ten sposób dziennikarka chciała się wyróżnić? – zwraca uwagę dr Milena Drzewiecka, wykładowczyni Katedry Psychologii Ekonomicznej i Biznesu USWPS.

Wielu czytelników i czytelniczek zapewne zachodzi w głowę, jak to możliwe, że generatywna sztuczna inteligencja zmyśla tytuły książek. Odpowiedź jest bardziej banalna, niż mogłoby się wydawać. Nie jest to żadne działanie rodem z filmów science fiction. Sztuczna inteligencja ma to do siebie, że bardzo trudno jej powiedzieć: „Nie wiem". Zawsze stara się dokończyć zadanie – nawet jeśli będzie musiała zmyślać. Dlatego dochodzi do wygenerowania najbardziej prawdopodobnej odpowiedzi na zadane pytanie.

Wyjaśnia to na łamach „Gazety Wyborczej" dr inż. Mateusz Modrzejewski z Instytutu Informatyki Politechniki Warszawskiej: „Model zawsze stara się dokończyć sekwencję najlepiej, jak potrafi, nawet jeśli oznacza to konfabulację. Po prostu sugeruje najbardziej prawdopodobną kontynuację zdania. Gdy jest

eprasa.pl 740ab42e27

trenowany, dowiaduje się, kim był Einstein i że jest to nazwisko związane z fizyką i teorią względności. Jeśli więc w toku wypowiedzi pojawi się nazwisko badacza, model skojarzy go z jakąś dziedziną i wymyśli hybrydowy tytuł, który brzmi jak prawdopodobna zbitka innych, prawdziwych tytułów". Proces ten nazywamy halucynacjami sztucznej inteligencji.

– Warto à propos tej sytuacji zastanowić się nad różnicą między influencerem a dziennikarzem. Jeśli chodzi o tego drugiego, to definicja zawarta w prawie prasowym jest stara i nieprzystająca do współczesnych realiów. Wiemy natomiast, że dziennikarz jako zawód zaufania publicznego cieszy się m.in. przywilejem zachowania tajemnicy dziennikarskiej czy ochroną źródeł informacji. Podstawą jego działania jest dochodzenie prawdy. Nikt nie broni napisać książki, ale w kontekście tej afery można powiedzieć, że książkę napisała nie dziennikarka, tylko influencerka, która lubi skupiać wokół siebie środowisko fanów teorii spiskowych. Mamy więc tutaj do czynienia z pewnym pomieszaniem pojęć – wyjaśnia red. Krystyna Mokrosińska, dziennikarka wchodząca w skład Rady Etyki Mediów.

Opolska w swoim oświadczeniu winę za zmyślone przez AI przypisy zrzuciła niejako na błędy techniczne wydawnictwa. Stwierdziła, że jej wersja i przypisy były dobre. I chociaż internauci wielokrotnie prosili autorkę o ich pokazanie, nie zdecydowała się na taki krok.

Ewa Pajestka-Kojder kierująca warszawskim wydawnictwem Oficyna Naukowa widzi w tej sytuacji bardziej winę autorki niż wydawnictwa. „Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tym, żeby ktoś dosłownie z palca wymyślił przypis. To dla mnie niepojęte i przekracza moje wyobrażenie o rzetelności naukowej. Niesprawdzenie tytułów podawanych przez AI to duży grzech autora. Bo potem następcy cytują po kimś, nie sprawdzając u źródła. I w ten sposób, z pozycji na pozycję, powtarzany jest ten sam błąd, który zatruwa naukę", mówiła „Gazecie Wyborczej".

Dziennikarka Karolina Opolska chwali się 20-letnim doświadczeniem w mediach, ostatnio w TVP Info.

Sprawę zbadało też Stowarzyszenie Demagog zajmujące się dezinformacją. Specjaliści prześledzili 227 pozycji wymienionych jako „przypisy dodatkowe". Okazało się, że błędów jest więcej. Są wśród nich kolejne tytuły, które nie zostały nigdy wydane. To m.in. „Atlantyda zlokalizowana" Andrew Collinsa, „Platon" K.A. Kumanieckiego, „The Genetic Experiments of Ancient Sumer" Amelii Roth czy „Fallen Beings: From Igigi to Nephilim" Elaine Whitmore. I to nadal nie jest koniec kompromitacji. Znaleziono jeszcze kilka pozycji, w których wskazano wydawnictwa inne niż prawdziwe, a także jedną pozycję, która uznaje za jedno ze źródeł ChatGPT. To wyjątkowo zabawne, kiedy przeczyta się oświadczenia wydawnictwa Harde i samej autorki. Wszyscy zaprzeczają temu, że książka była współtworzona przez narzędzia AI.

– Wyroki Sądu Najwyższego mówią, że używanie sztucznej inteligencji podlega prawom cytatu, ponieważ to nadal jest użycie czyjejś pracy naukowej bądź literackiej. Jest jeszcze kwestia powoływania się na nieistniejące opracowania. Za takie można uznać przypisy w książce Opolskiej oparte na halucynacjach sztucznej inteligencji. Dziennikarz ma obowiązek konfrontacji każdego stwierdzenia, na którym się opiera, z faktami. W końcu w tej pracy nie opieramy się na plotkach. Bez względu na to, czy ktoś cytuje bzdury, wymyśla je, czy przepisuje informacje z halucynacji sztucznej inteligencji, z perspektywy zawodu dziennikarza popełnia kardynalny zawodowy błąd. Co innego, gdy piszemy beletrystykę. Wtedy autorzy mają prawo do wolności twórczej – podsumowuje red. Krystyna Mokrosińska z Rady Etyki Mediów.

Sytuację przeanalizował również badacz gier komputerowych, wykładowca AGH, Krzysztof M. Maj. Naukowiec wskazuje w swoim materiale, że przypisy w książce Opolskiej zostały zrobione niezgodnie ze sztuką. Zarzuty dotyczą m.in. tego, że przypisy odnoszące się do stron internetowych nie mają daty dostępu. W odnośniku do pisma „Nature" nie ma podanego numeru czasopisma, jest tylko rok wydania, a przypomnijmy, że „Nature" to… tygodnik. Po takiej masie błędów swoimi tłumaczeniami nie broni się już ani autorka, ani wydawnictwo. A może wystarczyło przeprosić, zamiast iść w zaparte?

– W przypadku kryzysu wizerunkowego możliwych strategii jest kilka: od milczenia, przez zaprzeczanie, umniejszanie odpowiedzialności lub przypisywanie jej innym, po przepraszanie. Przeprosiny są jednak rzadko stosowane. Szczególnie jeśli

Użytkownicy sieci oskarżają Opolską o braki warsztatowe i o to, że nadużyła zaufania jako dziennikarka.

eprasa.pl 740ab42e27

ma się pod nimi podpisać jednostka z imienia i nazwiska, a nie organizacja lub mityczny dział marketingu. Dlaczego? Dlatego, że przeprosiny oznaczają przyjęcie własnej odpowiedzialności, wymagają pokory i jakkolwiek często bywają najlepiej odbierane, to generują też duże koszty emocjonalne po stronie przepraszającego – komentuje dr Milena Drzewiecka z USWPS.

Opolska oskarżana jest przez wiele osób także o braki warsztatowe. Dotyczą one przede wszystkim weryfikowania faktów w przytaczanych w książce teoriach. Autorka najczęściej oddaje pole krzewicielom pseudonauki. Znajdujemy więc takie teorie jak płaskoziemstwo czy Wielka Lechia pozostawione bez żadnego głębszego komentarza czy konfrontacji. Opolska zdaje się nawet przyklaskiwać niektórym teoriom, jak w przypadku paleoastronautyki. „Czy można się dziwić, że pomimo braku dowodów uznawanych przez archeologię akademicką, rozmach i precyzja starożytnych konstrukcji nadal inspirują zwolenników teorii o pozaziemskim pochodzeniu pierwszych ziemskich cywilizacji?", pisze.

„Czy Opolska poszukiwała prawdy i opublikowała prawdę? Nie, nie poszukiwała jej, bo jej na prawdzie po prostu nie zależy. Żadna z prezentowanych teorii pseudonaukowych czy spiskowych, żadna z wypowiedzianych bzdur nie została skonfrontowana z faktami. Celem Opolskiej nie było publikowanie prawdy, tylko wypichcenie tekstu budzącego kontrowersje (co się zdecydowanie udało), który ma się sprzedawać i napędzać oglądalność jej kanału na YT (co pewnie też się uda). Natomiast skutkiem ubocznym, który zupełnie jej nie interesuje, a który ma niestety konkretne negatywne konsekwencje dla nas wszystkich, jest oswajanie i upowszechnianie szurostwa w i tak już skonfliktowanym społeczeństwie", ocenia w swoich mediach społecznościowych po lekturze „Teorii spisku" prof. dr hab. Piotr Tafiłowski z Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW.

Fejk ze szczytu w Waszyngtonie, z karnie siedzącymi ludźmi mającymi uchodzić za europejskich liderów czekających na audiencję u Trumpa, pokazała stacja wPolsce24. Była pracowniczka TVP Magdalena Ogórek szła w zaparte, że zdjęcie jest prawdziwe.

Używaj z głową

Znad kosmicznych piramid wracamy do sztucznej inteligencji. Pod koniec listopada br. na konferencji „Brand New(s)" organizowanej przez portal Wirtualne Media odbyła się debata o używaniu AI w polskich redakcjach. W dyskusji udział wzięli przedstawiciele Onet.pl, Grupy PTWP i Wirtualnej Polski. To, że dziennikarze używają dziś do pracy sztucznej inteligencji, jest właściwie faktem. Jak zatem z niej korzystać zgodnie ze sztuką i z zachowaniem etyki zawodowej?

Paulina Gumowska z Grupy PTWP podkreślała, że w branży medialnej największy problem stanowi powierzchowność debaty publicznej o sztucznej inteligencji. Dominują pytania typu: „Czy AI pisze teksty za was?" i „Ile procent informacji generuje sztuczna inteligencja?". Tymczasem w redakcjach myśli się zupełnie inaczej. „To nie jest rozmowa o tym, czy AI przejmie pracę dziennikarzy. To rozmowa o tym, jak mądrze z niej korzystać, żeby poprawiać warsztat i efektywność", tłumaczyła przedstawicielka PTWP.

Marcin Bartnicki z Wirtualnej Polski przyznał zaś otwarcie, że jego redakcja na bardzo dużą skalę korzysta z AI jako wsparcia przy tworzeniu treści. Sztucznej inteligencji używa się m.in. do researchu, tworzenia struktur artykułów czy uzupełniania prostych fragmentów tekstu. Istotne jest to, że redakcja WP ma specjalną komisję od AI składającą się z etyków i prawników. – Treści tworzone z użyciem AI traktujemy jak wszystkie inne. Dziennikarz bierze za nie pełną odpowiedzialność, podpisuje się pod nimi swoim nazwiskiem – stwierdza Bartnicki. Cały czas mówimy jednak o AI jako kolejnym narzędziu, a nie maszynce do wytwarzania nieistniejących wcześniej treści.

Ewa Pajestka-Kojder: Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tym, żeby ktoś dosłownie z palca wymyślił przypis.

Wydawcy uważają, że takie użycie sztucznej inteligencji jest jak najbardziej zgodne ze sztuką. Odpowiedzialność za treść i tak pozostaje po stronie redakcji. Co innego generowanie nieprawdziwych filmów czy zdjęć. Z powodu niskich kompetencji informacyjnych naszego społeczeństwa treści takie jak wideo, audio i foto powinny być wyraźnie

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER, PLATFORMA X

eprasa.pl 740ab42e27

oznaczane, że zostały stworzone przez AI.

Nie tylko Opolska

Niestety, na fejkowe materiały tak samo jak społeczeństwo nabierają się dziennikarze. Przy okazji szczytu w Waszyngtonie, w którym udział brali liderzy europejskich państw, w sieci ukazało się zdjęcie z korytarza w Białym Domu. Na obrazku grupa osób mająca przypominać europejskich liderów karnie siedzi na krzesłach i w domyśle czeka na audiencję u Trumpa. Fotkę zaczęły komentować media. Kanał Zero Krzysztofa Stanowskiego opublikował materiał, opatrując go jedynie komentarzem „sekcja komentarzy dla was". Fejka pokazała też stacja wPolsce24. Była pracowniczka TVP Magdalena Ogórek szła w zaparte, że zdjęcie jest prawdziwe, nawet kiedy wykazano, że nie zgadza się na nim liczba nóg: „Źródło jest dobre. (...) Butów liczyć nie będę", stwierdziła Ogórek na antenie.

Czarną serię wpadek ma też za sobą brytyjska gazeta „The Times". Reporter dziennika przeprowadził wywiad z oszustem podającym się za Billa de Blasia, byłego burmistrza Nowego Jorku. Gazeta usunęła materiał, po tym jak prawdziwy de Blasio wydał oświadczenie, że nie udzielał wywiadu nikomu z „Timesa". Co się stało? Nie mogąc się dodzwonić do de Blasia, dziennikarz napisał wiadomość. Trafił na oszusta. Kolejny grzech – niezweryfikowanie rozmówcy. Szczególnie że nadesłane wypowiedzi były sprzeczne z poglądami prawdziwego de Blasia. Ten otwarcie popierał Zohrana Mamdaniego w wyborach na burmistrza Nowego Jorku. W odpowiedziach zawartych w mejlu krytykował go zaś na każdym kroku.

Druga wpadka „Timesa" to wywiad z rzekomą pokojówką z pałacu Buckingham. Historie z udziałem królewskiej sprzątaczki Anne Simmons ukazały się zresztą w kilku największych tytułach, takich jak „Daily Mail", „The Mirror", „Daily Express" czy „The Sun". Kobieta, która rzekomo przepracowała 10 lat w pałacu Buckingham, opowiadała przeróżne ciekawostki. Od tego, że król Karol nie lubi świec zapachowych, po sposoby na to, jak wyczyścić toaletę octem. W wyniku krótkiego śledztwa okazało się, że owa pokojówka nie istnieje. Wszystko było wytworem agencji PR, która używała oczywiście sztucznej inteligencji.

Mamy też bardzo niebezpieczny trend, jakim są nagrania generowane całkowicie przez AI i udostępniane w mediach społecznościowych. Kiedy ktoś scrolluje kolejne filmiki i nie przygląda im się zbyt dokładnie, może się na nie nabrać. To niepokojące w kontekście ostatniego badania CBOS. Media społecznościowe stanowią dziś główne źródło wiedzy o świecie dla najmłodszych dorosłych Polaków. Według CBOS aż 39% respondentów w wieku 18-24 lata wskazało social media jako swoje podstawowe źródło informacji o wydarzeniach w kraju i za granicą. Do tego spora część influencerów zaczęła się przedstawiać jako dziennikarze. W dzisiejszym pojęciu wystarczy mieć kanał na YouTubie czy profil na TikToku i mówić o aktualnościach.

– Zacieranie się granic między influencerami a dziennikarzami to bardzo niebezpieczny precedens. Chodzi o odpowiedzialność zawodową, jaką ponoszą ci drudzy. Brak jasnej definicji, kim jest dziennikarz, tworzy niebezpieczną szarą strefę. Dotyczy to przede wszystkim ochrony źródeł. Dziennikarz nie musi zdradzać przed prokuraturą źródeł swoich informacji. Influencer już musi taką wiedzą się podzielić. Najgorzej więc, kiedy temu drugiemu wydaje się, że jest dziennikarzem, i tak przedstawia się swoim rozmówcom – przestrzega red. Krystyna Mokrosińska.

W przypadku Karoliny Opolskiej zadziwia postawa TVP, która nie podjęła absolutnie żadnych działań wobec dziennikarki z taką wpadką na koncie. Tymczasem Instytut Monitorowania Mediów podał, że statystycznie o tym, iż Opolską przyłapano na kłamstwie, dowiedziała się w Polsce co ósma osoba powyżej 15. roku życia. Po ośmiu latach propagandowego koszmaru w wydaniu Jacka Kurskiego dostawca publiczny powinien jak nigdy dbać o wiarygodność swoich dziennikarzy. Jednak wbrew zapewnieniom nie dostajemy czystej wody, lecz dość mętną. Przypadek Opolskiej odbija się zaś na całym środowisku dziennikarskim. Według „Rankingu prestiżu zawodów i specjalności" prowadzonego od pięciu lat przez pracownię SW Research dziennikarze znaleźli się na 35. z 50 miejsc. Influencerzy zajmują ostanie miejsce. Tuż nad nimi są youtuberzy.

– Droga, jaką obrała Karolina Opolska, jest jej autorskim wyborem. Jednak warto pamiętać, że rzutuje na postrzeganie nie tylko jej samej, ale i ludzi mediów w ogóle. Lekka dygresja – w kontekście afery z działką pod CPK wielu reprezentantów aktualnej władzy cieszy się, że udało się wytknąć skandal poprzednikom. Tyle że dla licznych wyborców to potwierdzenie negatywnego wizerunku polityków jako całości, niezależnie od barw partyjnych. Dlatego mam smutną wiadomość dla tych z braci dziennikarskiej, którzy może cieszą się skrycie z kłopotów Opolskiej. Zaufanie do dziennikarzy już jest niskie, a takie skandale uderzają nie w jedną postać, ale w całą branżę – podsumowuje dr Milena Drzewiecka z USWPS.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 740ab42e27

Wielki sponsor z Pcimia

Za prezesury Daniela Obajtka z Orlenu w niejasnych okolicznościach wypływały setki milionów złotych

Andrzej Sikorski

Przed Sądem Okręgowym w Łodzi toczą się procesy wytoczone przez Orlen Danielowi Obajtkowi i Michałowi Rogowi o zwrot ponad 700 tys. zł, wydanych przez tych menedżerów ze służbowych kart kredytowych na prywatne zachcianki. Ulubieniec Jarosława Kaczyńskiego miał przepuścić ok. 160 tys. zł m.in. na wizyty w luksusowych restauracjach, korektę uzębienia i zabiegi medycyny estetycznej z użyciem botoksu, który sprawia, że twarz nabiera młodego wyglądu. Czy Obajtek zapisał się też na lekcje dobrych manier, gdzie oduczyłby się posługiwania rynsztokowym językiem, tego nie udało mi się ustalić.

W sumie na tzw. koszty reprezentacji zarządu Orlenu w latach 2018-2023 wydano ok. 14,5 mln zł. Przeciętnie zarabiający Kowalski na takie pieniądze musiałby pracować jakieś 150 lat, ale gdy pisowscy nominaci już się dorwali do władzy, nie mieli żadnych hamulców w szastaniu nie swoją forsą, chociaż dostawali zawrotne wynagrodzenia. Tylko w 2023 r. Daniel Obajtek (absolwent technikum rolniczego i Prywatnej Wyższej Szkoły Ochrony Środowiska w Radomiu) zarobił ok. 1,7 mln zł, tj. o prawie 280 tys. zł więcej niż rok wcześniej.

Orlen to największy koncern energetyczny w Europie Środkowo-Wschodniej, zatrudniający kilkadziesiąt tysięcy osób. Przychody i zyski firmy liczone są w miliardach złotych. Spółka zawsze była łakomym kąskiem dla polityków, którzy obsadzali ją swoimi zaufanymi ludźmi, nie zawsze o najwyższych kompetencjach, ale takiego „wybitnego" menedżera jak były wójt Pcimia jeszcze w historii Orlenu nie było (o zasługach Daniela Obajtka pisaliśmy m.in. w tekście „Dyzma Kaczyńskiego i stracone miliardy złotych", „Przegląd" nr 18/2025). Ani równie gigantycznych wydatków na marketing, sponsoring, darowizny, doradców i prawników. Jeszcze w 2017 r., zanim Obajtek zasiadł w fotelu prezesa Orlenu, wspomniane koszty kształtowały się na poziomie ok. 200 mln zł. Od 2018 r. zaczęły gwałtownie rosnąć – z 255 mln zł do ponad 765 mln zł w 2023 r. Przez sześć lat rządów Obajtka w Orlenie wydano ponad 2,8 mld zł.

Nielegalne zarobki Obajtka były przedmiotem konferencji prasowej w Sejmie w marcu 2023 r.

Propagandziści i sportowcy

W 2023 r. Najwyższa Izba Kontroli chciała sprawdzić, kto i na jakich zasadach korzysta z hojności prezesa Orlenu. Jednak ten nie wpuścił kontrolerów, zasłaniając się tajemnicą spółki. Tak naprawdę chodziło o to, żeby na jaw nie wyszły liczne nadużycia i szwindle.

Pieniądze z Orlenu nie płynęły do przypadkowych osób. Kilkadziesiąt milionów złotych trafiało każdego roku do propisowskich mediów – głównie rządowej TVP oraz koncernów medialnych braci, Michała i Jacka Karnowskich oraz Tomasza Sakiewicza, zapewniających PiS wsparcie propagandowe. Naftowa spółka oprócz wykupywania reklam sponsorowała sztandarowe imprezy: „Sylwestera marzeń" TVP, galę Człowieka Wolności Tygodnika „Sieci" i galę Człowieka Roku „Gazety Polskiej". Oczywiście honorowani przez wspierające PiS media byli wyłącznie politycy ówczesnej partii rządzącej, m.in. Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki, Mariusz Błaszczak, Andrzej Duda, Julia Przyłębska czy Piotr Gliński. W 2021 r. doszło do kuriozalnej sytuacji, gdy

eprasa.pl 740ab42e27

statuetkę Człowieka Wolności tygodnika „Sieci" dostał Daniel Obajtek jako wybitny menedżer (sic!).

Kilkaset milionów złotych Orlen wydał na wsparcie imprez sportowych, klubów, indywidualnych zawodników i reprezentacji. Wiele decyzji sponsorskich miało podłoże polityczne. Bywało tak, że przychodzili do Obajtka politycy PiS i wskazywali konkretne kluby ze swoich okręgów wyborczych. Orlen zasponsorował siatkarski turniej im. Lecha Kaczyńskiego, upamiętniający „nieodżałowanego kibica polskiego sportu, przez lata wspierającego ducha zdrowej walki w wydaniu biało-czerwonych", i klub żużlowy Motor Lublin. Umowa sponsorska z drużyną speedwaya wywołała liczne kontrowersje nie tylko dlatego, że została podpisana w roku 2023, czyli przed wyborami parlamentarnymi, przede wszystkim lobbował za nią ówczesny wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin, zagorzały kibic lubelskiej drużyny. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że w 2023 r. do Motoru Lublin trafił wielokrotny mistrz świata Bartosz Zmarzlik, który miał podpisaną z Orlenem indywidualną umowę sponsorską wycenianą nieoficjalnie na 1 mln zł rocznie.

W 2018 r. Obajtek kupił luksusowy 187-metrowy apartament na warszawskim osiedlu Awangarda. Za metr kwadratowy zapłacił tylko 6,9 tys. zł, podczas gdy rzeczywista cena wynosiła 12,5 tys. zł. Deweloperem, który udzielił prezesowi Orlenu niemal milionowego rabatu, była spółka Profbut. Przypadkiem tak się złożyło, że firma jest sponsorem Akademii Piłkarskiej Beniaminek Profbud w Krośnie, a w 2018 r. sponsorem strategicznym Beniaminka został Orlen. Natomiast w 2021 r. sponsorem głównym Akademii Piłkarskiej została Energa, należąca do grupy Orlen.

Od razu nasunęły się podejrzenia, że cwany Obajtek zasponsorował Akademię Piłkarską, a w zamian dostał łapówkę, czyli solidny rabat, i kupił apartament poniżej wartości. W tej sprawie Prokuratura Okręgowa w Warszawie prowadzi śledztwo w związku z art. 296a par. 1 k.k., czyli łapownictwa na stanowisku kierowniczym. Grozi za to kara od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia. Na razie nikomu nie postawiono zarzutów, gromadzona jest dokumentacja i przesłuchiwani są świadkowie.

Ćwierć bańki na Kubicę

Jesienią 2018 r. wyciekły nagrania z restauracji Sowa i Przyjaciele z 2013 r., na których Mateusz Morawiecki (wówczas prezes banku BZ WBK) cieszył się, że Robert Kubica doznał poważnych obrażeń w wypadku w Formule 1, więc nie będzie musiał go sponsorować. „Nie chcę, kurwa, pięć dych co roku płacić. Spierdalaj. (…) Na szczęście złamał rękę, raz, drugi", mówił Morawiecki do ówczesnego prezesa PKO BP Zbigniewa Jagiełły, szefa PGE Krzysztofa Kiliana oraz jego zastępczyni Bogusławy Matuszewskiej. Komentując wulgarnie wypadek Kubicy, Morawiecki miał na myśli ewentualny kontrakt z polskim zawodnikiem wart 50 mln zł rocznie (bank BZ WBK był częścią hiszpańskiego banku Santander, a ten – głównym sponsorem teamu Ferrari, biorącego udział w Formule 1). Morawiecki argumentował, że sponsorowanie Kubicy to wyrzucanie pieniędzy w błoto, gdyż w Polsce wyścigi Formuły 1 nie cieszą się taką popularnością jak na Zachodzie.

Po ujawnieniu taśm wybuchł skandal, nie tylko dlatego, że uciecha z czyjejś tragedii jest wyjątkową podłością. Koszmarnym wypadkiem Kubicy żyła cała Polska, w tym Jarosław Kaczyński. „Jak wszyscy w Polsce trzymam kciuki za Pański szybki powrót do zdrowia. Pana siła charakteru, zaangażowanie i sukcesy sportowe sławią Polskę na wszystkich kontynentach świata", napisał prezes PiS w lutym 2011 r., zaraz po wypadku kierowcy. Aby ratować wizerunek Morawieckiego, notowania rządu i PiS, naprędce zorganizowano spotkanie premiera z Robertem Kubicą. Panowie uścisnęli sobie dłonie i poklepali się po plecach, a wkrótce zapadła decyzja, że Orlen wchodzi do Formuły 1 jako sponsor zespołu Williams. Polski koncern naftowy wycofał się ze sponsorowania wyścigów dopiero w 2024 r., a według nieoficjalnych informacji wydatkowano na ten cel ok. 250 mln zł.

Deszcz pieniędzy dla prawników

Setki milionów złotych trafiały także do wybranych kancelarii prawnych i firm doradczych. Tylko przy kontrowersyjnej fuzji Orlenu z Lotosem (straty skarbu państwa szacuje się na co najmniej 5 mld zł) na różnego rodzaju usługi wydano 250 mln zł, i to wszystko bez organizowania przetargów. Jak ujawnił poseł Michał Szczerba, trzy kancelarie prawne zarobiły razem 73 mln zł. Nie były to podmioty przypadkowe, ale ściśle powiązane z ówczesnym obozem władzy. W jednej kancelarii pracowała córka prezydenta Andrzeja Dudy, druga reprezentowała rodzinę Morawieckich, wnosząc pozwy przeciw redakcjom, a trzecia – Daniela Obajtka w sprawach prywatnych.

„Wokół spółki Orlen, wokół fuzji, tak naprawdę zaprzyjaźnione, znane z usług na rzecz polityków PiS i rodzin polityków PiS i rodziny prezydenckiej, jak się okazało, kancelarie oplotły tę całą fuzję i tę całą obsługę", mówił poseł Szczerba.

Jedną z tych kancelarii była SMM Legal z Poznania, która na współpracy z Orlenem (w latach 2018-2021) miała zarobić ok. 100 mln zł. Co ciekawe, Obajtek wynajmował prawników SMM Legal w prywatnych sprawach o ochronę dóbr osobistych

Na tzw. koszty reprezentacji zarządu Orlenu w latach 2018-2023 wydano ok. 14,5 mln zł.

Tylko w 2023 r. Daniel Obajtek zarobił ok. 1,7 mln zł, o prawie 280 tys. zł więcej niż rok wcześniej.

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/ REPORTER, PAWEŁ WODZYŃSKI/ EAST NEWS

eprasa.pl 740ab42e27

przeciwko tygodnikom „Newsweek” i „Nie” oraz w sprawach podatkowych dotyczących dziewięciu nieruchomości w Stróży i Zakopanem.

O tym, że SMM Legal miała związki z Obajtkiem i PiS, wiadomo też ze strony Poufna Rozmowa, gdzie publikowano m.in. wiadomości wykradzione z prywatnej skrzynki byłego szefa kancelarii premiera Morawieckiego, Michała Dworczyka. W jednym z mejli Marcin Emilewicz, prywatnie mąż ówczesnej ministry rozwoju Jadwigi Emilewicz, napisał do Obajtka, że chciałby się z nim spotkać i „przedstawić pewien pomysł i swoje miejsce w PKN Orlen (...), który konsultowałem z prof. Mataczyńskim, który również mógłby być obecny podczas rozmowy”. Wspomniany prof. Maciej Mataczyński to adwokat i założyciel SMM Legal. Mecenas wspierał finansowo PiS, wpłacając na konto partii Jarosława Kaczyńskiego 100 tys. zł, a oprócz tego zasilał kampanie wyborcze Jadwigi Emilewicz i europosła Ryszarda Legutki.

Jeśli już jesteśmy przy prawnikach reprezentujących Orlen, to trzeba też wymienić Macieja Zaborowskiego. Ten 41-letni adwokat zrobił spektakularną karierę pod dojściu PiS do władzy dzięki swojej znajomości ze Zbigniewem Ziobrą (za pierwszych rządów PiS był asystentem ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego). Jesienią 2015 r. Zaborowski założył spółkę partnerską Kopeć Zaborowski Adwokaci i Radcowie Prawni, która przebojem zdobyła rynek usług prawniczych. Stało się tak dzięki umowom nie tylko z Orlenem, lecz także z innymi spółkami skarbu państwa. Kancelaria mecenasa Zaborowskiego współpracowała też z Ministerstwem Sprawiedliwości, Ministerstwem Inwestycji i Rozwoju, Kancelarią Sejmu oraz Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Zaborowski i jego prawnicy reprezentowali Zbigniewa Ziobrę, jego żonę Patrycję Kotecką, członków kierownictwa resortu sprawiedliwości i propisowskich dziennikarzy, m.in. Cezarego Gmyza, Dorotę Kanię czy Anitę Gargas.

W 2023 r. Orlen zasponsorował klub żużlowy Motor Lublin. Za umową lobbował ówczesny wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin.

Zaborowski słynął z nękania i zastraszania dziennikarzy. Według „Gazety Wyborczej” mecenas wypracował specyficzną strategię procesową sztucznego namnażania pozwów w sprawie tej samej publikacji. Na przykład składał pozew w imieniu Zbigniewa Ziobry jako osoby prywatnej, a potem w imieniu Zbigniewa Ziobry jako ministra sprawiedliwości. Sąd Apelacyjny w Warszawie, oddalając powództwo Ziobry przeciwko „Gazecie Wyborczej”, nie zostawił suchej nitki na owej strategii multiplikowania pozwów i stwierdził, że „skutkować to może tzw. efektem mrożącym prasy”, a „w efekcie zagrażać swobodzie wypowiedzi i wolności prasy”.

W historii Orlenu nie było tak gigantycznych wydatków na marketing, sponsoring, darowizny, doradców i prawników.

Hojne darowizny

Kilkadziesiąt milionów złotych wyprowadzono z Orlenu w formie darowizn poprzez Fundację Orlen dla Pomorza. Większość tych pieniędzy trafiła do podmiotów związanych z Kościołem katolickim (parafii, zakonów, archidiecezji, organizacji) i osób ideowo lub towarzysko powiązanych z PiS.

480 tys. zł zasiliło Polish Lost Art Foundation (PLAF) założoną przez funkcjonariuszkę pisowskiej propagandy Magdalenę Ogórek. Była gwiazda TVP miała wybudować w Sulisławicach na Dolnym Śląsku Muzeum Sztuki Zagrabionej, z wystawą dzieł skradzionych przez nazistów w trakcie II wojny światowej. PLAF otrzymała także 630 tys. zł z Fundacji Energa i 445 tys. zł z Fundacji KGHM. Muzeum na razie nie działa, ale prokuratura – po zawiadomieniu złożonym przez Krajową Administrację Skarbową – prowadzi śledztwo w sprawie „wprowadzenia w błąd przez PLAF jej darczyńców”. Według KAS część pieniędzy nie została wykorzystana przez Magdalenę Ogórek zgodnie z umowami darowizny.

Ponad 1,2 mln zł fundacja Orlenu przekazała parafii św. Brygidy w Gdańsku na dofinansowanie budowy Bursztynowego Ołtarza Ojczyzny. Monumentalna konstrukcja, trzy razy większa od legendarnej Bursztynowej Komnaty, jest największym na świecie obiektem wykonanym z bursztynu. Pallotyńska Fundacja Misyjna Salvatti otrzymała 3 mln zł na wsparcie Rejsu

eprasa.pl 740ab42e27

Niepodległości dookoła świata na Darze Młodzieży. Trzy darowizny na 1,85 mln zł dostała z kolei archidiecezja warmińska na elewację i windę w budynku na terenie Sanktuarium Matki Bożej Gietrzwałdzkiej oraz na zespół katedralny we Fromborku. Ogólnopolski Festiwal Kolęd i Pastorałek dostał 300 tys. zł na dofinansowanie 29. Międzynarodowego Festiwalu Kolęd i Pastorałek im. Księdza Kazimierza Szwarlika w Będzinie, Fundacja Instytut Działalności Religijnej – 150 tys. zł na dofinansowanie projektu „Media Pokolenia JP2", a Fundacja Zatrzymać Czas – 200 tys. zł na projekt „Dar i Tajemnica", którego celem było upamiętnienie wydarzeń z życia i posługi papieża św. Jana Pawła II. Fundacja Tożsamość dostała ponad 2 mln zł na zakup eksponatów (m.in. zbroi husarskiej z kolczugą) do Muzeum Pamięć i Tożsamość im. św. Jana Pawła II w Toruniu, będącego częścią imperium kościelnego oligarchy Tadeusza Rydzyka.

90 tys. zł na bazę danych i paczki dla kombatantów otrzymało Stowarzyszenie Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej. I pewnie nie byłoby do czego się przyczepić, ale szef stowarzyszenia Artur Kondrat był też szefem Fundacji Pomocy i Więzi Polskiej Kresy RP. Fundacja ta dostała 800 tys. zł z pisowskiego Ministerstwa Kultury na remont słynnego dworku Daniela Obajtka w Borkowie Lęborskim w nadmorskiej gminie Choczewo. Pieniądze miały posłużyć do stworzenia Muzeum Żołnierzy AK, jednak umowa dzierżawy dworku między Kresami RP a Obajtkiem została rozwiązana po przyznaniu dotacji. Również w tej sprawie prokuratura prowadzi śledztwo, bo zachodzi podejrzenie, że ministerialne pieniądze zostały wyłudzone.

Ale to nie koniec. Po rozwiązaniu umowy z fundacją Kresy RP Obajtek podpisał kolejną umowę dzierżawy, tym razem z fundacją Handicap z Zakopanego, której prezeską jest związana z PiS była mistrzyni narciarstwa alpejskiego Małgorzata Tlałka-Długosz. Handicap zobowiązała się do zainwestowania w Obajtkowy dworek nawet kilkudziesięciu milionów złotych, a w wyremontowanej nieruchomości zamierza utworzyć ośrodek rehabilitacji i integracji osób z niepełnosprawnościami. Wkrótce po podpisaniu umowy z Obajtkiem Handicap dostała z Fundacji Orlen 350 tys. zł na „dofinansowanie działań w zakresie rehabilitacji i integracji osób z niepełnosprawnością poprzez sport i stworzenie ośrodka rehabilitacyjno-sportowego dla niepełnosprawnych". Czyli pieniądze z Orlenu zostały przeznaczone na remont prywatnego dworku prezesa Orlenu.

Andrzej Sikorski

Kilkadziesiąt milionów złotych trafiało każdego roku do propisowskich mediów, głównie rządowej TVP.

Zawieszenie broni w Strefie Gazy nie zakończyło cierpienia ludzi. Bassel Altom, mężczyzna na zdjęciu, przeszedł amputację po tym, jak został ranny, zdobywając żywność. Teraz ma trudności w zapewnieniu opieki swojej rodzinie. Pomimo zawieszenia broni cierpienie ludzi w Gazie jest ogromne. Zespoły Lekarzy bez Granic zapewniają pomoc medyczną na miejscu. Dowiedz się więcej i wspieraj nasze działania.

PRZEKAŻ DAROWIZNĘ ▸

eprasa.pl 740ab42e27

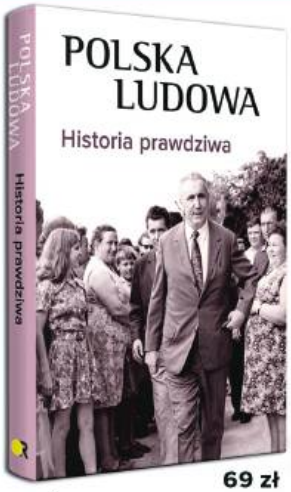

69 zł

PRÓBA SPRAWIEDLIWEJ OCENY

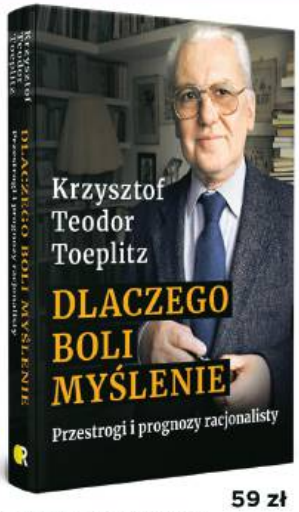

59 zł

TEKSTY KLASYKA WSPÓŁCZESNEGO FELIETONU

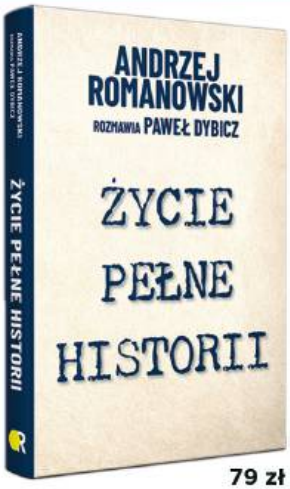

79 zł

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI W PASJONUJĄCEJ ROZMOWIE Z PAWŁEM DYBICZEM

95 zł

OSOBISTA RELACJA Z OSTATNICH DEKAD NASZEJ HISTORII. KSIĄŻKA, KTÓRA POMAGA JE ZROZUMIEĆ

KSIĄŻKA LESZKA KONARSKIEGO, JEDNA Z 15 FINALISTEK GRAND PRESS KSIĄŻKA REPORTERSKA 2020

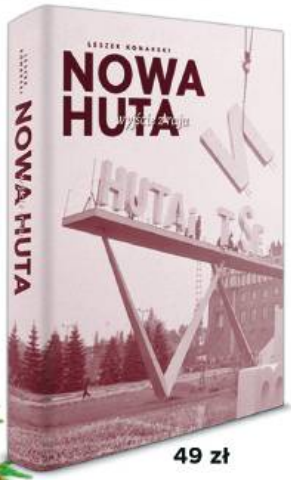

49 zł

Tom I 78 zł

Tom II 79 zł

Pakiet 140 zł

PROF. ANDRZEJ WERBLAN, HISTORYK DZIEJÓW NAJNOWSZYCH

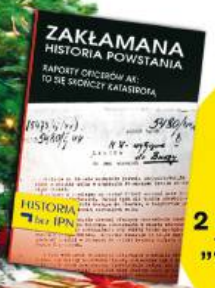

2 + 1 GRATIS

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Zakłamana historia powstania" t. IV W PREZENCIE

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE ZDRADZIŁ SOLIDARNOŚCI

55 zł
~~65 zł~~

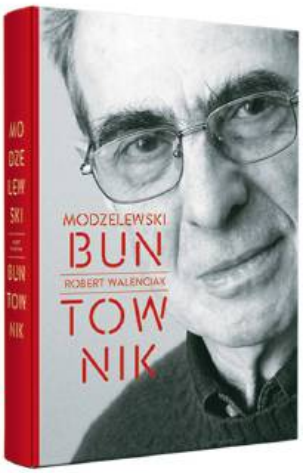

Przegląd

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej, Orlen Paczka, do paczkomatu InPost lub dostawy kurierem InPost.

eprasa.pl 740ab42e27

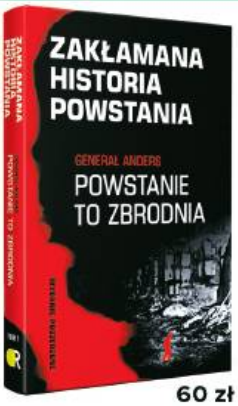

60 zł

70 zł

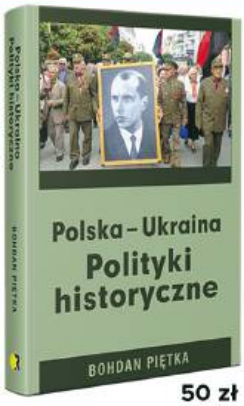

50 zł

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA. POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

58 zł

BŁYSKOTLIWA ANALIZA „AMERYKAŃSKIEJ DUSZY" I POLITYCZNYCH WYBORÓW

Pakiet 110 zł

200 TYSIĘCY OFIAR I RUINY MIASTA UPOMINAJĄ SIĘ O PRAWDĘ

Pakiet 190 zł

LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA KAŻDEGO INTELIGENTA

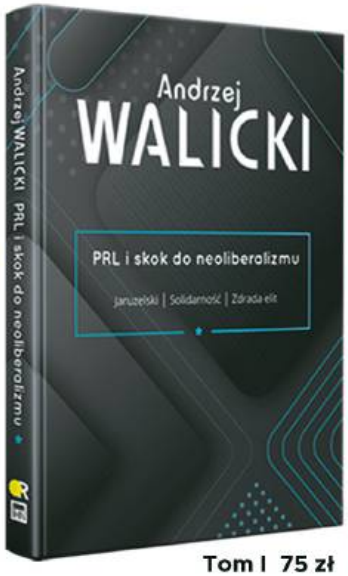

Tom I 75 zł

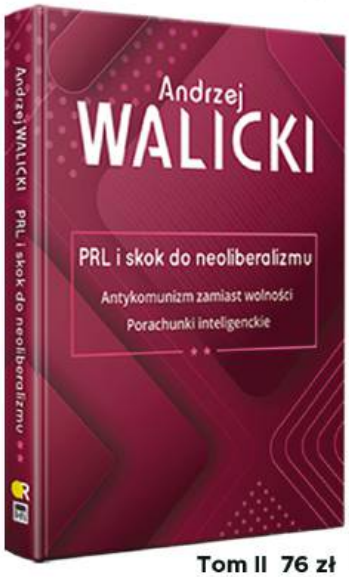

Tom II 76 zł

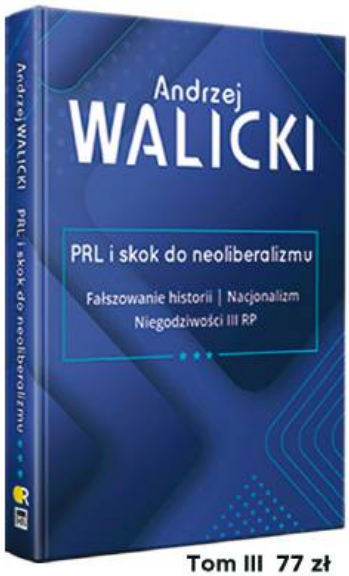

Tom III 77 zł

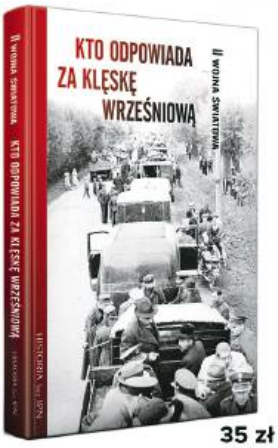

35 zł
~~45 zł~~

DOKUMENTY Z KRAJU I EMIGRACJI OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY

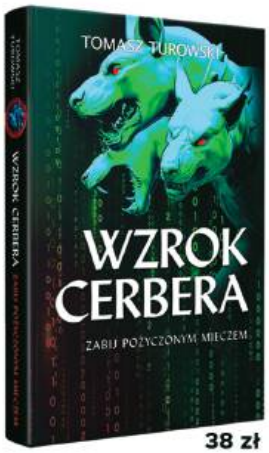

38 zł

39 zł

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM – SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH TOMASZA TUROWSKIEGO

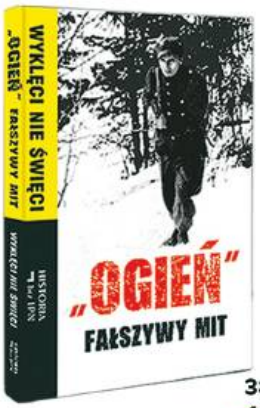

38 zł
~~46 zł~~

„ŻOŁNIERZE WYKLĘCI" SĄ NAJWAŻNIEJSZYM ELEMENTEM OFICJALNEJ POLITYKI HISTORYCZNEJ

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej, Orlen Paczka, do paczkomatu InPost lub dostawy kurierem InPost.

Przegląd

eprasa.pl 740ab42e27

Hejt za rolę, czyli gdy fikcja boli za bardzo

Tomasz Schuchardt stworzył przekonujący portret oprawcy, tyrana swojej partnerki. Jego kreacja, autentyczna i oparta na sile, jest jednym z najmocniejszych elementów filmu. I właśnie dlatego aktor stał się celem mimowolnych ataków niektórych widzów.

Tuż po premierze zaczęły się pojawiać reakcje ludzi, którzy nie potrafili oddzielić fikcyjnej postaci filmowej od aktora. Schuchardt został mimowolnie odpowiedzialny za ekranowego Grześka i emocje kierowane w jego stronę. W mediach i nawet w świecie rzeczywistym zaczęły się mnożyć komentarze pełne niechęci i złości. Sam aktor przyznał, że ktoś podszedł do niego i nazwał „przemocowcem". Tymczasem ataki, jeśli już, powinny być kierowane wyłącznie do fikcyjnego bohatera. Ale to Schuchardt jest obrzucany błotem. Obrywa za postać, której miał nadać wiarygodność. Za postać, którą budował tak realistycznie, by widz uwierzył w jej brutalność. To, co miało być dowodem jego profesjonalizmu, obróciło się przeciwko niemu.

Aktor nie popełnił żadnego błędu. Zderzył się tylko z efektem ubocznym trudnej i intensywnej roli. Teraz, zamiast wyrazów uznania, słyszy komentarze pełne oskarżeń i ocen, które dotyczą nie jego, ale granej przez niego postaci.

Weronika Mikusek

GRANIE POTWORA ZOSTAWIA ŚLAD

Po pewnym czasie odczuwasz skutki swojej pracy jak bóle fantomowe

Rozmawia Wojciech Tutaj

Grasz w filmach i w serialach, w mniejszych projektach i w głośnych tytułach, u debiutantów i u bardzo doświadczonych twórców. Według jakiego klucza dobierasz kolejne role?

– Klucze zmieniały się w ciągu lat. Na samym początku decydował fakt, że ktoś w ogóle chciał mnie zaangażować. Nie otrzymywałem wielu propozycji, więc brałem prawie wszystko, co przychodziło. Kierowałem się tym, że trzeba grać. Taka zasada powinna zresztą obowiązywać podczas nauki aktorstwa, ponieważ rozwój aktora polega głównie na praktyce. Trzeba występować wszędzie, gdzie się da, aby mieć jak najwięcej zawodowych spotkań. Dobrze jest współpracować z kilkoma reżyserami, z różnymi aktorami, wybierać odmienne teksty. Zdobywać szlify w telewizji, na deskach teatralnych, w kinie albo w serialach. Oczywiście w ramach możliwości i nie za wszelką cenę.

Twoje podejście musiało później się zmienić.

– Klucz wyboru zmienił się, gdy doszedłem do takiego punktu, w którym miałem więcej propozycji niż czasu. Wtedy zacząłem się uczyć trudnej sztuki selekcji. Najważniejszy stał się dla mnie scenariusz, czyli rozważenie, czy coś mnie zainteresuje w tekście, czy rola, którą mam przygotować, jakoś mnie rozwinie.

Drugim decydującym czynnikiem jest oczywiście spotkanie, czyli to, z kim będę grał i kto będzie mnie reżyserował. Jestem też zwolennikiem brania udziału w projektach niskobudżetowych. Jeżeli komuś można pomóc na początku drogi, którą przecież każdy z nas przechodził, to chętnie się angażuję.

Zgodziłbyś się z tezą, że granie czarnych charakterów jest bardziej atrakcyjne dla aktorów?

– Nie. Dużo wdzięczniej pracuje się nad portretem bohatera, który ma jakieś charakterystyczności. Chodzi o ciekawostki fizyczne, które kogoś wyróżniają, o inną specyfikę mówienia. Tworząc kino biograficzne, dowiadujemy się np., że ktoś się jąkał lub kulał na prawą nogę. Albo reżyser wymaga od nas, żebyśmy mówili z litewskim akcentem, jak znana postać historyczna. Atrakcyjne są także sytuacje, w których podejmujemy się wyzwań dodatkowych – uczymy się jeździć konno, strzelać z broni, grać na instrumencie.

Co więcej, gdy dobrze się wykona charakterystyczną rolę, jest ona bardziej zauważana przez widza. Moje doświadczenia jednak podpowiadają, że takie role częściej pojawiają się na drugim planie. Miałem przyjemność grać bohaterów

eprasa.pl 740ab42e27

TOMASZ SCHUCHARDT

– aktor filmowy, serialowy i teatralny

pierwszoplanowych i tych charakterystycznych z drugiego planu – to rzeczywiście trochę inny rodzaj pracy. Szerzej myśli się o postaci pierwszoplanowej, gdzie indziej rozkłada się akcenty. Trzeba precyzyjnie rozrysować, jak przedstawić bohatera, do czego on dąży i gdzie nastąpią momenty jego załamania. Z kolei niektóre sceny należy wręcz zostawić postaciom drugoplanowym, aby tworzyły bogatsze tło dla całej historii. Nie każda sekwencja musi należeć do protagonisty. Występując na drugim planie, zwykle próbujesz w kilku momentach zawrzeć esencję bohatera. Ostatnio zagrałem w jednym filmie tylko trzy sceny. Wtedy musisz zaznaczyć swoją obecność na tyle, żeby nadać postaci ważność, a jednocześnie nie przysłonić niczego z drogi głównego bohatera.

Pochodzę z miejscowości, w której przemoc domowa była na porządku dziennym.

Może czarne charaktery gra się łatwiej?

– Nie jest tajemnicą, że każdy z nas, aktorów, ma do czegoś łatwiejszy dostęp. Niektórzy mają naturalną predyspozycję do ról komediowych. Pojawiają się i nieważne, co zrobią, już będzie śmieszniej. Nikt nie powie, że bycie zabawnym okupili tytaniczną pracą. W moim przypadku jest podobnie z byciem groźnym. Mam specyficzną twarz i jestem świadom swojej urody. Wiem z różnych rozmów, że ludzie widzą we mnie cwaniaka albo osobę mocno przekonaną do swoich racji. Do takich postaci mam na pewno łatwiejszy dostęp.

Z rolą Grześka w „Domu dobrym" chyba tak prosto nie było.

– Rzeczywiście, mocno popracowałem sobie nad pewnymi rzeczami w moim bohaterze. Łatwość w graniu czarnych charakterów, o której wspomniałem, wystarczy na kilka scen, na epizod, w którym złoczyńca pojawia się z bronią albo grozi komuś spojrzeniem. My jednak rozmawiamy o bohaterze bardzo często obecnym na ekranie. Chociaż gram główną rolę męską, uważam, że jej funkcja jest służebna. Od początku wiedziałem, że to jest film Agaty Turkot, film o Gośce i innych kobietach,

Tomasz Schuchardt – (ur. w 1986 r.) absolwent PWST w Krakowie. W latach 2010-2014 występował w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi. Później był związany z Teatrem Ateneum w Warszawie. Kreacja w filmie „Chrzest" przyniosła mu nagrodę za najlepszą pierwszoplanową rolę męską w Gdyni, a występ w „Jesteś Bogiem" – nagrodę za najlepszą drugoplanową rolę męską na tym samym festiwalu. Za rolę w „Doppelgängerze. Sobowtórze" otrzymał Orła i nagrodę w Gdyni. Razem z Agatą Turkot odebrał na Warszawskim Festiwalu Filmowym Specjalną Nagrodę Jury za główne role w „Domu dobrym" w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego.

eprasa.pl 740ab42e27

które doświadczyły przemocy domowej. Ja miałem stworzyć ścianę, o którą będą uderzać albo przez którą nie mogą się przebić. Postać Grześka reprezentuje jednak szerokie spektrum przemocy. Na początku filmu funkcję służebną pełni też matka Gośki, którą gra Agata Kulesza. Ona przejmuje wtedy rolę przemocowej osoby, więc Grzesiek może za nią się schować. Nie jest zły, bo jest ratownikiem, to matka czyni zło wobec córki. Wydaje mi się, że trochę powymienialiśmy się z Agatą Kuleszą, tworząc z naszych bohaterów rodzaj klatki dla Gośki.

Czym współpraca z Wojciechem Smarzowskim różni się od twoich innych doświadczeń zawodowych?

– Praca z Wojtkiem była moim marzeniem. Już na początku drogi zawodowej mówiłem w wywiadach, że chcę się z nim spotkać, aby – nawet podświadomie – ściągnąć na siebie jego uwagę. To jednak długo się nie spełniało. Z upływem lat zmieniłem się jako aktor, sporo się nauczyłem. Jak poznawałem Wojtka na planie drugiego „Wesela", nie marzyłem już, żeby został moim mistrzem. Zresztą on nie przyjmuje mistrzowskiej pozy w swoim zachowaniu. Na pewno ma bardzo wysoki poziom wrażliwości. Ukułem nawet takie zdanie, że Wojtek jest mężczyzną, który usilnie stara się schować za siekierą, ale nie potrafi, bo serce mu wystaje. Czasem mnie zaskakiwało, jak bardzo dba o bezpieczeństwo na planie. Dopytywał, czy wszystko dobrze, czy dalibyśmy radę ponownie coś zagrać. Większość reżyserów mówi: „robimy dubel" i dopóki nie uzyskają satysfakcjonującego efektu, powtarzamy ujęcie.

Pewnie trochę inaczej pracował z tobą i z Agatą Turkot.

– Wydaje mi się, że Wojtek więcej rozmawia z aktorkami, dłużej tłumaczy, co chce uzyskać. To chyba wynika z faktu, że uprawia dość brutalne kino, w którym przemoc często koncentruje się na kobietach. Będąc mężczyzną, chyba nawet wypada przygotować kobiety na pewne sceny, popytać, co naprawdę myślą, czy zgadzają się z wizją reżyserską. Właśnie dlatego w pewnym momencie aktorki poznają Wojtka dużo lepiej. Do mężczyzn mówi zaś bardziej hasłowo. Może my po prostu tacy jesteśmy, że potrzebujemy określenia kierunku. A może zasłaniam się jakimś „my" i tak naprawdę ja nie potrzebuję dużo rozmawiać. Wiele rzeczy rozgrywa się we mnie bez słów. Choć Wojtek dał mi tylko parę konkretnych uwag, czułem, że nie zostawiał mnie samego w pracy nad rolą. Wybrał mnie także dlatego, żebym stworzył bezpieczne warunki dla Agaty. Chyba dostrzegł, że mam cechy opiekuna i jestem mężczyzną, który ma do siebie dostęp – piękne psychoterapeutyczne sformułowanie, prawda? Przeszedłem przez terapię, więc inaczej patrzę na swoje emocje i doświadczenia niż wielu moich kolegów.

Jesteśmy karmieni treściami nafaszerowanymi przemocą. Hejt dobrze się sprzedaje.

Jak zareagowałeś po przeczytaniu scenariusza „Domu dobrego"? Miałeś wątpliwości i obawy?

– Najpierw wygrałem casting, na którym miałem do odegrania dwie sceny. W pierwszej Grzesiek jest dla Gośki niemiły, dosłownie niemiły, a w drugiej się w sobie zakochują. Potem Wojtek spotkał się ze mną i przekazał mi niesamowicie miłą wiadomość, że będę grał w jego nowym filmie. Był wrzesień, a dopiero w lutym dostałem scenariusz. Tekst mną wstrząsnął. Pierwszy raz czytałem go głównie pod kątem swojego bohatera, bo zawsze tak robię. Dopiero przy drugiej lekturze zagłębiam się w całość. Wiedziałem od razu, że scenariusz nie zostawia mi żadnego pola do zrobienia pozytywnego wrażenia. Nie miałem też nigdy aspiracji, żeby bronić swoich bohaterów za wszelką cenę, a w przypadku „Domu dobrego" wiedziałem nawet, że nie chcę bronić Grześka. Pomyślałem sobie jednak, że jeśli mam go zagrać i ponieść koszty emocjonalne, muszę znaleźć nadrzędną motywację. Po przeczytaniu scenariusza okazało się, że sama praca z Wojtkiem nie będzie wystarczającym powodem.

Co stało się tą motywacją?

– Z pomocą przyszła mi końcówka scenariusza. Sugerowała, że na ekranie pojawi się plansza z informacjami, gdzie można zgłosić się po pomoc, gdy doświadcza się przemocy. Motywacją stało się więc kino zaangażowane społecznie, świadomość, że film może komuś pomóc. Potem ktoś zasiewał wątpliwości: „ale jak on ma realnie pomóc?". Z odpowiedzią przyszła pani, która widziała „Dom dobry". Powiedziała Wojtkowi, że film opowiada jej historię, i dziękuje, że już więcej nie będzie musiała tłumaczyć ludziom swoich przejść. Po pokazach naszego filmu słyszymy oczywiście zarzuty, że tak to nie wygląda, że Smarzowski ustawia krzywe zwierciadło. Wtedy odpowiadam: „Wojtek niczego nie wymyślił, wszystkie sytuacje naprawdę u kogoś się zdarzyły". Może nie ma tam historii przemocy z każdego domu, ale zostało pokazane wystarczająco dużo, by mieć jakiś obraz.

Po brutalnych psychicznie scenach nie możesz normalnie funkcjonować. Organizm nie wie, że coś odegrałeś, myśli, że to było prawdziwe.

Na czym polegały twoje przygotowania do roli?

– Kwestia przemocy domowej była mi o tyle bliska, że pochodzę z miejscowości, w której takie rzeczy działy się na porządku dziennym. Nie chodzi o przemoc w moim domu rodzinnym, ale tuż obok. Krzyki słyszałem praktycznie co noc, bo ściany w blokach nie tłumią żadnych dźwięków. Oczywiście widziałem też wiele razy przemoc na żywo, gdzieś między blokami, gdzie toczyły się kłótnie. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, jak organizm dziecka broni

eprasa.pl 740ab42e27

się przed przyjmowaniem najgorszych obrazów, wymyślając różne bogate światy. Z jednej strony wiem, że mam dostęp do tamtych trudnych emocji, bo pewne rzeczy przepracowałem. Z drugiej zaś dobrze wspominam dzieciństwo pełne radości, bo mechanizm wyparcia działa niesamowicie. Jedno widzieliśmy, a co innego zapamiętaliśmy.

Spotykałeś się z ofiarami lub świadkami przemocy domowej? Czytałeś o konkretnych przypadkach, o metodach sprawców?

– Jak zacząłem pracę nad rolą w „Domu dobrym", byłem już po terapii i pomyślałem, że nie muszę dużo doczytywać. Agata Turkot rozmawiała z dziewczynami, które były ofiarami przemocy domowej, i na pewno jej to pomogło. Ale czy ja miałem się spotykać z oprawcami? Nie wytrzymałbym z nimi w jednym pomieszczeniu, zresztą który by się przyznał do bycia katem i chciał mnie wspierać w budowaniu bohatera? Oczywiście, że czytam książki i oglądam filmy, lecz traktuję to jako klasyczny stan utrzymywania organizmu w gotowości do pracy. Staram się chłonąć dużo treści, stymuluję się nią, aby mój mózg, ciało i emocje były cały czas rozgrzane. Nie wskażę jednak konkretnych tytułów, bo jest ich zbyt dużo. Do dziś powstało tyle tekstów kultury o przemocy, że temat zyskał sporą popularność. Zło zawsze nas fascynowało, ale stało się niezłym biznesem w ostatnich latach, gdy ludzie z Marvela i DC wyciągnęli wszystkie komiksy, w których mamy jednocześnie fascynujących i negatywnych bohaterów. Jak Joker w legendarnej interpretacji Heatha Ledgera. Ta postać stała się ikoną popkultury i wszystkich intrygowała, choć jest ulepiona z przemocy.

Smarzowski, robiąc kino o przemocy w różnych epokach, jest wiecznie aktualny. Wstrząsająca jest ta ciągłość i niezbywalność przemocy.

Przemoc jest też obecna w innych mediach.

– Karmimy się, a raczej jesteśmy karmieni treściami nafaszerowanymi przemocą. Hejt dobrze się sprzedaje. Wiemy, co jest promowane w mediach, ile zysków przynoszą choćby kłótnie na galach freakfightowych. Spójrzmy także na programy, które kiedyś służyły do rozmowy z celebrytami, a teraz pełne są zasieków i pułapek, żeby tylko goście powiedzieli coś niepopularnego, kontrowersyjnego. Nie mówię, że lepiej to wyglądało kiedyś, gdy dwie osoby się pokłóciły i dały sobie po mordzie. Współcześnie brakuje jednak ujścia dla negatywnych emocji, wszystko wisi w powietrzu, w internetowej chmurze. Do tego dochodzi jeszcze jedna kwestia, czyli długotrwałe życie w stresie, który przynosi frustrację i ma wpływ na psychosomatykę, choroby, tworzenie związków itd. Film o przemocy, ale w trochę innym wydaniu, jest więc filmem na czasie. Robiąc kino o przemocy w różnych epokach, Wojtek jest wiecznie aktualny. Wstrząsająca jest ta ciągłość i niezbywalność przemocy.

Co było najważniejsze w budowaniu ekranowej relacji z Agatą Turkot? Jak dbaliście o poczucie bezpieczeństwa na planie?

– Pomyślałem sobie, że jedynym, co może nas ochronić przed szaleństwem na planie, jest poczucie humoru. Był z nami taki świetny pies, Lufi, który niestety niedawno zdechł. Strasznie intensywnie woniał, bo miał chory żołądek i problemy z nerkami, i ten odór był naszą największą pożywką. Kiedy leżeliśmy na podłodze i patrzyliśmy na siebie po nakręceniu sceny gwałtu, która nas zniszczyła psychicznie, najpierw upewnialiśmy się wzajemnie, że wszystko w porządku, a potem komentowaliśmy: „Przynajmniej pies dalej śmierdzi". Humor działał jak lekarstwo. Na koniec pojawił się nawet lekki uśmiech, bo gdybyśmy zostali myślami w tej scenie, nie wyszlibyśmy z niej przez parę godzin, jeśli nie dni.

Dawniej część aktorów radziła sobie z przytłaczającymi emocjami, pijąc alkohol, i o tym problemie napisano niejedną książkę. Po brutalnych psychicznie scenach nie możesz normalnie funkcjonować. Twój organizm nie wie, że coś odegrałeś, myśli, że strach, złość i wkurzenie graniczące z nienawiścią były prawdziwe. Dopiero po jakimś czasie zrozumie sytuację. U nas na szczęście sposobem był nie alkohol, tylko humor. Z początku głównie ja obśmiewałem

eprasa.pl 740ab42e27

najcięższe sytuacje, ale Agata szybko zaczęła się na to otwierać i pod koniec filmu mi pomagała. Ona dobrze czuje sarkazm i czarny humor, które są mi bliskie.

Granie tak strasznej postaci jak Grzesiek zostawia ślad?

– Muszę wierzyć, że nie, ale jako realista zakładam, że tak. Już powiedziałem o radzeniu sobie z trudnymi emocjami na planie, ale drugą zdrową opcją samoregulacji jest kontakt z moją rodziną. Przytulenie się do żony i córek działa lepiej niż wszystkie inne metody. Kiedy słyszysz spokojny oddech dziecka, bo czuje się bezpiecznie, bo cię kocha i czuje się kochane, kiedy cię obejmuje i mówi: „tata", wszystkie niepokoje ulatują. Mimo wszystko wiem, że granie potwora zostawia ślad. Po wspomnianej scenie gwałtu, która kończyła okres zdjęciowy w Serocku, mieliśmy cztery dni wolnego. Wróciłem do Warszawy w piątek. Następnego dnia rano starsza córka podeszła do mnie i spytała, czy pójdę z nią i z Bazylem na spacer. Miałem sekundę otępienia, kiedy po kolei docierały do mnie jej słowa; jakbym dostał obuchem w głowę i był zamroczony. Z pięć minut trwało, zanim zrozumiałem bardzo prosty przekaz. Pewnie minęły sekundy, ale wtedy uświadomiłem sobie, że praca odciska na mnie piętno. Są projekty, po których mogę z marszu wejść do domu, ale zdarzają się i takie, gdy jeszcze zajmuje mi to chwilę.

Jestem dumny, że wracam do normy dzięki własnemu zaangażowaniu emocjonalno-rozumowemu, dzięki rodzinie i jej miłości, a nie uciekając się do półśrodków typu używki. Jeśli mierzysz się z postacią, która generuje naprawdę dużo mroku i brutalności, powinieneś to równoważyć jak największą miłością. Wiem, że brzmię banalnie i prosto, ale to wcale nie jest banalne ani proste. Finalnie cały proces nie wygląda tak łatwo, że przytulasz się do córki i nagle wszystko mija. Po pewnym czasie odczuwasz skutki pracy jak bóle fantomowe. Okres zdjęciowy już się skończył, ale raz na jakiś czas coś cię jeszcze zaboli lub podrapie.

Wojciech Tutaj

ZŁO nie umiera nigdy

„Dom dobry" Smarzowskiego, czyli polska norma

Wiesław Kot

Film ma wstrząsnąć społeczeństwem w kwestii przemocy domowej. Otóż nic podobnego się nie stanie! Nie po to taki model związku nasze społeczeństwo wypracowało przez setki lat, by go teraz wywrócił jeden film. Choćby i wstrząsający, choćby i oglądany przez miliony.

Zamiast więc pałać słusznym oburzeniem, co łatwe, raczej starannie obejrzyjmy film. Słychać, że oto nareszcie obraz, który o przemocy wobec kobiet opowiada z męskiego punktu widzenia. Skąd! Jest odwrotnie: kamera od początku do końca podąża za Małgorzatą. A Grzegorz, mąż, jest oprawcą, który Małgorzacie się przytrafia. Trochę jak choroba, kalectwo, depresja – nie my jesteśmy winni i niewiele możemy zaradzić.

Nie wygląda, by Grzegorz do związku przemocowego doszedł drogą własnych doświadczeń, ewolucji przekonań. Jest na to zbyt ograniczony. Po prostu powtarza „polską normę": żona jest na wyposażeniu męża. Przypomina jej o tym z pewnością zbyt brutalnie, ale jest krewki z natury, a żona oporna. Z tym wszystkim Grzegorz nie jest zboczeńcem, który zbałamucił kobietę, żeby się z nią ożenić, a potem wyżywać się na niej. On nie czerpie przyjemności z zadawania bólu, próbuje tylko na swój „sprawczy" sposób wyegzekwować w małżeństwie układ, w jakim zapewne sam się wychował i w jakim żyją ludzie z jego sfery. I w ogóle wszyscy mu znani. Żona ma być jego wizytówką, ozdobą i paprotką na biurku. Powiada się powszechnie, że „damą w salonie, dziwką w łóżku, kucharką w kuchni", ale nie dlatego, że kobieta taka uniwersalna – raczej taka posłuszna. A jeżeli nie sprawdza się jako wizytówka, to przechodzi przyśpieszony kurs muzyki poważnej: dostaje omłot przy dźwiękach „Toccaty i fugi d-moll" Bacha.

Grzegorz to postać niejasna, wiemy o nim niewiele i tylko „objawowo". Polak katolik – sakramenty obowiązkowo – w interesach i w lokalnej polityce „twardy facet". Ma gadane, łatwo omota kobietę. Przy tym banalny i kiczowaty: przynosi róże, słucha Grechuty sprzed pół wieku. W sumie sprawczy gość, średnia krajowa. A jako domowy bokser ma odpowiedników i na salonach, i na melinach, czego świadectwo dają żony w grupach wsparcia. I najważniejsze: ma za sobą wszystkich zawodowych „obrońców rodziny": od księdza, przez policję, sądy, po opinię publiczną.

Grzegorz jest pułapką, która czeka na mysz. Problem w tym, że ofiara wpada zbyt łatwo. Bo Gośka i Grzegorz, znajomi z sieci, sondują się nawzajem odgadywaniem autorów aforyzmów w stylu „Kto był wszystkim, będzie niczym", choć podobny banał mógł się wypsnąć zarówno mistrzowi Lao Tsy (VI w. p.n.e.), jak i Janowi Pawłowi II czy Oldze Tokarczuk. Autora wyszukiwarka w trybie AI znajdzie w mniej niż trzy sekundy. A Grzegorz znajdzie go w mniej niż trzy minuty w zbiorze aforyzmów, którzy trzyma

eprasa.pl 740ab42e27

na półce. Nie wynika z tego bynajmniej, że jest mężczyzną oczytanym czy „kulturalnym", bo kto czyta wspomnianego w filmie Edgara Allana Poego, żeby zapamiętać z lektury jakiś banał? I nie bardzo wiadomo, dlaczego Małgorzata tego nie ogarnia.

A potem to już Gośka – niby trzeźwa i poukładana, ze stażem życiowym w Anglii – kompromituje się coraz bardziej. Zwleka ze spotkaniem w realu z telefonicznym absztyfikantem, choć w znajomość wciąga się na całego. Potrafi esemesować do niego nawet w trakcie wieczerzy wigilijnej. Później nie przeszkadza jej, gdy „oczytany" wybraniec w gronie przyjaciół sadzi bez umiaru kurwami – podobnie jak oni – i nie zamierza przepraszać obecnych dam, którym to nie wadzi. W dodatku przy stole, w gronie radnych miejskich, mowa jest o przewałach grupy przestępczej zblatowanej z policją. Jeżeli panowie radni ubijają podobne interesy przy ostrej wódzie, w trakcie rodzinnej uroczystości i w towarzystwie żon, to kwalifikują się jako pospolita żulernia.

Z tym wszystkim mogą uchodzić za facetów twardych i „sprawczych" w oczach swoich ślubnych, ale nie w oczach Gośki. Raz, że pochodzi ona z inteligencji, gdzie przy stole rozmawiało się jednak inaczej, dwa, że w Anglii napatrzyła się na niejedno, trzy, że Grzegorz, jak wynikało z telefonicznej korespondencji, miał być koneserem literatury pięknej (!), zamożnym facetem z klasą. A okazuje się, że prowadzi szemraną firmę, która ledwo ciągnie.

Gośka nie interesowała się przed ślubem, jaki jest stan majątkowy narzeczonego, w jakiej branży pracuje, nie odwiedzała go w „biurze". Powinno jej dać do myślenia i to, że biznesmen traktuje wyjazd do Chorwacji jako luksusową wycieczkę, podczas gdy na tamtejszych kamienistych plażach opalało się już pół Polski. Szybko też okazuje się, że Grzegorz jest rozwodnikiem i ma syna. Tylko „nie było czasu, aby o tym powiedzieć". A jego była żona radzi następczyni – jak kobieta kobiecie – aby ta od niego „spierdalała". Wszystkie te sygnały ostrzegawcze trafiły do Małgorzaty, zanim na jej kark spadł pierwszy cios.

Grzegorz jako domowy bokser ma za sobą wszystkich zawodowych „obrońców rodziny": od księdza, przez policję, sądy, po opinię publiczną.

Nie wygląda zresztą na zakochaną na zabój. Raczej cieszy się, że trafiło się jej miękkie lądowanie po wypchnięciu przez matkę z domu. A matka Gosi – jak zwykle stylowa Agata Kulesza – w arcypolski sposób łączy alkoholizm z dewocją i wypędzaniem córki za mąż. Ma jednak na tyle kobiecej ostrożności, że przestrzega córkę przed znajomościami z internetu. Taki (do czasu) się maskuje, by potem kobietę wykorzystać. Nie w ten, to w inny sposób. Ta ryzykancka jazda Gośki przeciąga się. Uprawiają seks bez zabezpieczenia, a potem nieprzyjemnie się dziwią na wiadomość o ciąży. Gośka nie rozgląda się też za sensownym zajęciem, bo cóż znaczą te korepetycje z angielskiego przez internet. Godzi się, że będzie żoną „przy mężu", czyli nie wiadomo kim, bo do ścierania kurzy zamożny biznesmen zatrudni zapewne panią dochodzącą.

Kiedy jest już za późno, Gośka nie jest przygotowana na takie ciśnienia, a na maltretowanie to zupełnie. Zresztą która kobieta by była. W dodatku ten korowód opresji rozciąga się na wiele lat i następuje domniemanie, że będzie się dla kobiety ciągnął dożywotnio. Przed czym reżyser się wzdraga. Jej postępujące katusze pokazuje w formie koszmarnych wizji przemieszanych z równie koszmarną historią realną. Miesza te dwa żywioły tak uparcie, że orientację traci także widz i wyrabia sobie przekonanie, że ogląda makabryczny teledysk, a nie fabułę. I pozostaje w tym splątaniu aż do ostatniej sceny. Jeszcze bardziej widza dziwi, że córka Gosi i Grzegorza pozostaje tym horrorem rodzinnym nietknięta.

Co zrobić z Grzegorzem, z tym niereformowalnym i bezkarnym złem? Do samego końca nie rozumiemy go, brakuje do niego klucza. Zostawiamy więc to zło, aby samo (?) sczezło. To w filmie. Bo w życiu – spytajcie żon i matek – zło nie umiera nigdy. ■

FOT. PAWEŁ TYBORA (2), MICHAŁ WOŹNIAK/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 740ab42e27

7. KONGRES ZDROWIE POLAKÓW

Każdy element jest ważny

Robert Walenciak

Trzy dni obrad: 17 debat, 18 paneli, 20 wykładów. I lista znakomitych gości: marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, wicemarszałek Sejmu Monika Wielichowska, wicepremier, minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda. Plejada wiceministrów: zdrowia, rolnictwa, nauki, edukacji, szef NFZ i główny inspektor farmaceutyczny Łukasz Pietrzak.

Podczas kongresu mogliśmy też wysłuchać wielu znakomitych profesorów. Wymieńmy chociażby prof. Renatę Górską, periodontolog, promującą holistyczne podejście do pacjenta, prof. Martę Podhorecką za działania na rzecz seniorów, prof. Marcina Moniuszkę za strategie dotyczące żywności i żywienia, profesorów Mariusza Gujskiego, dziekana Zakładu Zdrowia Publicznego WUM, i Wojciecha Załuskę, rektora Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, za to, jak tłumaczą, jak powinno wyglądać zdrowe społeczeństwo. Prof. Teresę Jackowską – za działania na rzecz walki z otyłością i niepełnosprawnością dzieci i dr Aleksandrę Lewandowską – za budowanie koalicji wsparcia na rzecz zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. To wybór subiektywny, gdyż nie sposób było przysłuchiwać się wszystkim debatom, non stop, przez trzy dni.

Prof. Henryk Skarżyński, zamykając kongres, zapowiedział, że przystępuje do przygotowań do następnego, który odbędzie się w listopadzie 2026 r. Kropla drąży skałę.

Taki był zamysł organizatorów – by sprawy zdrowia przedstawić szeroko, tłumaczyć, że zdrowie to nie tylko brak choroby, ale coś znacznie większego. Każdy element ma tu znaczenie – profilaktyka, edukacja, badania naukowe, nowoczesne rozwiązania i otoczenie społeczne oraz polityczne.

Czy się udało?

Władysław Kosiniak-Kamysz, który miał być przed południem, niespodziewanie musiał odwołać swój przyjazd. Nagrał jednak krótkie przesłanie i zapowiedział, że przyjedzie o godz. 16. Tak też się stało, dojechał do Kajetan, by zabrać głos i przysłuchiwać się dyskusji. Minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda podkreślała wyjątkową atmosferę tego wydarzenia. „Korzystamy z rekomendacji wypracowanych podczas poprzednich kongresów – mówiła. – Bardzo za to dziękuję”.

Kongres był okazją do wymiany poglądów, zapoznania się z tendencjami, spojrzenia w przyszłość. Oto kilka tematów debat: „Sztuczna inteligencja w opiece zdrowotnej – realne zastosowania i bariery wdrożeń”, „Jak kształcić lekarzy jutra?”, „Zdrowie dzieci i młodzieży: aktywność fizyczna, nadwaga, cyfrowe uzależnienie”, „Jak wspierać aktywne i zdrowe starzenie się?”.

A media?

Tradycyjnie kongres kończy debata mediów. Tym razem dziennikarze debatowali pod hasłem: „Informacja czy manipulacja? Media, influencerzy i odpowiedzialność za zdrowie publiczne”. To nie był łatwy temat. Regularnie przecież przychodzi nam się zmagać z pseudosensacjami, różnej maści uzdrowicielami. W czasach internetu głos profesora z dorobkiem naukowym i wieloletnim doświadczeniem klinicznym waży tyle samo ile głos szarlatana. Publiczność wybiera. I jakże często daje się oszukać.

Co z tym zrobić?

Nie pierwszy raz dziennikarze o tym dyskutują, ale przecież nie popadają w rozpacz. Po pierwsze, Polacy są coraz bardziej świadomi, jeśli chodzi o informacje dotyczące medycyny i leczenia. Szukają prawdziwych porad. Po drugie, słuchani i oglądani są również specjaliści, ich zasięgi rosną. Po trzecie, media uczą się, jak postępować z szarlatanami, oszustami żerującymi na naszej naiwności, a często i na rozpaczy. Dziennikarze coraz częściej ich demaskują, zadają konkretne pytania, weryfikują ich kłamstwa, przedstawiają los ich pacjentów. To potężna broń.

Przykładem jest choćby serial reporterski „Szarlatan” red. Michała Janczury, demaskujący nie tylko ludzi, którzy – nie mając żadnego wykształcenia – „leczyli” osoby chore onkologicznie, ale i cały przemysł „cudownych” substancji, które sprzedawali zdesperowanym i zrozpaczonym chorym.

By nie popadać w nadmierny optymizm, dodajmy, że wszystko sprowadza się do tego, kto w sposób bardziej atrakcyjny się przedstawia. Czy bardziej wciąga opowieść fałszywego znachora, który obiecuje cudowne terapie, czy dziennikarza idącego jego tropem? Ta gra: o prawdę, o uczciwe traktowanie odbiorcy, wciąż więc się toczy.

Prof. Henryk Skarżyński, zamykając kongres, zapowiedział, że przystępuje do przygotowań do następnego, ósmego, który odbędzie się w listopadzie 2026 r. Kropla drąży skałę. Dla tych, którzy pamiętają pierwsze kongresy i te ostatnie, porównują ich wpływ na decydentów, na środowisko, to powiedzenie nabiera mocy. ■

eprasa.pl 740ab42e27

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

KODEKS PRACY

Art. 22. [Stosunek pracy]

§ 1. Przez nawiązanie stosunku pracy pracownik zobowiązuje się do **wykonywania pracy określonego rodzaju na rzecz pracodawcy i pod jego kierownictwem** oraz **w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę,** a pracodawca – do **zatrudniania pracownika za wynagrodzeniem.**

§ 11. Zatrudnienie w warunkach określonych w § 1 jest zatrudnieniem na podstawie stosunku pracy, bez względu na nazwę zawartej przez strony umowy.

§ 12. **Nie jest dopuszczalne zastąpienie umowy o pracę umową cywilnoprawną przy zachowaniu warunków wykonywania pracy, określonych w § 1.**

Nie zmieniamy obowiązującego prawa – dbamy o jego przestrzeganie.

Wzmacniamy uprawnienia Państwowej Inspekcji Pracy, by skutecznie walczyć o uczciwy rynek pracy. Prawo to prawo, musi być i będzie egzekwowane.

CO SIĘ ZMIENI?

- **Okręgowy Inspektor Pracy będzie mógł zdecydować o zmianie nielegalnej umowy śmieciowej (lub pracy „na czarno"!) na umowę o pracę;**
- **PIP będzie mogła przeprowadzać kontrole zdalnie i korzystać z danych innych instytucji;**
- **Wzrosną kary – aby bardziej odstraszać od łamania prawa pracy.**

Na rynku pracy wszyscy muszą grać fair!

eprasa.pl 740ab42e27

„TVP – wielkie rozczarowanie” W sieci wrze

Nasza opowieść o TVP (nr 47/2025) ma ciąg dalszy. Świadczy o tym mnóstwo komentarzy i dyskusji w mediach społecznościowych. Przytaczamy opinie dwóch dziennikarzy znających telewizję od środka. Ale zacznijmy od ważnego pytania.

1. Jaki był klucz?

– Ciekawe, jaki był klucz doboru tych ludzi do władz TVP w likwidacji. Chyba nie polityczny, bo tylko szkodzą koalicji! Zapewne doświadczenie w zarządzaniu i profesjonalizm związany z telewizją też nie decydowały! A więc co?

– Niestety polityczny, i to mocno, bo tak ważnych spraw nie wolno oddawać w „nie nasze” ręce!

2. Po pierwsze, szef

Że nie będzie łatwo i przyjemnie, wiedziałem, zasiadałem bowiem w Radzie Programowej Polskiego Radia. Stąd wiem, że nie da się oddzielić jakości audycji od tych, którzy zarządzają firmą. To oni wyznaczają generalny kierunek, czyli co, na jakim poziomie i o jakiej wartości medialnej ma dotrzeć do odbiorcy. Mówiąc inaczej, mądry, odważny, sprawdzony szef dobierze sobie podobnych, a to odbije się na jakości programowej i poziomie audycji. Do tego należy koniecznie dodać kulturę osobistą wierchuszki. Tych spraw nie da się rozpatrywać w oderwaniu, nie można bowiem stawiać szlabanu: tu zarządzający, a tu ramówka i jakość audycji. Te sprawy się przenikają. Zarzuty, że Rada Programowa TVP wchodzi z kopytami w kompetencje władz firmy, są wątpliwej wartości. Raczej to strach niż odważne spojrzenie w lustro, bo Rada Programowa jest takim lustrem.

3. Koledzy plus zestaw rekonstrukcyjny

Nie wracajmy do znanej od setek lat narracji o niekrytykowaniu w trosce o to, że to „woda na młyn naszych wrogów”. To retoryka, jaką kieruje się od wieków Kościół, tą retoryką kierowali się sowietokomuniści, wprowadzając swoje „prawo” i w imię tej swoistej troski zamęczając ludzi. Grube porównania, ale muszę tak, bo to się zawsze powtarza: nie mówmy o wadach i złych działaniach „naszych”, bo pomagamy naszym wrogom. Nikt, do cholery, nie pomaga bardziej naszym przeciwnikom niż ci „nasi”, którzy robią złą robotę.

Uważam, niezależnie od różnic zdań w wielu sprawach i z Barbarą Bilińską, i z autorem tekstu i z wieloma innymi „naszymi”, że TVP i jej władze (również redakcje) nie wykorzystują potencjału, nie robią tej telewizji kreatywnie i rozwojowo. Stała się kolejną edycją klubu towarzyskiego, na co jednym z dowodów jest utrzymywanie (nieurlopowanie) Karoliny Opolskiej przy tak mocnych, dyskwalifikujących dla dziennikarza zarzutach i braku poważnej odpowiedzi na te zarzuty ze strony samej dziennikarki.

Nowości programowe, seriale i publicystyka są na dramatycznym poziomie. Pojawiają się nie wiadomo skąd i nie wiadomo, na jakiej zasadzie czy w wyniku jakiego konkursu albo procesu decyzyjnego są kierowane do produkcji. Są wygaszane, umieszczane w ramówkach bez logiki i koordynacji.

Przez lata zajmowałem się telewizją od strony programingu, analiz rynkowych również na rynku europejskim i światowym. Obserwowałem i analizowałem ruchy, kierunki działania i rozwoju tego wciąż mającego poważną przyszłość medium. Poziom chaosu programowego i dezynwoltury decyzyjnej, wspartych brakiem całościowej wizji jest przerażający. Tę instytucję obsiedli koledzy i koleżanki. Względnie koleżanki i koledzy kolegów. I oczywiście zestaw rekonstrukcyjny.

Tak, jestem sfrustrowany tym, co widzę, i tym, czego dowiaduję się z wewnątrz TVP (Polskiego Radia zresztą też), bo jako „fan”, ale przede wszystkim wielki zwolennik i propagator idei mediów publicznych jestem przekonany, że to, co się dzieje z TVP teraz, będzie kolejnym argumentem dla przeciwników idei mediów publicznych. A co za tym idzie, następna zmiana może być gorsza.

PS Uprzedzam argument, że od kilku lat nie zajmuję się analizą mediów zawodowo (chociaż wciąż jestem bardziej na bieżąco od tych, którzy teraz zarządzają lub występują w rolach ekspertów/komentatorów), skoro obecny szef po sześciu latach zarządzania autobusami z dnia na dzień mógł zostać szefem TVP, myślę, że mój brak „medialnego etatu” też nie jest problemem.

4. Rusza karuzela

O tym, że TVP doszła do ściany i coraz trudniej jej bronić, świadczą ruchy kadrowe. Jako pierwszego z sań zrzucono Pawła Moskalewicza, dotychczasowego szefa TVP Info (wersja oficjalna: poszedł na L4 ze względów zdrowotnych). Zastąpił go ściągnięty z oddziału TVP w Poznaniu Jan Józefowski. Nowy szef zapowiedział zmiany, ma być kreatywnie i dynamicznie. „TVP Info czeka mnóstwo nowej energii”, mówi.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zebrał Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 740ab42e27

Z Galicji

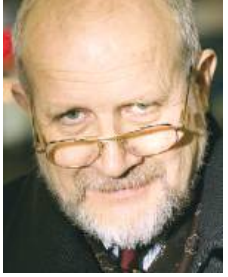

Jan Widacki

Wybór między Jałtą a Monachium

Z tej wojny, za którą Ukraina płaci ogromną cenę, płyną rozliczne nauki, także dla nas. Jedną z nich jest pokazanie „sojuszniczej lojalności" Donalda Trumpa. Najpierw dał jej próbkę po spotkaniu z Putinem na Alasce, gdy zaproponował Ukrainie faktycznie nie tylko kapitulację, ale też wyrzeczenie się suwerenności na przyszłość. Solidarny opór przywódców europejskich spowodował, że Trump na chwilę jakby zapomniał o swoim pomyśle rozwiązania konfliktu, by ostatnio go przypomnieć Ukrainie w 28 punktach projektu porozumienia. I znów na skutek perswazji przywódców europejskich zaczyna z niektórych punktów się wycofywać. Ale jak się wycofa za bardzo, pokoju nie zaakceptuje Putin. Wydaje się więc, że i tym razem do zakończenia wojny nie dojdzie.

Nie wiem, czy są wyliczenia, kto na tej wojnie ile zarobił, a kto ile stracił. Jedno jest pewne: najwięcej stracili Ukraina i Ukraińcy. Państwa europejskie wymieniły swoje przestarzałe uzbrojenie na nowoczesne. W większości, zdaje się, kupione w USA. Za sprzęt wojenny wysyłany z USA do Ukrainy też od pewnego czasu płaci już Europa.

Uzbrojenie Europy było przestarzałe, bo przez ostatnie dekady nikt w Europie nie spodziewał się wojny. Gdyby nie agresja rosyjska skierowana przeciw Ukrainie, demonstrująca, że Rosja ma za nic prawo międzynarodowe i standardy europejskie, a Putin rzeczywiście przystąpił do odbudowy ZSRR, demokratyczne społeczeństwa zachodnie nie pozwoliłyby na tak poważne wydatki na zbrojenia. Wychodzi na to, że zarabia na wojnie, i to chyba nieźle, Ameryka. Jaki zatem Ameryka miałaby interes w kończeniu tej wojny? Chyba tylko taki (i aż taki), że chce resetu stosunków z Rosją, bo jej konkurentem, jeśli nie wprost przeciwnikiem, są Chiny. Ale może ten reset nie jest aż tak pilny, więc z pokojem rosyjsko-ukraińskim pośpiechu nie ma. Ten wymarzony pokojowy Nobel dla Trumpa również może jeszcze spokojnie poczekać.

Jeśli ktoś nie zna historii i miał jakieś złudzenia, to teraźniejszość pokazuje mu dobitnie, że w polityce mocarstw nigdy nie chodziło o abstrakcyjne wartości typu wolność ludów, obrona demokracji, sentyment do historii i historycznych postaw sojuszników politycznych. Zawsze chodziło o własny interes. Miał szczęście mniejszy sojusznik, gdy jego interes był choć w części zbieżny z interesem sojuszniczego mocarstwa.

Jeśli Trump zdecyduje się bronić Polski, to nie dlatego, że czuje dług wdzięczności za dokonania Pułaskiego pod Savannah czy za przyjaźń Kościuszki z Waszyngtonem – nawet nie wiem, czy o nich słyszał. Ani dlatego, że Polska ma taką piękną, heroiczno-martyrologiczną przeszłość, bo nawet gdyby ją znał, nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia. Także nie dlatego, że z aktualnym prezydentem Polski łączy go niezbyt jasna przeszłość. Jeśli w przyszłości, gdyby zaszła taka potrzeba, broniłby Polski, to tylko dlatego i w takim stopniu, w jakim wymagałby tego interes Ameryki, tak jak on ten interes aktualnie postrzega. Nie ma żadnego argumentu, który przemawiałby za tym, że Trump byłby bardziej lojalnym sojusznikiem Polski, niż jest lojalny wobec Ukrainy.

> Bezgraniczne zaufanie do Trumpa jest nie tylko błędem politycznym, ale wręcz tragiczną głupotą.

Europa Zachodnia, też gdyby co do czego przyszło, broniłaby nas nie dlatego, że ma do nas słabość i sentyment, lecz dlatego, że ma w tym realny interes. Inaczej mówiąc, nasz interes jest zbieżny z interesem zachodniej Europy. Wyrwanie przez Rosję Polski z europejskiej wspólnoty byłoby dla nas tragedią, ale również stanowiłoby realne zagrożenie dla interesów i bezpieczeństwa Europy. Bezgraniczne zaufanie do Trumpa i rządzonej przez niego Ameryki, przy równoczesnym skłócaniu się z Unią Europejską, jest nie tylko błędem politycznym, ale wręcz tragiczną głupotą i igraniem z bezpieczeństwem Polski. ■

sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 740ab42e27

Dowód osobisty zawsze pod kontrolą

– wygodne usługi w mObywatelu, które oszczędzają czas

Zgubiony portfel, potrzeba wymiany dowodu albo chęć sprawdzenia, czy nowy dokument jest już gotowy do odbioru – to sytuacje, które mogą zdarzyć się każdemu. Dzięki usługom w aplikacji mObywatel wszystkie najważniejsze sprawy związane z dowodem załatwisz szybko i wygodnie: zawiesisz lub unieważnisz dokument, złożysz wniosek o nowy dokument, sprawdzisz status realizacji, a w razie potrzeby skorzystasz z mDowodu.

Plastikowy dowód osobisty – cyfrowe usługi w aplikacji mObywatel

Dowód osobisty to dokument, który towarzyszy nam praktycznie wszędzie – w urzędach, bankach, podczas wyjazdów służbowych czy przy odbieraniu listów. Dlatego jego zgubienie, zniszczenie lub konieczność wymiany potrafi skutecznie zepsuć dzień.

Dobra wiadomość jest taka, że większość formalności możesz dziś załatwić bez stresu, kolejki i papierów – w aplikacji mObywatel.

Złóż wniosek o nowy dowód i śledź jego status w usłudze „Twoje sprawy". W razie potrzeby korzystaj z mDowodu. Wszystko w jednym miejscu – wygodnie i o każdej porze.

Zawieszenie dowodu – pierwszy krok, gdy nie masz pewności

Jeśli nie wiesz, czy dokument został zgubiony, czy tylko zapodział się w domu lub torbie, możesz go zawiesić.

To rozwiązanie idealne „na wszelki wypadek".

Zawieszenie powoduje, że:

- nikt nie wykorzysta Twojego dowodu do wzięcia pożyczki,
- nie zostanie zawarta żadna umowa na Twoje dane,
- masz czas na spokojne poszukiwania.

Gdy dokument się odnajdzie, możesz go jednym kliknięciem odwiesić. Ale pamiętaj, że jeśli w ciągu 14 dni tego nie zrobisz, dokument zostanie unieważniony na zawsze.

Zawieś lub unieważnij dowód osobisty bez wizyty w urzędzie. W aplikacji mObywatel zrobisz to szybko i bez stresu, bo z mObywatelem jest łatwiej.

Unieważnienie dowodu – wybierasz, gdy masz pewność utraty

Jeśli jesteś przekonany, że dowód został skradziony albo na pewno go nie odzyskasz, w aplikacji możesz go unieważnić.

To trwa tylko chwilę, a daje pełne bezpieczeństwo:

- chroni Twoją tożsamość,
- uniemożliwia osobom trzecim posługiwanie się dokumentem,
- automatycznie informuje instytucje, że dowód nie jest już ważny.

Nie musisz dzwonić na infolinię ani odwiedzać urzędu – dzięki usłudze w mObywatelu załatwisz to od razu.

Złożenie wniosku o nowy dowód – bez kolejek

Zgubienie lub zniszczenie dokumentu nie oznacza już konieczności stania w długich kolejkach. W aplikacji mObywatel możesz złożyć wniosek o nowy dowód osobisty.

Proces jest prosty:

- wypełniasz wniosek,
- dołączasz zdjęcie (albo robisz je ze wsparciem aplikacji mObywatel),
- potwierdzasz dane,
- wysyłasz.

Dowód – dokument, który masz zawsze pod ręką

W codziennych sytuacjach możesz korzystać z mDowodu, czyli cyfrowego dokumentu, który masz zawsze pod ręką w aplikacji mObywatel.

mDowód jest:

- **bezpieczny,**
- **honorowany w wielu codziennych sytuacjach (np. w urzędach, bankach czy w ochronie zdrowia).**

eprasa.pl 740ab42e27

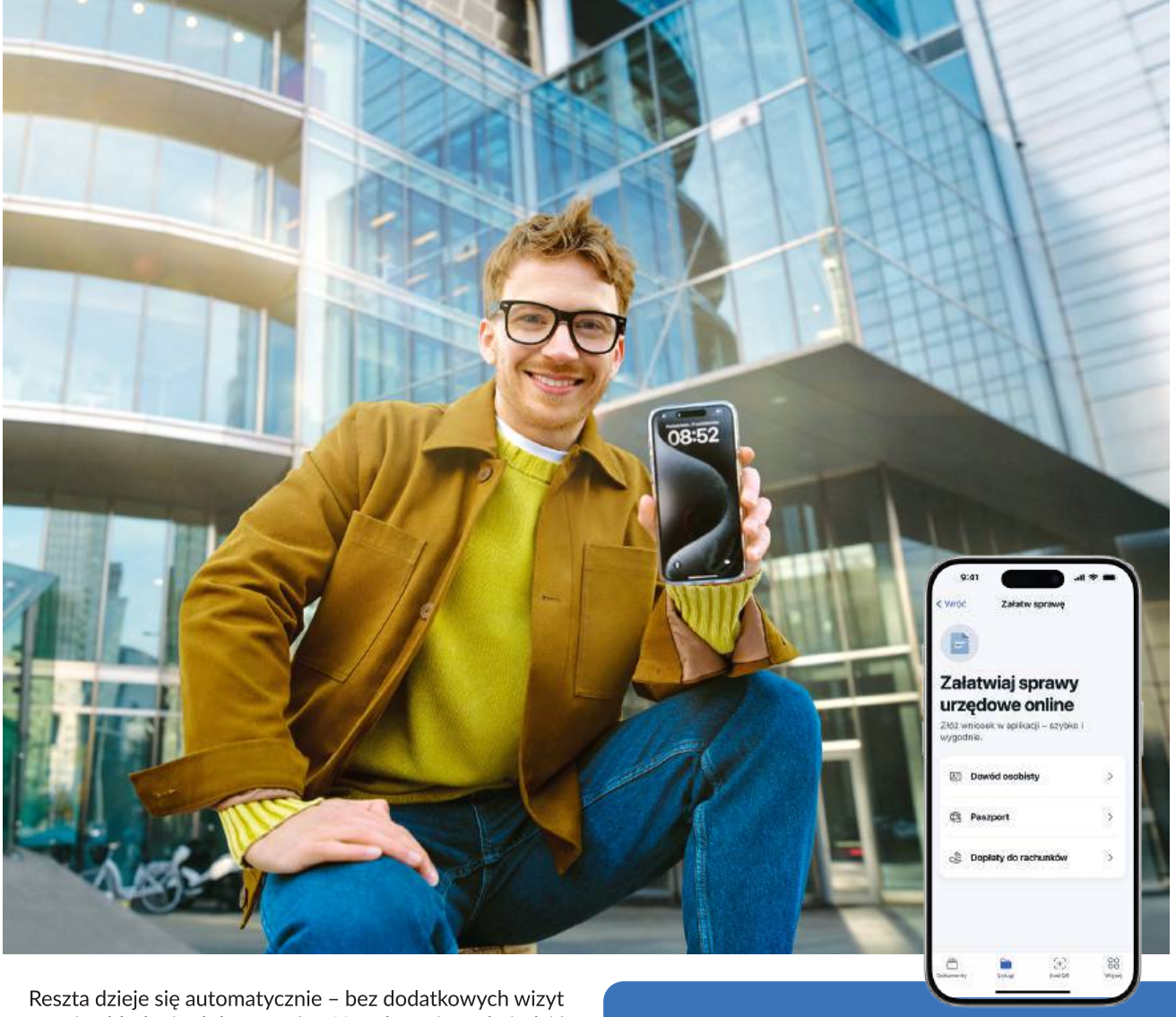

Reszta dzieje się automatycznie – bez dodatkowych wizyt na etapie składania dokumentów. Urząd musisz odwiedzić dopiero przy składaniu podpisu oraz odcisku palca.

Sprawdzanie statusu – wszystko w usłudze „Twoje sprawy”

Po złożeniu wniosku możesz na bieżąco sprawdzać status jego realizacji.

W usłudze „Twoje sprawy” zobaczysz dokładnie:

- status wniosku,
- datę wysłania,
- datę zmiany statusu,
- urząd zajmujący się sprawą.

W usłudze „Odbiór dowodu” sprawdzisz, czy jest już gotowy do odbioru w urzędzie. Nie musisz zgadywać ani jechać „na próbę”. Aplikacja powiadomi Cię, kiedy dokument będzie czekał gotowy do odbioru.

Pobierz aplikację mObywatel

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Wszystko w jednym miejscu wtedy, kiedy potrzebujesz

Aplikacja mObywatel pozwala zarządzać najważniejszym dokumentem tożsamości, czyli e-dowodem – szybko, bezpiecznie i o każdej porze.

Od zawieszenia dokumentu, przez jego unieważnienie, po złożenie wniosku i sprawdzanie statusu – każdy etap jest prosty i przejrzysty.

To rozwiązania, które oszczędzają czas, bo technologia ma ułatwiać codzienne życie, a nie je komplikować.

Materiał informacyjny współfinansowany z funduszy Unii Europejskiej.

Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
Ministerstwo Cyfryzacji

eprasa.pl 740ab42e27

35 lat religii w szkole – polemika

Zamieszczamy fragment polemiki z artykułem „35 lat religii w szkole i coraz szybsza laicyzacja" (nr 41/2025), którą napisali Dariusz Kwiecień i Tomasz Sypniewski, nauczyciele religii w szkole średniej w Warszawie, członkowie Stowarzyszenia Katechetów Świeckich. Komentarz jest dłuższy niż okładkowy tekst, dlatego całość przeczytają Państwo na stronie internetowej. Do polemiki odniosę się w kolejnym numerze.

Kornel Wawrzyniak

Czytając tekst pana Kornela Wawrzyniaka w „Przeglądzie", trudno oprzeć się wrażeniu, że jego narracja o religii w szkole to nie analiza, lecz akt oskarżenia – z wyrokiem wydanym jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Wawrzyniak i cytowani przez niego eksperci malują Kościół jako opresyjną instytucję, nauczycieli religii jako strażników „szariatu katolickiego", a uczniów – jako ofiary „katolickiej indoktrynacji". Tyle że ten obraz, choć wygodny, jest całkowicie nieprawdziwy. A przecież „półprawda jest całym kłamstwem".

Manipulacja tytułem – przykład medialnej nierzetelności

Warto zauważyć, jak różnie przedstawiono ten sam tekst w różnych mediach. Oryginalny tytuł w tygodniku „Przegląd" – „35 lat religii w szkole i coraz szybsza laicyzacja" – jest przynajmniej uczciwą publicystyczną tezą. Autor stawia diagnozę, z którą można się zgodzić lub polemizować, ale wiadomo, czego dotyczy artykuł. Natomiast tytuł nadany przez portal Onet: „Seria skandali w polskim Kościele. To był strzał w kolano" – to już czysta manipulacja. Nie tylko przesuwa akcent z tematu religii w szkole na sensacyjną narrację o „skandalach w Kościele", ale też buduje emocjonalny kontekst, który nie ma wiele wspólnego z treścią artykułu. To przykład medialnej techniki, która z poważnej dyskusji o edukacji czyni propagandowy spektakl, odwołujący się do emocji, a nie argumentów. Takie zabiegi nie służą ani prawdzie, ani rzetelności dziennikarskiej. A przecież debata o religii i etyce w szkole powinna być przestrzenią spokojnego namysłu – nie medialnego polowania na sensację.

Mityczne przywileje kleru czy jawna dyskryminacja nauczycieli religii

Co to właściwie oznacza, że „od 1 września 2025 r. szefowa resortu edukacji ogranicza przywileje kleru w szkole i jego dostęp do uczniów", jak w sposób mało wyrafinowany przedstawia to pan redaktor? Przypominamy, że „kler" to potoczna nazwa osób duchownych, do których zalicza się 34,7 tys. księży katolickich i 154 biskupów (z tego co wiemy, żaden z tych ostatnich nie uczy religii w szkole). Za to w szkołach pracuje 29,8 tys. pełnoprawnych nauczycieli, nazywanych potocznie katechetami, spośród których tylko 8 tys. stanowią księża. Zdecydowana większość katechetów to jednak osoby świeckie (3250 mężczyzn i aż 13450 kobiet). Po bezprawnej reformie pani minister Nowackiej wielu z nich straciło pracę, ma ograniczone etaty, a przez to niższe dochody, mimo że mają na utrzymaniu dzieci, starszych rodziców i zobowiązania kredytowe. Sam resort edukacji szacował, że w wyniku nagłego ograniczenia lekcji religii do jednej tygodniowo zlikwidowanych zostanie 10,5 tys. etatów nauczycieli religii.

Paradoksalnie więc minister Barbara Nowacka – znana feministka i orędowniczka równości kobiet – swoją decyzją najbardziej uderzyła właśnie w kobiety. W zawodzie nauczyciela religii przeważają przecież kobiety, często z wieloletnim doświadczeniem pedagogicznym i dodatkowymi kwalifikacjami. To one, a nie „kler", poniosły największe konsekwencje tej decyzji. W imię rzekomego „unowocześnienia edukacji" pozbawiono pracy tysiące kobiet, które całe życie poświęciły kształceniu młodzieży i budowaniu etosu szkoły. Trudno o bardziej wymowny przykład sprzeczności między ideologicznymi deklaracjami a rzeczywistością.

Jakkolwiek by liczyć, nawet gdyby każdy z uczących księży zrezygnował z nauczania w szkole (choć część dyrektorów chce mieć księdza jako katechetę, bo jest kompetentnym nauczycielem, ma dobry kontakt z młodzieżą i często realizuje awans zawodowy, którego nie może przerwać), bilans się nie zgadza.

Nie przywilej, tylko prawo

Zacznijmy od rzeczy podstawowej: religia w szkole nie jest żadnym „przywilejem kleru". To prawo rodziców i uczniów, zapisane w Konstytucji RP (art. 53) oraz w konkordacie między Stolicą Apostolską a Polską. To prawo do wychowania dzieci zgodnie z przekonaniami, a nie przymus uczestnictwa w praktykach religijnych. W każdej szkole rodzic lub pełnoletni uczeń sam decyduje o uczestnictwie. Mówienie o „ograniczaniu dostępu kleru do uczniów" brzmi tak, jakby nauczyciele religii byli intruzami, a nie pełnoprawnymi pracownikami systemu edukacji, którzy – przypomnijmy – zdają takie same egzaminy, podlegają ocenie pracy i są zobowiązani do przestrzegania tych samych standardów dydaktycznych, co inni nauczyciele. My, nauczyciele religii, nie walczymy o przywileje, lecz o zachowanie sensu swojej pracy – katechetycznej i wychowawczej, opartej na trosce o człowieka.

Cały tekst dostępny na stronie internetowej „Przeglądu" po zeskanowaniu kodu QR.

eprasa.pl 740ab42e27

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Cała władza w ręce Karola

Rzecz pośrednio dotyczy Marksa, ale istotowo – postaci zupełnie wyjątkowej w polskiej polityce (tej prawdziwej) ostatnich kilkudziesięciu lat, czyli Karola Modzelewskiego, zmarłego, aż trudno uwierzyć, już sześć lat temu.

Kilka w sumie instytucji, nie podążając za fetyszem systemu dziesiętnego tłumaczącego, kiedy powinno się wspominać, pamiętać, obchodzić – w 88. rocznicę urodzin wykazało się pamięcią. To m.in. Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza oraz gmina i burmistrz Bielan – w Warszawie, na Bielanach, gdzie Profesor mieszkał przez ostatnie ponad 20 lat. Uroczystość, choć miała swoje profesorskie gadające, mądrze – a jakże – głowy, pomieściła i uczniów, i sąsiadów, wśród nich naprawdę młode osoby. Dzięki temu była zajmująca, a nie zanadto podniosła, w jakiś sposób wierna życiu Karola Modzelewskiego – osoby dowcipnej, życzliwej i słuchającej, wieloletniego więźnia politycznego PRL, wybitnego mediewisty.

Druga uroczystość odbyła się we Wrocławiu, gdzie przez wiele lat Karol Modzelewski mieszkał i pracował po opuszczeniu więzienia, po drugim „marcowym" wyroku. Wrócił wtedy na uniwersytet, ale nie na ten, który uważał za „swój" matecznik. Tam jednak od 1980 r. współtworzył Solidarność po strajkach Sierpnia 1980 r. Za to zaangażowanie w działalność związku, którego nazwy był autorem, przyszło mu odsiedzieć jeszcze kilka lat. Spotkanie o charakterze wspominkowo-analitycznym zorganizował zastępca szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Michał Syska, przez wiele lat współpracujący z prof. Modzelewskim.

Sam bohater wspomnień urodził się w Moskwie niesławnego roku 1937 (rozwiązanie Komunistycznej Partii Polski, czas mordów na polskich komunistach, prześladowań i wyroków śmierci tylko za to, że ktoś był Polakiem), w politykę wszedł, jeszcze nie mając 20 lat, kiedy towarzyszył Lechosławowi Goździkowi podczas strajku żerańskich robotników w 1956 r. Na szczęście ta polska ważna data nie spłynęła (jak na Węgrzech) krwią. Potem wraz z Jackiem Kuroniem napisał „List otwarty do partii", za co obydwaj odsiedzieli swój pierwszy, paroletni wyrok. Używając marksowskich instrumentów analizy politycznej, autorzy poddali bezlitosnej krytyce polską rzeczywistość polityczną pod przewodem PZPR, która porzuciła na dobre kurs odnowy z 1956 r.

W obu spotkaniach uczestniczył prof. Andrzej Friszke, który polityczną aktywność Modzelewskiego opisywał w książkach poświęconych „opozycji demokratycznej" i historii Solidarności.

Karol Modzelewski nie był lubiany przez swoje „styropianowo-solidarnościowe" środowisko po 1989 r., kiedy jednoznacznie i konsekwentnie krytykował kształt transformacji wykuwanej przez dawnych towarzyszy walki. Identyfikował się z pokrzywdzonymi przez zmiany systemowe, których symbolem stało się nazwisko Leszka Balcerowicza. Solidarność z losem robotników, pracowników PGR-ów była dla niego istotniejsza niż wspieranie „republiki kolesiów". Zapłacił za to bolesną cenę wymazania z debaty publicznej w latach 90. Głos legendy opozycji, Solidarności, został usunięty z mediów tworzonych przez dawnych przyjaciół.

Podobny los spotkał prof. Tadeusza Kowalika czy w mniejszym stopniu Ryszarda Bugaja. Sam Modzelewski wielokrotnie powtarzał, że „gdyby wiedział, że w tych wszystkich działaniach opozycji i Solidarności chodziło o wprowadzenie kapitalizmu – to nie siedziałby w więzieniu ani jednego dnia". Był to wówczas głos wołającego na puszczy, czyli wykluczony z debaty. Tadeusz Kowalik podkreślał: „Mówiąc o skarleniu Solidarności, nie możemy zapominać o wielkim paradoksie: oto najbardziej masowy i najpotężniejszy ruch robotniczy w Europie drugiej połowy XX w. wypromował jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społeczno-ekonomicznych, o największym bezrobociu i stale rosnącej biedzie".

Tezy krytyczne w tym dokładnie duchu możemy odnaleźć zarówno w wystąpieniach Karola Modzelewskiego w Senacie, jak i rozsiane w jego tekstach publicystycznych. I w tamtym okresie, w latach 90., i podczas dyskusji urodzinowych obecnie, powracał wątek „bezalternatywności" ówczesnego modelu zmian. Co zastanawiające, niemal powszechnie akceptowanej. Polska klasa polityczna mówiła głosem Margaret Thatcher: *There is no alternative* (Nie ma alternatywy). Ale w tamtym momencie i zawsze później Modzelewski z pełnym przekonaniem twierdził, że „zawsze jest alternatywa". To był rzeczywisty powód uciszania, pomijania i nieuwzględniania jego głosu. Jednak ten wymiar cenzury personalnej był już nieformalny, niewidzialny, niedeklarowany. Opinia Modzelewskiego po prostu z obiegu dyskusji znikła – takie były ostateczne konsekwencje jego oceny. Sądzę, że dlatego, że była trafna i psułaby dobre samopoczucie wprowadzaczy drapieżnego kapitalizmu, którzy mieli usta pełne „wolności", a pojęcie równości z języka wyparowało. Tym bardziej istnienie jakichś „nierówności". To były pojęcia tabu. Modzelewski, jak wcześniej przez lata, był głosem samoistnym, niewygodnym, buntowniczym, nie brał udziału w tworzeniu nowej, upudrowanej, baśniowej legendy wprowadzanego ustroju ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 740ab42e27

Jak w 1995 r. wybraliśmy przyszłość

Aleksandra Kwaśniewskiego środowiska postsolidarnościowe atakowały w stopniu, jakiego nie widziano po 1989 r.

Paweł Siergiejczyk

30 lat temu Polacy po raz drugi w swojej historii wybierali prezydenta. Wybory, które odbyły się w listopadzie 1995 r., zasadniczo różniły się jednak od tych sprzed pięciu lat. Te z 1990 r. były całkowitym eksperymentem i pozostały takim do końca: brak ustabilizowanych partii politycznych (co spowodowało udział w pierwszej turze zaledwie sześciu kandydatów, którzy zdołali zebrać co najmniej 100 tys. podpisów), przekonanie o nieuchronnym zwycięstwie Lecha Wałęsy, którego ambicje były jedynym powodem skrócenia kadencji gen. Jaruzelskiego, wreszcie szok związany z klęską premiera Tadeusza Mazowieckiego i wejściem do drugiej tury polonijnego populisty Stanisława Tymińskiego.

Pięć lat później Polska była w zupełnie innym miejscu. Przeżyliśmy cztery rządy postsolidarnościowe, których coraz mniej akceptowana społecznie polityka jesienią 1993 r. utorowała drogę do władzy opozycyjnym partiom wyrosłym z PRL – lewicy i ludowcom. Koalicja rządowa SLD-PSL była o wiele bardziej stabilna i przewidywalna niż jej centroprawicowe poprzedniczki z Sejmu I kadencji. Dysponowała bowiem wyraźną większością parlamentarną i doświadczonymi kadrami, a przede wszystkim odpowiedzialnym przywództwem, w którym wyróżniał się lider Sojuszu Lewicy Demokratycznej Aleksander Kwaśniewski.

W sytuacji, gdy niemal cała prawica znalazła się poza Sejmem i zajmowała się ciągłym „jednoczeniem" poprzez kolejne kłótnie i podziały, jedynym istotnym problemem dla koalicji rządowej był prezydent Wałęsa. Tak zwana mała konstytucja z 1992 r. dawała mu niebagatelny wpływ na rządzenie państwem – nie tylko poprzez prezydenckie weto, do którego odrzucenia potrzebne były wtedy aż dwie trzecie głosów w Sejmie (w konstytucji z 1997 r. zmniejszono tę liczbę do trzech piątych), ale też dzięki bezpośredniemu wpływowi głowy państwa na obsadę resortów spraw zagranicznych, obrony narodowej i spraw wewnętrznych. Owe „resorty prezydenckie" stanowiły wyłączną domenę wpływów Wałęsy, z czym koalicja rządowa się godziła, choć nie bez oporów.

W miarę zbliżania się końca kadencji prezydenta atmosfera w polskiej polityce robiła się coraz bardziej nerwowa. Wielomiesięczne próby wyłonienia „wspólnego kandydata prawicy" zakończyły się nie tylko fiaskiem, ale wręcz kompromitacją, mimo zaangażowania czynników kościelnych w postaci tzw. Konwentu św. Katarzyny, obradującego w parafii pod tym wezwaniem na warszawskim Służewie. Powodem konfliktu, prócz osobistych ambicji poszczególnych polityków, był stosunek do Lecha Wałęsy, którego reelekcję duża część prawicy (m.in. Jarosław Kaczyński, Jan Olszewski i Antoni Macierewicz) traktowała jako takie samo, a może i gorsze zło niż zwycięstwo „postkomunisty". W rezultacie rozdrobnienie partyjne w tamtych wyborach okazało się rekordowe w dziejach III RP.

17 kandydatów

Przebywający wówczas na konferencji naukowej w Austrii krakowski polonista prof. Marian Stępień zanotował w dzienniku 28 października 1995 r.: „W rozmowie podczas lunchu kierują się do mnie pytania o sytuację w Polsce. (…) Niepowstrzymany wybuch śmiechu jest reakcją na wiadomość, że prezydenta będziemy wybierać spośród 17 kandydatów. Gdybyż oni jeszcze wiedzieli, jacy to są kandydaci…".

W owej siedemnastce znaleźli się bowiem zarówno przedstawiciele najważniejszych sił parlamentarnych (Aleksander Kwaśniewski z SLD, były premier Waldemar Pawlak z PSL, Jacek Kuroń z Unii Wolności, wystawiony przez Unię Pracy rzecznik praw obywatelskich prof. Tadeusz Zieliński oraz Leszek Moczulski z KPN), jak i kandydaci pozaparlamentarnej prawicy (były premier Jan Olszewski, prezes Narodowego Banku Polskiego Hanna Gronkiewicz-Waltz, były przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Marek Markiewicz, Janusz Korwin-Mikke z Unii Polityki Realnej, Lech Kaczyński z Porozumienia Centrum), ale także grupa politycznych debiutantów, wśród których lider Samoobrony Andrzej Lepper prezentował się jeszcze najpoważniej. O urząd prezydenta postanowili walczyć tacy ludzie jak satyryk Jan Pietrzak i nieznani szerzej biznesmeni: Tadeusz Koźluk, Bogdan Pawłowski, Kazimierz

eprasa.pl 740ab42e27

Debata telewizyjna Aleksandra Kwaśniewskiego i Lecha Wałęsy przed drugą turą wyborów prezydenckich. 15 listopada 1995 r.

Piotrowicz i Leszek Bubel, przy czym ten ostatni prowadził kampanię pod hasłami antysemickimi. Ostatecznie zresztą kilku konkurentów – Moczulski, Kaczyński, Markiewicz i Pawłowski – zrezygnowało jeszcze przed pierwszą turą wyborów.

Mimo tak wielkiej różnorodności kandydatów Polacy już pierwszą turę, która odbyła się 5 listopada 1995 r., potraktowali jako swoisty plebiscyt. Najwięcej głosów otrzymał Kwaśniewski (35%), tuż za nim był Wałęsa (33%), reszta zaś uzyskała zaledwie jednocyfrowe wyniki: Kuroń 9%, Olszewski prawie 7%, Pawlak nieco ponad 4%, Zieliński 3,5%, a Gronkiewicz-Waltz niespełna 3%. Druga tura 19 listopada miała być zatem wyborem pomiędzy dotychczasowym prezydentem a liderem partii rządzącej. Przynajmniej tak byłoby w kraju o stabilnej demokracji i normalnych podziałach politycznych. Jednak Polska 30 lat temu jeszcze takim krajem nie była, dlatego tamte wybory duża część społeczeństwa – a zwłaszcza polskich elit – potraktowała w kategoriach walki dobra ze złem.

Owym złem miały być „siły starego systemu" reprezentowane przez Kwaśniewskiego. Wałęsa nie był już wówczas ulubieńcem większości Polaków, nawet tych o przekonaniach antykomunistycznych, gdyż po pięciu latach prezydentury kojarzył się z ciągłym chaosem i nieznośną megalomanią. Jednak w bezpośrednim starciu z Kwaśniewskim potrafił – wykorzystując swoją legendę dawnego przywódcy Solidarności i znanego na świecie noblisty – przekonać miliony wyborców, że tylko on może zablokować „powrót komuny". Cała kampania wyborcza, a już zwłaszcza przed drugą turą, miała zatem jeden cel: zdyskredytowanie lidera SLD pod względem kwalifikacji nie tyle politycznych (tych bowiem Kwaśniewskiemu nikt nie był w stanie odmówić), ile moralnych.

Schizofrenia Młynarskiego

W obliczu możliwego zwycięstwa kandydata lewicy – w dodatku startującego pod hasłem „Wybierzmy przyszłość" – środowiska postsolidarnościowe sięgnęły po retorykę antykomunistyczną w stopniu, jakiego nie widziano po 1989 r. Telewizyjne spoty wyborcze Wałęsy cały czas przypominały o represjach z czasów PRL, zwłaszcza stanu wojennego, i straszyły powrotem do tamtych metod, a także do kartek na żywność i innych przejawów kryzysu gospodarczego lat 80. W spotach tych występowali również niektórzy przedstawiciele elit kulturalnych, notabene znani z okresu Polski Ludowej. Wojciech Młynarski tłumaczył: „Nie cierpię postkomunistów. Są obrzydliwi i nie wierzę w ani jedno ich słowo. I ja bym chciał, żeby oni byli na jakimś trochę innym miejscu niż to, które chcą zająć. (…) Postrzegani będziemy na Zachodzie i w ogóle na zewnątrz strasznie, kiedy postkomuniści wezmą władzę, bo najpierw myśmy ich odrzucili, a teraz ich przyjmujemy, w związku z tym o co chodzi, jakaś schizofrenia".

O ile jednak trudno było bezpośrednio powiązać Kwaśniewskiego z ciemnymi kartami PRL – wszak jako młody działacz PZPR nie miał nic wspólnego z aparatem represji, a jedynie z ruchem studenckim, prasą i sportem – o tyle dwie konkretne sprawy stały się tematem nagonki przedwyborczej: majątek i wykształcenie kandydata SLD.

Pod koniec października 1995 r. kierowany przez Tomasza Wołka dziennik „Życie Warszawy" opublikował artykuł „Czerwona pajęczyna", ujawniający udziałowców Towarzystwa Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjnego Polisa, wśród których – obok kilku instytucji państwowych oraz grupy dawnych polityków PZPR – miały się znaleźć żony Aleksandra Kwaśniewskiego i Józefa Oleksego. Liderowi lewicy zarzucono, że nie odnotował tego faktu w poselskiej deklaracji majątkowej.

Niewątpliwie celną odpowiedzią sztabu Kwaśniewskiego na ten zarzut było oskarżenie Wałęsy o niezapłacenie podatku od 1 mln dol., otrzymanego w 1989 r. od amerykańskiej wytwórni filmowej Warner Bros. A podczas pierwszej z dwóch debat telewizyjnych kandydat SLD wręczył Wałęsie pełne oświadczenie o swoim majątku, co wyprowadziło urzędującego prezydenta z równowagi i zdecydowanie pomogło Kwaśniewskiemu wygrać to spotkanie.

Drugim zarzutem pod adresem lidera lewicy była kwestia wyższego wykształcenia, które podawał w oficjalnych dokumentach. Podczas kampanii wyborczej nieprzychylne Kwaśniewskiemu media ujawniły, że nie obronił on pracy magisterskiej na

eprasa.pl 740ab42e27

Uniwersytecie Gdańskim. Po latach, w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim, były już prezydent przyznał, że niedokończenie studiów to w jego życiu „gruby błąd": „Z dzisiejszej perspektywy zdobycie formalnego tytułu byłoby uzasadnione. Uniknąłbym różnych przykrości i związanego z tym złego samopoczucia". Przypomniał zarazem, że nigdzie nie podpisywał się jako „magister Kwaśniewski", a jedynie uznawał, że ukończył studia.

Przeciwnicy SLD traktowali obie te sprawy jako zarzuty „ciężkiego kalibru", warto jednak pamiętać, że 30 lat temu nie mogły one zdecydować o zwycięstwie Wałęsy, który nie miał żadnego wykształcenia, w dodatku symbolizował rządy postsolidarnościowe, przez większość Polaków wiązane z aferami gospodarczymi nieporównanie większej wagi niż sprawa Polisy (która przecież żadną aferą nie była).

Rydzyk i Komorowski

Perspektywa zwycięstwa Kwaśniewskiego zmobilizowała przeciwko niemu w listopadzie 1995 r. tyleż szeroką, co kuriozalną koalicję: od o. Tadeusza Rydzyka, którego raczkujące wówczas Radio Maryja bardzo zaangażowało się w popieranie Wałęsy, poprzez zdecydowaną większość środowisk prawicowych, aż po Unię Wolności, która już nazajutrz po pierwszej turze udzieliła oficjalnego poparcia urzędującemu prezydentowi, choć od ponad pięciu lat środowisko unijne było wobec niego krytyczne.

Wśród działaczy UW już w czerwcu 1995 r. pojawiła się Inicjatywa ¾, której liderem był krakowski poseł Jan Maria Rokita, a zaangażował się w nią m.in. późniejszy prezydent Bronisław Komorowski. Nazwa miała dowodzić, że kandydata lewicy popiera zaledwie czwarta część społeczeństwa, należy więc przeciw niemu zmobilizować całą resztę. Działalność inicjatywy trafnie podsumowali autorzy wydanej w 1997 r. „Prawie białej księgi polskiej sceny politycznej": „Inicjatywa organizowała akcje propagandowe w celu skompromitowania przeciwnika w oczach wyborców, grupy próbujące zakłócać lub zrywać wiece".

Wielu polityków UW miało jednak dylematy, które 12 listopada 1995 r. odnotował w dzienniku Waldemar Kuczyński: „O ósmej wieczorem nadano w telewizji pierwszą debatę między kandydatami na prezydenta. Gdyby nie pamiętać o przeszłości, wybór byłby prosty. Kwaśniewski bił Wałęsę spokojem, klarownością myśli, kulturą wypowiedzi. Wałęsa i jego pomocnicy: Jan Nowak-Jeziorański i lekko pretensjonalny młodzik od spraw zagranicznych, Jerzy Marek Nowakowski – straszyli, że jak ludzie wybiorą Kwaśniewskiego, to będzie w kraju ruchawka i nie przyjmą nas do NATO. Słowem wojna domowa i katastrofa. Kwaśniewski mówił o wspólnym kraju i zgodzie. Niestety dla ludzi mojego pokolenia wybór jest bardzo trudny, bo za tymi dwoma postaciami my widzimy epopeję Solidarności i opozycji demokratycznej z jednej strony i represyjny, a kiedyś zbrodniczy, system z rzeszami ludzi uwikłanych w trzymanie społeczeństwa za twarz, którzy jeśli nawet stracili chęć, by robić to nadal, to nie stracili chęci, by wszyscy to jak najszybciej zapomnieli i by oni znów byli na wierzchu. (…) Z tego powodu dla mnie wybór między Wałęsą i Kwaśniewskim jest tak trudny. I choć słuchając Wałęsy, a jeszcze bardziej patrząc na jego działania, skręcają mi się trzewia, to raczej jemu oddam głos. Albo żadnemu".

W środowiskach postsolidarnościowych znalazły się tylko pojedyncze osoby, które nie uległy

Nagroda Samorządowa
im. Norberta Barlickiego 2025

Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego została ustanowiona uchwałami władz Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska i wręczona po raz pierwszy w roku 2012. Przyznawana jest osobom fizycznym i prawnym związanym z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 27 listopada 2025 r. w Krakowie w Hotelu Qubus Kraków.

W imieniu Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska Nagrody Samorządowe im. Norberta Barlickiego za rok 2025 przyznała kapituła w składzie: Aleksander Kwaśniewski (przewodniczący kapituły), Marcin Bazylak, Wiesław Czyczerski, Witold Gintowt-Dziewałtowski, Krzysztof Janik, Jacek Majchrowski, Stanisław Pawlak, Dorota Pawnuk, Rafael Rokaszewicz, Wojciech Saługa, Tadeusz Sobol, Tomasz Trela, Tadeusz Wojdyński, Stanisław Wawrzonkoski, Stanisław Wziątek, Mariusz Zgaiński oraz Jan Kazimierz Czubak (sekretarz kapituły), w sześciu kategoriach przewidzianych przez regulamin nagrody:

- **Firma przyjazna samorządowi: Koleje Śląskie sp. z o.o., Katowice.**
- **Organizacja pozarządowa: Fundacja PODZIEL SIĘ, Chorzów.**
- **Jednostka samorządu terytorialnego: Miasto Ostrzeszów.**
- **Samorząd powiatowy: Sebastian Szaleniec (starosta będziński).**
- **Samorząd miejski: Sławomir Napierała (burmistrz Nakła nad Notecią).**
- **Całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego: Olgierd Poniźnik (przewodniczący Rady Powiatu Lwóweckiego).**

W kategorii samorząd województwa kapituła postanowiła w roku 2025 nagrody nie przyznać.

Jan K. Czubak, sekretarz Zarządu
Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

eprasa.pl 740ab42e27

Podczas spotkania wyborczego w Szczecinie Aleksander Kwaśniewski odwiedził cukiernię. 12 września 1995 r.

takiemu historycznemu szantażowi moralnemu. Kwaśniewskiego poparła więc wrocławska posłanka UW Barbara Labuda, poparł znany rusycysta, były szef Komitetu ds. Radia i Telewizji w rządzie Mazowieckiego, Andrzej Drawicz, poparł też wiceprzewodniczący Unii Pracy Wojciech Lamentowicz, poparł były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego u boku Wałęsy, Jerzy Milewski, a także prof. Tadeusz Zieliński, który jako jedyny z kandydatów po pierwszej turze opowiedział się za liderem SLD. Wszystkich spotkał z tego powodu ostracyzm towarzyski i partyjny (Labuda musiała się rozstać z Unią Wolności, a Lamentowicz z Unią Pracy), ale po wyborach nowy prezydent zaproponował im współpracę w swojej kancelarii lub w rządzie SLD-PSL.

Bojkot zaprzysiężenia

O atmosferze panującej wówczas wśród ludzi dawnej Solidarności dobitnie świadczą reakcje na opublikowany 9 września 1995 r. na łamach „Gazety Wyborczej" wspólny artykuł Adama Michnika i Włodzimierza Cimoszewicza „O prawdę i pojednanie". Obaj autorzy w obliczu kampanii prezydenckiej apelowali o „przerwanie procesu złowrogiej konfrontacji" pomiędzy ludźmi z dwóch stron historycznej barykady. W następnych dniach ta sama gazeta publikowała kolejne polemiki z owym tekstem, m.in. czołowych polityków UW – Piotra Nowiny-Konopki czy Jana Lityńskiego. Do nielicznych, którzy poparli ideę pojednania ludzi o różnych biografiach, należał wspomniany Andrzej Drawicz.

Nic dziwnego, że dla większości postsolidarnościowych elit wynik drugiej tury wyborów był tak bolesnym zaskoczeniem. Aleksandra Kwaśniewskiego poparło wówczas 9,7 mln wyborców (dwa tygodnie wcześniej 6,2 mln), czyli 51,7%, podczas gdy Lecha Wałęsę 9,05 mln (w pierwszej turze 5,9 mln), czyli 48,3%. Polacy, którzy pobili wtedy na długie lata rekord frekwencji (ponad 68%), podzielili się niemal po połowie, choć przewaga Kwaśniewskiego była znacznie większa niż w prezydenckich elekcjach wygrywanych potem przez Andrzeja Dudę i Karola Nawrockiego.

Ostatnią deską ratunku dla sfrustrowanych antykomunistów mógł być jeszcze Sąd Najwyższy. Tuż po wyborach Radio Maryja i inne kręgi prawicowe rozpoczęły akcję masowego wysyłania identycznych protestów wyborczych, domagających się unieważnienia wyborów pod pretekstem wprowadzenia głosujących w błąd fałszywą informacją dotyczącą wyższego wykształcenia Kwaśniewskiego. Akcja ta nie miała jednak szans powodzenia i ostatecznie 9 grudnia Izba Administracyjna, Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego uznała ważność wyborów (12 sędziów było za, piątka przeciw). Dzięki temu 23 grudnia mogło się odbyć zaprzysiężenie nowego prezydenta przed Zgromadzeniem Narodowym.

Ale i tę uroczystość – w dodatku przypadającą tuż przed świętami Bożego Narodzenia – postsolidarnościowe elity potrafiły zepsuć. Po pierwsze, bojkotując samo zaprzysiężenie, na którym nie pojawili się ani Wałęsa, ani większość posłów i senatorów UW, UP, KPN, wałęsowskiego BBWR i Solidarności. Po drugie, dwa dni wcześniej odchodzący minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski z trybuny sejmowej oskarżył premiera Józefa Oleksego o szpiegostwo na rzecz Rosji. Ta sprawa, której do dziś nikt ostatecznie nie wyjaśnił (i pewnie już nigdy wyjaśniona nie będzie), była dziełem oficerów wywiadu Urzędu Ochrony Państwa, którzy, szukając przedwyborczych haków na polityków lewicy, ulegli prowokacji rosyjskich służb specjalnych próbujących skompromitować Polskę w oczach Zachodu. To też ważny aspekt tamtej kampanii prezydenckiej, w której liczyło się tylko jedno: nie dopuścić do zwycięstwa kandydata lewicy.

Większość Polaków okazała się jednak mądrzejsza i nie uległa strachom, groźbom ani moralizatorskiej panice. Wybrany wówczas Aleksander Kwaśniewski okazał się najlepszym prezydentem III RP – tym, który w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy dał Polsce nową konstytucję, następnie wprowadził nas do NATO i Unii Europejskiej, a przede wszystkim ustanowił niedościgniony wzór głowy państwa, która jest gotowa do współpracy ze wszystkimi na scenie politycznej. Kwaśniewski szybko zbudował autorytet, który pięć lat później dał mu zwycięstwo już w pierwszej turze, a gdyby nie konstytucyjne ograniczenie, z pewnością zostałby wybrany i na trzecią kadencję.

Jaka szkoda, że każdy kolejny następca stanowi coraz większe przeciwieństwo prezydenta Kwaśniewskiego.

Paweł Siergiejczyk

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, PAP/JERZY UNDRO

eprasa.pl 740ab42e27

Dariusz Łukasiewicz

KONIEC SEKSUALNYCH CHULIGANÓW

Rewolucja roku 1956

Film Rogera Vadima „I Bóg stworzył kobietę" (1956) uchodzi za pamiętny przejaw rewolucji seksualnej w krajach zachodnich. Także u nas występująca w tym dziele Brigitte Bardot stała się symbolem przemian obyczajowych. Sam Vadim, twórca superkobiety Barbarelli (1968), którą zagrała Jane Fonda, dziś zostałby uznany za niegroźnego erotomana i seksistę. Wtedy jednak miał swoje pięć minut i odegrał znaczącą rolę w historii.

BB często gościła na łamach polskiej prasy. Popularny tygodnik „Przekrój" był forpocztą okcydentalizmu, więc w 1957 r. żaden numer nie mógł się obejść bez jej zdjęcia. Filmy z udziałem francuskiej gwiazdy wyświetlane w kinach nad Wisłą cieszyły się wielką popularnością. O tych przemianach w obyczajach napisał książkę prof. Jerzy Kochanowski. Młoda wrocławianka przepytywana w 1957 r. przez prasę opowiadała, że Polki w jej wieku z biciem serca czekają na każdy film z BB, by podpatrzeć coś z francuskiej mody i obyczajowości.

Rewolta obyczajowa 1956 r. była przejawem postępu, skutkowała lepszym życiem, równouprawnieniem i modernizacją.

Wprawdzie mieliśmy znakomitą Modę Polską i Telimenę, ale zasadniczo starano się nosić to, co naśladowało modę zachodnią. Nasze zapatrzenie na Zachód zachowało trwałość od czasów Warszawy stanisławowskiej, kiedy obowiązywała w Polsce lingua franca. Wszyscy też podpatrywali modę u Jamesa Deana i Marlona Brando – symboli młodzieżowej rewolucji.

Należało cieszyć się chwilą. „Przyszłość wymyślono po to, aby psuć teraźniejszość", mówiła BB. Wielkie miasta uchodziły za szukające przyjemności, rozerotyzowane, libertyńskie i zepsute już od czasów antycznego Rzymu, co pamiętamy z Sienkiewiczowskiego „Quo vadis". Podobnie w 1956 r. prawica ówczesne przemiany obyczajów uważała za przejaw ateizacji, a „bez Boga ani do proga"; zaczyna się konsumpcjonizm, zepsucie moralne i kryzys, potem przychodzi upadek rodziny, kryzys demograficzny i rozwody. Dopóki kościoły były pełne, panował porządek moralny. Dla prawicy miejscem kobiety jest dom i kuchnia. W pracy kobieta tylko się męczy.

Te archaiczne poglądy służą obecnie przede wszystkim usprawiedliwieniu sytuacji, w której młode pokolenie nie ma warunków materialnych ani mieszkaniowych do założenia rodziny. Wymyśla się więc wspomniane racjonalizacje, podczas gdy prawda wygląda właśnie tak: dla młodych nie ma wystarczająco często pracy na etat z normalną pensją i nie ma mieszkań do wynajęcia, które by się rymowały z zarobkami. Nie mówi się o tym, ale główny ruch na rynku mieszkań generują u nas dziedziczenie i spadki, bo dominują mieszkania własnościowe. Na 250 tys. urodzeń przypada obecnie 400 tys. zgonów, z licznego pokolenia żegnających się ze światem boomersów.

American Dream z ciemną kuchnią

O PRL wolno obecnie mówić tylko źle, a tymczasem zachodnia rewolta obyczajowa 1956 r. była przejawem postępu, skutkowała lepszym życiem, równouprawnieniem i modernizacją. W Polsce te zmiany, na skalę znacznie skromniejszą, nazywano małą stabilizacją. Był to biedny, wschodnioeuropejski American Dream z ciemną kuchnią zamiast domku z basenem na przedmieściu. Za szczyt marzeń uznawano od 1957 r. samochód Syrenka, a i to dla nielicznych (według Gomułki samochód i kawa były przesadnym luksusem).

Kobiety otrzymały jednak wtedy prawo do aborcji (1956), starano się stopniowo upowszechniać edukację seksualną i niezmiernie ważną antykoncepcję. Środki antykoncepcyjne były skromne, a też farmaceuci nie mieli odpowiedniego rozeznania co do sprzedawanych globulek i kremów. Specyfiki te funkcjonowały w handlu jak towar zakazany, wiedzieli o nich nieliczni. Zamiast antykoncepcji często stosowano – już po fakcie – aborcję. Kościół potępiał jedno i drugie.

Ważną rolę w upowszechnianiu antykoncepcji odegrały dziennikarki z prasy kobiecej. „Kobieta i Życie" i „Przyjaciółka" zaangażowane były także w walkę o emancypację. Początkowo w 1957 r. w Państwowym Zakładzie Wydawnictw Lekarskich wydrukowano niezbyt celny kalendarzyk płodności kobiety według Ogino-Knausa, zgodny z zaleceniami Kościoła. Do końca roku ruszyła już szeroka kampania. Uważano, że ówczesna zbyt wysoka rozrodczość

eprasa.pl 740ab42e27

Brigitte Bardot i Jean-Louis Trintignant w filmie „I Bóg stworzył kobietę".

jest problemem, a nie dobrodziejstwem, i wynika z biedy, wszak kraje wysoko rozwinięte mają rozrodczość niską. Hasłem dnia stało się planowanie rodziny. Poradni świadomego macierzyństwa jednak brakowało i zgłaszały się tam prawie wyłącznie kobiety już w ciąży.

Człowiek jest chory, kiedy coś go boli

Na wsi po wojnie panowała jeszcze archaiczna mentalność i uważano, że człowiek jest chory, kiedy coś go boli. Znikali stopniowo znachorzy i babki, pojawiały się ośrodki zdrowia, a porody odbierane były teraz profesjonalnie. Powszechna dostępność służby zdrowia (na wsi poza pracownikami państwowymi dopiero w 1971 r.) była niesłychaną rewolucją. W książce Eweliny Szpak „Mentalność ludności wiejskiej w PRL" czytamy, że w latach 60. Kościół blokował emancypację kobiet. W rezultacie dziewczyna ćwicząca na WF w stroju gimnastycznym budziła zgorszenie starszych. Jedna z przepytywanych wyznała: „Kiedyś ksiądz to z kijem chodził na zabawy i biada tej pannie, która miała za mało poważny strój albo za długo była na zabawie. Wpadał wśród tańczących o jedenastej, walił kijem gdzie popadło i nikt nie mówił o nim źle".

Później, w 1973 r., w PZWL pojawiło się powojenne wydanie „Małżeństwa doskonałego", holenderskiego podręcznika ginekologa Theodora Hendrika van de Veldego z 1926 r., spolszczonego w 1935 r. Jak na polskie warunki był to postęp. Kobiety coraz realniej zdobywały też równouprawnienie, stawały się niezależne, poszły do szkół, uzyskiwały maturę, kończyły studia, osiągały sukcesy zawodowe już nie tylko w fabryce. Były lekarkami, nauczycielkami, sędziami, profesorkami, urzędniczkami. Po 1956 r. znacznie podniósł się poziom życia. W 1957 r. Marian Turski pisał w „Sztandarze Młodych": „Marzeń o samochodzie, o mieszkaniu, o zarobku nie należy pomniejszać". Dla ludzi najważniejsze jest „znośne, lepsze życie". Założenie rodziny było związane już nie z „wolą bożą", ale z posiadaniem przez oboje małżonków pracy i mieszkania.

Chłopskie pamiętniki pokazywały, jak słabną wielkie różnice klasowe i między wsią a miastem. Rewolucja seksualna na wieś docierała przez objazdowe kino i pierwsze odbiorniki telewizyjne w wiejskich klubach. Młodzież spotykała się tam, by oglądać Kobrę, „Bonanzę" i Templera. Przytoczmy relację ze wsi z tamtych czasów: „Oglądanie telewizji. Ludzi pełna sala. Odbiór średni, śnieg leci. Zakłócenia są. Przyszła 83-letnia babcia Kuźmińska. Jest rolnik Mikrus, który mieszka 5 km od szkoły. Wszyscy na Kobrę".

Konserwatysta Stefan Kisielewski – podobnie jak duchowni – do antykoncepcji odnosił się wrogo, rewolucji seksualnej nie lubił i po półwieczu na prawicy jest tak samo. Kościół nowoczesny Jerzego Turowicza mu się nie podobał. Pamiętajmy, że Stefan Wyszyński o ustawie zezwalającej na aborcję wyrażał się: „ustawa o śmierci narodu". Wielu lekarzy było nastawionych do legalizacji aborcji wrogo, bo likwidowała dochody z kosztownych zabiegów pokątnych, a biurokracja i nieprzychylne nastawienie w szpitalu powodowały, że kobiety kierowały się w miarę możliwości na drogę prywatną.

Nie zniknęły również staromodne konwenanse: samotna dziewczyna na zabawie, w kawiarni czy w kinie nadal była postrzegana stereotypowo. Drobnomieszczański podział mówił o porządnych i puszczalskich.

Dzięki antykoncepcji ciało kobiety przestało być maszyną do rodzenia dzieci.

Ankieta o zasiłkach rodzinnych na przełomie lat 1957 i 1958 przyniosła ultrakonserwatywną opinię mężczyzn, że wszystkie kobiety powinny rzucić pracę i zająć się domem. Kobiety natomiast żądały prawa wyboru i ułatwień w prowadzeniu domu. Kisiel tęsknił do czasów przedwojennych. Pisał rozeźlony, że musimy zawsze przejmować z Zachodu to, co najgorsze: „Młodzi nie chcą już wsi, noszą długie włosy »beatlesowskie«, słuchają przebojów i gniotą się w miastach". O wsi opowiadał: „Młodzież rwie się do miast, wszystko

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 740ab42e27

ubrane świetnie, chodzące do szkół, do tego masę tutaj obozów, kolonii ze ślicznie odchowanymi dziećmi…”.

Koniec maszyny do rodzenia

Tymczasem ciało kobiety dzięki antykoncepcji uwolnione zostało od roli maszyny do rodzenia dzieci. Była to bezprecedensowa rewolucja w historii człowieka. Analizował ją w 2003 r. niemiecki historyk Robert Jütte. Znikały powszechne dawniej, zwłaszcza na wsi, rodziny z sześciorgiem i ośmiorgiem dzieci, które więziły kobietę w domu i zamykały jej możliwości wyjścia w świat. Ogromna śmiertelność dzieci do 10. roku życia, sięgająca 60%, spadła prawie do zera. Wszystko dzięki poprawie wyżywienia, opieki nad dzieckiem, diety i wiedzy lekarskiej. Teraz jednak dzieci w systemie określanym popularnie „co rok prorok” było za dużo, więc antykoncepcja była potrzebna.

W znakomitej książce Cecylii Leszczyńskiej z GUS „Polska 1918-2018” znajdujemy zestawienia potwierdzające tezę o wielkim wzroście stosowania antykoncepcji po wojnie. Po okresie powojennego bumu urodzeń po 1945 r. widać konsekwencje antykoncepcji. Połączone to było ze spadkiem śmiertelności – w tym ogromnej śmiertelności dzieci, bo nie tylko niemowląt. W rezultacie nastąpiła zmiana równowagi demograficznej – od wysokich urodzeń/wysokich zgonów do niskich urodzeń/niskich zgonów.

Obok antykoncepcji mieliśmy inne przejawy odchodzenia od nauczania Kościoła. Powszechne uprawianie seksu przed ślubem widoczne było w opóźnianiu zawarcia małżeństwa do trzydziestki. Ponadto rosła liczba rozwodów w miastach.

Naturalna antykoncepcja nie była wcześniej powszechna, ale stosowano ją od zawsze, jednak te formy relacji intymnej również były surowo zakazywane przez Kościół i uważane za grzech ciężki. Lekarz ginekolog Michalkiewicz stwierdził, że często mężczyźni, nie dbając o zabezpieczenie się, uprawiają wobec swoich partnerek chuligaństwo seksualne – chodzi im tylko o to, aby się wyżyć. Czy to prawda? Owszem, wystarczy się przyjrzeć własnej rodzinie trzy pokolenia wstecz i liczbie rodzeństwa pradziadków lub zajrzeć do podręcznika demografii historycznej, np. Ireny Gieysztorowej albo nowszego Cezarego Kukli.

Teraz coraz częściej wielodzietność stawała się oznaką nie błogosławieństwa, lecz patologii. Ciało kobiety przestało także być źródłem filozofii grzechu i moralnego brudu. Moda i uroda kobieca stały się dużo swobodniejsze. „Musi pani tyle pokazywać?”, pytał Gomułka Kalinę Jędrusik – bo też kobiety więcej teraz odsłaniały. Kisiel narzekał, że „dziewczęta pasą krowy w minispódniczkach”.

Striptiz

W wielkich miastach w Polsce pojawiły się lokale nocne ze striptizem. W klubie Stodoła prezentowano w 1957 r. taki pokaz w wykonaniu modelki z Akademii Sztuk Pięknych. Krzysztof Teodor Toeplitz komentował w „Nowej Kulturze”: „Wielkie mi halo, że jakaś dziewczyna rozebrała się w Stodole. Jakby to się mało polskich dziewuch po stodołach rozbierało”. Tadeusz Polanowski rymował: „Ach cnotliwszych nie znam er ja, / Niż ta stalinowska era, / Aż skończyła się pruderia / i kto wodzi rej? Hetera”. Etiuda Romana Polańskiego „Uśmiech zębiczny” z 1957 r., w której aktorka pokazywała nagi biust, na ówczesne czasy była rewolucyjna.

Od jesieni 1956 r. kraj zaczęła zalewać fala konkursów piękności i w końcu wybory Miss Polonia. Nastąpiło odrzucenie anachronicznej i chorej wrogości wobec seksu.

Poglądy Kościoła i Polaków w sprawie obyczajowości rozchodziły się coraz bardziej i tak jest do dziś.

W przyszłości problemem będzie seksualizacja zbyt nachalna. W rzeczywistości seks stał się w większym stopniu częścią i spoiwem związku, zapewniał trwałość więzi między partnerami. Spanie ze sobą przed ślubem w całej Europie i u nas stało się czymś normalnym, zwłaszcza że za sprawą edukacji i ekonomii wiek zawierania małżeństw stopniowo się przesuwał.

Poglądy Kościoła i Polaków w sprawie obyczajowości rozchodziły się coraz bardziej i tak jest do dziś, chociaż i władze komunistyczne były konserwatywne, a pornografia zakazana. Michalina Wisłocka pisała: „Po wojnie do spraw seksu tak samo wrogo byli nastawieni komuniści, jak i katolicy. Polska była państwem katolickim i na ów katolicyzm na żywo przeflancowano komunizm”.

Dzisiaj liczba urodzeń pokazuje jasno, że antykoncepcja stała się normalnością, co drugie małżeństwo w miastach kończy się rozwodem, a trzydziestka jako powszechny wiek zawierania małżeństw mówi, że życie płciowe zaczyna się długo przed ślubem. Rewolucja seksualna stała się więc faktem, a Kościół udaje, że jej nie widzi.

Dariusz Łukasiewicz

HISTORIA bez IPN
PAŹDZIERNIK ‘56
WYDARZENIA, KTÓRE ODMIENIŁY HISTORIĘ POLSKI

E-book 15 zł
Książka ~~47 zł~~ 17 zł
Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Wysyłka GRATIS listem nierejestrowanym Pocztą Polską

eprasa.pl 740ab42e27

Oko w oko

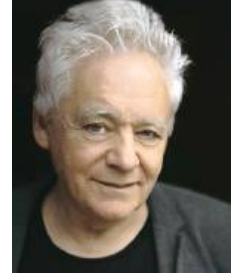

Tomasz Jastrun

Piaskiem w oczy

Braun nagadał w Oświęcimiu w stylu Adolfa, stojąc obok zadrutowanego wielkiego dzieła tegoż Adolfa. Można sądzić, że Grzegorz Braun jest chory, ale Hitler też był chory. To tylko pogłębia siłę perswazji opętanego i uwodzi tych bez rozumu i bez sumienia. Dzięki Braunowi mamy w Polsce już faszyzm i ponad milion ludzi nim zarażonych. To nie są żarty. Powinien zareagować Kościół, szczególnie że braunowcy dziarsko powołują się na Pana Boga. Ale Kościół woli mówić, że in vitro jest dziełem szatana, a edukacja zdrowotna w szkołach to demoralizacja dzieci. Niech dzieci się kształcą w internecie, choćby oglądając wykłady uświadamiające w jakimś pornohubie. Zresztą księża pedofile też są dobrymi fachowcami.

PiS nie potępia Brauna, prezes jedynie się martwi, jak z tym świrem wchodzić w koalicję, to będzie wielka bieda. Prezydent milczy, bo jest kibolem i w gruncie rzeczy ma podobne poglądy, tylko na razie bardziej dyplomatycznie je wyraża. Antyunijna, antysemicka i antyukraińska propaganda Brauna ma wyznawców i jest zaraźliwa. Nie wiemy, czy Braun to rosyjski agent, ale zachowuje się, jakby nim był. Teraz z jednym okiem osłoniętym czarną opaską wygląda jak słynny izraelski polityk i generał Mosze Dajan. Biedny Braun.

•

A Nawrocki wyświetla na Pałacu Prezydenckim kibolskiego orła, którego zabroniono pokazywać na meczu piłkarskim Polska-Holandia. Udało się kibolom zmajstrować takiego orła – gratuluję talentu – że wygląda jak drapieżca nacjonalista, takim orłem myśli prezydent. I jaki to straszny kicz. Nacjonaliści już tradycyjnie nie mają smaku ani wyczucia, co jest w dobrym guście, a co w fatalnym. Żaden dyktator w czasach nowożytnych nie miał gustu, mieli go może niektórzy władcy ze starożytności.

Nawrocki już po raz drugi powtarza, że największe zagrożenie dla nas to Unia i Zachód, o Rosji nie wspomina. Stało się to jego ideologią. A jako że ma licznych wyznawców, spora część Polaków czuje się teraz osaczona. Jak niegdyś mamy znów wrogów za wschodnią i zachodnią granicą, co musi się skończyć tragicznie. Biedna ta Polska.

•

Jak się nie cieszyć, że PiS spada poparcie, a KO rośnie. Ale rośnie też Konfederacji i Braunowi. To oni wysysają partii Kaczyńskiego młodszych wyborców, którzy są zniechęceni sędziwym PiS, a co starsi zakochani w prezesie wymierają. Jak tu jednak się cieszyć, że prezes ma taką konkurencję, znając endeckie poglądy Mentzena, a ONR-owskie jego wielu współpracowników, czyli wróg jest na Zachodzie, a Rosja jest w gruncie rzeczy poczciwa. Narodowa prawica kreuje wizję, że zamachu na tory dokonali Ukraińcy wynajęci nie przez Rosję, ale przez Zełenskiego, by wciągnąć Polskę do wojny. I lud to kupuje. Z kolei młodym cała ta gnojówka internetu wlewa się do głów. Mój 15-latek przejął niechęć do Ukraińców z internetu, głos rodziców traci na wadze wobec mocy sieci.

Jakby mało było nieszczęść, Trump wymyślił plan pokojowy dla Ukrainy w swoim biznesowym stylu. Woła do Zełenskiego: „Nie masz kart!”. Sprawy moralne dla niego nie istnieją. Jestem za tym, by Ukraina poszła na daleko idące ustępstwa. Szkoda młodych, którzy giną po obu stronach frontu. I nie wydaje się, by Ukraińcy mogli wygrać wojnę z mocarstwem, które ma gliniane nogi, ale atomowe ramiona. Plan Trumpa jest jednak haniebny. Wielkie ustępstwa Ukrainy, żadne Rosji. Teraz to wszystko jest modyfikowane przez Europę i może coś z tego wyjdzie, jak to było w przypadku Gazy. Ale nie postawiłbym na to nawet małych pieniędzy.

Rosja ma gliniane nogi, ale atomowe ramiona.

•

Czuję się otoczony przez ludzkie nieszczęścia, czemu sprzyja kontakt każdego z każdym w każdej chwili. Michał zdobył trzecią nagrodę w naszym konkursie poetyckim. Okazuje się, że to mój czytelnik od lat. Miły, łagodny człowiek o dramatycznej biografii. Miał bardzo wcześnie dziecko, potem drugie, dziecko miało miesiąc, gdy żona wyskoczyła przez okno. Dzwoni Janek, jego żona nagle upada na ziemię jak sparaliżowana. Lekarze nie wiedzą, co jej jest. Żona Julka jest w ostatnim stadium choroby nowotworowej. Piotr w Sztokholmie, świetny malarz, wykańcza się chorobą alkoholową. J. cierpi na chorobę nieodwzajemnionej miłości.

Jestem osaczony dramatami bliskich. Na dodatek rośnie mi w oknie pracowni mur, bo sąsiedzi podwyższają dom. Miałem widok na świerk, ścięli go, teraz będę miał widok na mur. Ale są przecież większe nieszczęścia. Świat wokół wygląda katastrofalnie, nasza sytuacja wobec putinowskiego obłędu też jest dramatyczna. A prawicowi politycy plują, przedrzeźniają, rzucają zabawkami i sypią piaskiem z piaskownicy w oczy. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 740ab42e27

Lewica złożona do trumny

Po wyborach w Ameryce Łacińskiej przestał obowiązywać porządek międzynarodowy

Mateusz Mazzini

Ostatni etap tego procesu miał miejsce dwa tygodnie temu, kiedy w pierwszej turze chilijskich wyborów prezydenckich triumfowali komunistka Jeannette Jara oraz skrajnie prawicowy radykał José Antonio Kast. Różnica głosów między nimi była niewielka, Jara zdobyła niecałe 27%, Kast – 24%. W chilijskim systemie, gdzie urzędujący prezydent nie może się ubiegać o natychmiastową reelekcję, takie wyniki są dość typowe. Druga runda z reguły rozstrzygana była na korzyść tego kandydata, który ostatecznie wydał się bardziej przekonujący szerokiemu jak na Amerykę Łacińską centrum i zamożnej klasie średniej. Oznaczało to, że prezydentem zostawał albo ktoś z demokratycznej koalicji Concertación, zrzeszającej wszystkich od socjaldemokracji po chadecję, albo konserwatysta wywodzący się ze środowiska prawicowego, niemniej jednak dystansującego się od dziedzictwa brutalnej dyktatury Augusta Pinocheta.

W tym roku po raz pierwszy w historii głową państwa w Chile zostanie ktoś, kto nie reprezentuje żadnego z tych bloków, a przede wszystkim żadnej z tych wartości. Gdy ten numer „Przeglądu" trafi do rąk czytelników, wybory będą już rozstrzygnięte, aczkolwiek kto konkretnie z tej dwójki zostanie prezydentem, jest do pewnego stopnia wtórne. Ważniejszy jest trend, pokazujący proweniencję ideologiczną kandydatów.

W pierwszej turze chilijskich wyborów prezydenckich wygrała komunistka Jeannette Jara.

Chile – barometr nastrojów

Kast nie jest bowiem ucywilizowanym konserwatystą, to postpinochetowski radykał, rehabilitujący dyktaturę na każdym kroku. Kiedy w 2018 r., mieszkając w Santiago de Chile, umawiałem się z nim na wywiad, był politykiem z marginesu, popieranym zaledwie przez 8% wyborców, lecz od tego czasu – podobnie jak wielu innych skrajnie prawicowych polityków – przebił się do głównego nurtu. Nie dlatego, że – jak działo się to dawniej – spiłował pazury i ograniczył radykalność przekazu. Wręcz przeciwnie, to polityka i społeczeństwo przesunęły się w jego kierunku, bo Kast stoi dokładnie tam, gdzie stał zawsze.

Wtedy, wiosną 2018 r., opowiadał mi w swoim skromnym biurze o obawach wobec przyszłości narodu. Zapytany, dlaczego w referendum trzy dekady wcześniej głosował za utrzymaniem się Pinocheta przy władzy, a więc przeciwko demokratycznym wyborom, pokrętnie tłumaczył, że „obawiał się marksistów niszczących chilijskie uniwersytety i rodziny". Marzyła mu się całkowita delegalizacja rozwodów i pełen zakaz aborcji, chciał – i nadal chce – przewodniej roli religii i Kościoła w życiu społecznym Chilijczyków. W kolejnych wyborach, w 2021 r., pierwszą turę już nawet wygrał, choć ostatecznie musiał uznać dość znaczące zwycięstwo późniejszego prezydenta, Gabriela Borica. Przez kolejne cztery lata atakował rząd i młodego prezydenta, który w kampanii był jeszcze pełnym nadziei rewolucjonistą, ale już po zwycięstwie, a przed zaprzysiężeniem, zaczął porzucać bardziej radykalne postulaty. Wtedy świat patrzył na Chile z ogromną nadzieją,

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 740ab42e27

bo było autentycznym laboratorium przyszłości.

Sam tej frazy nie lubię i staram się jej nie używać, bo jest dla Ameryki Łacińskiej dość krzywdząca. Sugeruje, że mieszkańcy tego regionu mogą sobie niemal bezkosztowo eksperymentować na żywym organizmie, jakim są ich demokracje, a reszta świata będzie po prostu się przypatrywać i ewentualnie naśladować co ciekawsze rozwiązania.

Na początku obecnej dekady jednak w Chile działo się dokładnie to. Masowe protesty społeczne obaliły rząd Sebastiána Piñery, wymusiły próbę zmiany konstytucji, przyniosły projekt najbardziej progresywnej ustawy zasadniczej w dziejach ludzkości, a z Borica zrobiły latynoską wersję platońskiego „filozofa na tronie".

Pięć lat później z tego entuzjazmu społecznego nic już prawie nie zostało, Boric odchodzi z urzędu z poparciem jedynie 30% elektoratu, projekt konstytucji ostatecznie został odrzucony, a dodatkowo Chile zaczęło mieć problemy, których nie miało nigdy wcześniej. Masowa imigracja, wywołana kryzysem w Wenezueli i działalnością gangów przemytników ludzi. Przestępczość zorganizowana, objawiająca się wzrostem liczby przestępstw z użyciem broni palnej czy kradzieży samochodów, która wkroczyła na ulice Santiago, dotychczas pod wieloma względami uznawanego za oazę spokoju dla klasy średniej i wyższej. Do tego gospodarka rozwijająca się słabiej od oczekiwań i niewielkie perspektywy wzrostu.

Z jednej strony, nie powinno to dziwić, bo większość demokracji na świecie zmaga się z tymi problemami. Z drugiej – nikt ich do końca nie rozwiązał, a wszędzie stanowią paliwo dla pozostających w opozycji, a więc niemogących się wykazać w rządzeniu radykałów.

W ostatnich latach Kast zaczął więc normalizować przemoc w swoich wypowiedziach, fantazjując chociażby o wykopaniu wilczych dołów na północnych granicach kraju, co miałoby skutecznie odstraszyć gangsterów chcących szmuglować narkotyki i ludzi do Chile. Przestał też się krygować, jeśli chodzi o publiczne wypowiedzi na temat Pinocheta i dziedzictwa dyktatury. Nie jest politycznym samobójcą, żeby mówić, że represje były dobre, wiedziony instynktem taktycznym odwrócił równanie i stwierdził, że to nie dyktatura była pozytywem, tylko porządek potransformacyjny – rozwiązaniem jednoznacznie negatywnym. Może za Pinocheta działy się złe rzeczy, ale to, co rozpoczęło się po 1989 r., a więc rotacyjne rządy centrystów, polityka środka, szerokie koalicje i konsensus demokratyczny – doprowadziło kraj do ruiny.

Kandydat na prezydenta Chile José Antonio Kast jest radykałem, rehabilitującym dyktaturę Pinocheta na każdym kroku.

Oczywiście, jeśli chodzi o fakty, jest to dalekie od prawdy. Mimo że Chile pozostaje krajem dużych nierówności, z ogromnie sprywatyzowaną strefą publiczną, gospodarczo ma się bardzo dobrze, opuściło już nawet grono gospodarek „rozwijających się" i stało „gospodarką rozwiniętą" w terminologii Banku Światowego. Napływ przestępczości zorganizowanej jest raczej wynikiem zmian międzynarodowych, przetasowań w regionie, destabilizacji reżimu wenezuelskiego, a nie rezultatem polityki poprzedników, z lewicy czy z prawicy.

Problemem Chile, kraju będącego wręcz barometrem nastrojów społecznych na kontynencie, jest jednak to, że po drugiej stronie znalazła się Jeannette Jara, polityczka z przeszłością w Partii Komunistycznej, jedynym ugrupowaniu, które po transformacji ustrojowej nie zapisało się do bloku Concertación. Rzecz jasna, chodzi tu nie o wybielanie wszystkiego, co postpinochetowscy politycy zrobili w tym kraju – a wielu rzeczy nie zrobili, chociaż powinni – ale o podkreślenie, że pewne konstrukcje polityczne, których obecność w głównym nurcie jeszcze niedawno wydawała się nie do pomyślenia, nagle w nim się znalazły.

Zmiana w Boliwii

Kolejnym krajem, w którym wiek XXI z impetem zastąpił właśnie wszystko, co politycznie zostało z wieku XX, jest Boliwia. To państwo światowej opinii publicznej przez lata kojarzyło się, i słusznie, z Evo Moralesem, jednym z pierwszych (chronologicznie rzecz ujmując) przedstawicieli zjawiska, które później nazwano „różowym prądem". Nigdy wcześniej krajem latynoamerykańskim nie rządził przedstawiciel rdzennej ludności, więc już w 2005 r., kiedy wygrywał pierwsze wybory, stanowił polityczną sensację. Jeszcze większą – gdy triumfował ponownie, w latach 2009 i 2014.

O Moralesie i jego multietnicznej republice, w której języki rdzennej ludności zyskały status oficjalnych języków państwowych, napisano już opasłe tomy. Dziś znacznie ważniejsze jest to, że jego triumf był znamienny dla dwóch gigantycznych procesów kontynentalnych. Po pierwsze, razem z Brazylijczykiem Lulą da Silvą Morales rozpoczął lewicową falę, na której płynęli później Néstor i Cristina de Kirchner w Argentynie, Michelle Bachelet w Chile, Pepe Mujica w Urugwaju i wielu mniej znanych lewicowo-populistycznych polityków. Po drugie, Morales był tak naprawdę domknięciem sytuacji, którą otworzył w latach 50. Ernesto Che Guevara, nawiasem mówiąc, właśnie w Boliwii zamordowany.

Od 2005 r. aż do 19 października br. Boliwią rządzili Morales albo ludzie z jego obozu, a więc lewicowcy, do szpiku kości antyamerykańscy i antyimperialistyczni. Rodrigo Paz, centrysta, który został teraz wybrany na głowę państwa, nie jest być może ich radykalnym przeciwieństwem, ale z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, by inwestycje w jego kraju rozpoczęły amerykańskie koncerny, zwłaszcza wydobywcze i technologiczne. Za czasów Moralesa byłoby to nie do pomyślenia, on właściwie całą swoją propozycję

eprasa.pl 740ab42e27

polityczną oparł na marksizmie, odejściu od postkolonialnych norm społecznych i sprzeciwie wobec ekspansywnej amerykańskiej polityki gospodarczej w regionie.

Dokładnie tak, jak swego czasu w Wenezueli Hugo Chávez, chyba najbardziej znany na świecie współczesny latynoski lewicowiec, który wydał dyskursywną wojnę Stanom Zjednoczonym. Póki on rządził krajem, można było jeszcze znaleźć argumenty za tezą, że prowadzi lud ku większej sprawiedliwości społecznej. Jego boliwariańska rewolucja nacjonalizacji środków produkcji i przede wszystkim lepszej redystrybucji zysków z handlu ropą naftową przez długie lata cieszyła się naprawdę dużym poparciem społecznym, także dlatego, że Chávez, w porównaniu z tym, co robi Nicolás Maduro, stosował dość ograniczone represje fizyczne wobec krytyków.

Po śmierci Cháveza w marcu 2013 r. rewolucja straciła rozpęd, przekształcając się w dyktaturę, skarłowaciałą autokrację, która dziś gnije od środka. Trudno nawet powiedzieć, że Maduro, niepopularny już i we własnym społeczeństwie, realizuje jakiekolwiek lewicowe ideały. Rękami własnej tajnej policji, wagnerowców i regularnych rosyjskich oddziałów, dla niepoznaki nazywanych „instruktorami militarnymi", pacyfikuje nie tylko aktywną opozycję, ale i zwykłych obywateli. U władzy trzyma się resztkami sił, bo zyski z eksportu ropy jest jeszcze w stanie rozdzielić głównie pomiędzy przedstawicieli aparatu przymusu, czyli tych, którzy mogą mu zagwarantować dalsze trwanie na stanowisku prezydenta.

Koniec pewnej ery

Kto wie zresztą, czy nie obserwujemy właśnie ostatniego tchnienia tego karykaturalnego reżimu, wyglądającego jak niezgrabna wersja opowieści rodem z książek Gabriela Garcíi Márqueza o starym generale, którego nikt już nie potrzebuje. Wiele wskazuje na to, że w ciągu najbliższych dni Stany Zjednoczone użyją wobec niego siły, raczej nie w formie bezpośredniej inwazji lądowej (bardziej prawdopodobny wydaje się precyzyjny atak na konkretny cel bądź osobę), niemniej w tej chwili u wybrzeży Wenezueli stacjonuje ok. 10% całej amerykańskiej marynarki wojennej. Takich sił nie gromadzi się na pokaz, nawet jeśli mowa o administracji tak nieprzewidywalnej jak ekipa Donalda Trumpa.

Jeśli dodać do tego zachowanie Luli, związkowego weterana, prawdziwego socjalisty, który mimo wszystko, mimo dzielących ich różnic ideologicznych, był w stanie znaleźć wspólny język z Trumpem, widać jednoznacznie, że na kontynencie latynoamerykańskim, podobnie jak wszędzie indziej, dochodzi do kolosalnych zmian. Swoją drogą, Brazylijczycy idą z Waszyngtonem na zwarcie, zdecydowali się zamknąć w areszcie Jaira Bolsonara, Amerykanie zaś w imieniu byłego prezydenta nie zainterweniowali. Ewidentnie zachowali się tak, bo nie chcą stracić na wymianie handlowej, zresztą cła na brazylijskie produkty spożywcze – wołowinę, soję i kawę – zostały w listopadzie obniżone.

Chile gospodarczo ma się bardzo dobrze, opuściło już nawet grono gospodarek „rozwijających się".

Na naszych oczach kończy się więc era lewicy, którą Brian Winter, redaktor naczelny magazynu „Americas Quarterly", nazwał lewicą spod znaku Fidela Castro. Przez lata politycy tej opcji byli radykalnie antyamerykańscy i mieli ku temu powody. A co najważniejsze, taka polityka zjednywała im rzesze zwolenników. Fundamentami tej doktryny były: sprzeciw wobec imperializmu i neokolonializmu gospodarczego, wybijanie się na niezależność, budowanie wspólnego frontu sprawiedliwości społecznej, większa rola państwa w gospodarce, sekularyzm.

Teraz ze świecą szukać kogoś, kto proponowałby takie rozwiązania, bo też zmieniły się warunki zewnętrzne. Największym partnerem handlowym kontynentu są Chiny, bez których w Ameryce Łacińskiej niczego już się nie zbuduje. Eksperyment z integracją regionalną się nie udał, a nowa, reakcyjna prawica dochodzi do władzy w coraz większej liczbie państw. Tutaj można postawić kropkę dla tego wielkiego procesu dziejowego. Wiek XX był długi, ale się skończył, nawet tam.

Mateusz Mazzini

KSIĄŻKI

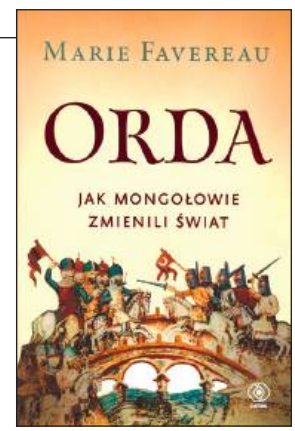

Marie Favereau
Orda. Jak Mongołowie zmienili świat
tłum. Adam Bukowski
Rebis, Poznań 2025

Mongołowie znani są głównie z podbojów. W pierwszej tak całościowej historii Ordy, zachodniej części imperium mongolskiego, która powstała po śmierci Czyngis-chana, badaczka z Uniwersytetu Oksfordzkiego pokazuje, że ich osiągnięcia nie ograniczały się wyłącznie do wojowania. Przez niemal 300 lat Orda była siłą napędową globalnego rozwoju. Pozostawiła po sobie bogatą spuściznę, widoczną do dzisiaj w Europie, Rosji, Azji Środkowej oraz na Bliskim Wschodzie. W XIII i XIV stuleciu Orda odgrywała kluczową rolę w ekspansji gospodarczej Eurazji. Była ważnym ośrodkiem wymiany handlowej i ułatwiała transport towarów na przestrzeni tysięcy kilometrów. Jej wyjątkowy ustrój polityczny nagradzał zręcznych administratorów i dyplomatów oraz sprzyjał porządkowi, który odznaczał się mobilnością i innowacyjnością.

(es)

eprasa.pl 740ab42e27

Fiat zatrudniał 60 tys. pracowników. Aż do 2021 r., kiedy połączył się ze zdominowanym przez Francuzów koncernem PSA, tworząc Stellantis. Turyn, 18 stycznia 2021 r.

Przemysł motoryzacyjny we Włoszech przeżywa poważny kryzys i odnotowuje najgorsze wyniki w historii

MIRAFIORI DO KASACJI

Tomasz Skowronek

Włoska Federacja Pracy (Fiom-Cgil) opublikowała raport dotyczący skali sprzedaży w przemyśle samochodowym od stycznia do września br., który pokazuje opłakany stan tego sektora. Nawet sprzedaż modelu cieszącego się dużą popularnością, czyli Fiata Pandy, zaczyna zwalniać.

Jak Turyn przestał być sercem motoryzacji

Nigdzie problemy europejskiego przemysłu samochodowego nie są tak widoczne jak w Turynie – tutaj bowiem mieści się Mirafiori, niegdyś prężnie się rozwijająca, flagowa fabryka Fiata.

Turyn nazywano włoskim Detroit. Tu, w Piemoncie, w północno-zachodniej części kraju, 125 lat temu został założony Fiat – Fabbrica Italiana Automobili Torino, Włoska Fabryka Samochodów w Turynie. Przez dekady Turyn był centrum europejskiego przemysłu samochodowego, a Fiat stał się największą włoską firmą. W 1967 r., u szczytu cudu gospodarczego, fabryka Mirafiori zatrudniała 52 tys. pracowników i produkowała 5 tys. samochodów dziennie.

Mawiano, że Fiat i Włochy to jedno. Turyński koncern urósł do rangi symbolu, kolejne rządy wspierały go i ratowały. Jego właściciele, rodzina Agnelli, uchodzili za niekoronowanych królów Włoch, którzy ukształtowali historię tego kraju w XX w. Rodzina, która nie tylko stworzyła motoryzacyjne imperium, lecz także miała wpływy w mediach, polityce i jest właścicielem drużyny piłkarskiej Juventus.

Pod koniec lat 70. XX w. Turyn miał 800-900 tys. mieszkańców. Fiat zatrudniał 60 tys. pracowników. Przynajmniej jedna osoba w każdym gospodarstwie domowym pracowała dla firmy, czy to w fabryce Mirafiori, Lingotto, Chivasso lub Rivalta, czy w innej z tysięcy fabryk kontrolowanych przez rodzinę Agnellich. Turyński gigant przejmował bowiem w XX w. dziesiątki włoskich firm, jedna po drugiej. Aż do 2021 r., kiedy połączył się ze zdominowanym przez Francuzów koncernem PSA (Peugeot, Citroën i Opel/Vauxhall), tworząc grupę Stellantis.

Pracują na pół gwizdka

Ale to już odległe wspomnienia. Obecnie produkcja jest rekordowo niska. Połowa z 3 mln m kw. terenu fabryki została opuszczona, a większość z 33 bram, przez które niegdyś

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 740ab42e27

ciągle napływali pracownicy, nie była otwierana od lat.

Obecnie Mirafiori produkuje elektryczne wersje Fiata 500 i zatrudnia ponad 2,8 tys. osób, które pracują w skróconym wymiarze godzin ze względu na mały popyt w Europie na samochody zasilane akumulatorami. W odpowiedzi na kryzys kierownictwo koncernu zdecydowało o przeniesieniu produkcji prestiżowych modeli Maserati GranTurismo i GranCabrio z fabryki Mirafiori z powrotem do Modeny. Zakład w Modenie jest uznawany za bardziej odpowiedni, ponieważ w przeciwieństwie do fabryki turyńskiej nie jest przystosowany do produkcji masowej.

Gdy Włochy dyskutują o kryzysie branży, 90% pracowników firm motoryzacyjnych wyjechało do Kragujevaca, gdzie Fiat postanowił skoncentrować produkcję.

Zakład Mirafiori został zamknięty, choć od czasu do czasu jest otwierany ponownie – tak jego pracownicy opisują obecną sytuację, którą w ostatnich tygodniach wielokrotnie potępiały związki zawodowe i która w perspektywie średnioterminowej jest „nie do utrzymania".

Według Bernarda Bertoldiego, profesora Wydziału Zarządzania na Uniwersytecie Turyńskim i eksperta ds. firm rodzinnych, „Mirafiori nie ma już w Turynie. Tak jak nie ma już w Europie modelu wielkiej fabryki zatrudniającej 40 tys. pracowników". Ekspert dodaje: „Dawna stolica motoryzacji musi teraz wyjść poza przemysł samochodowy, koncentrując się na produkcji high-tech". Podkreśla też, że Turyn od dawna nie jest stolicą samochodową Europy: „Przegraliśmy to wyzwanie lata temu, bo nie wierzyliśmy w nie wystarczająco. I to nie tylko wina Fiata, że nie jesteśmy w pierwszej piątce europejskich miast motoryzacyjnych, ale całego systemu: instytucji, związków zawodowych, firm".

Milion aut do roku 2030?

„Koncern motoryzacyjny przeżywa poważny kryzys produkcyjny i odnotowuje najgorsze wyniki w historii. Winna jest również bierność rządu", pisze rzymski dziennik „Il Fatto Quotidiano". Gazeta relacjonuje, że na początku 2024 r. minister przemysłu Adolfo Urso uzyskał od Carlosa Tavaresa, ówczesnego dyrektora generalnego Stellantisa, zapewnienie, że koncern, do którego należą Fiat i PSA, może wyprodukować na półwyspie 1 mln pojazdów do 2030 r. Teoretycznie jest jeszcze czas na osiągnięcie tego celu, ale jeśli brać pod uwagę najnowsze dane, staje się on coraz mniej realny. Nie bez powodu.

W 2024 r. włoskie fabryki Stellantisa opuściło w sumie 265 490 pojazdów, co oznacza spadek o 31,5% w porównaniu z rokiem poprzednim. Nie pozostaje to bez konsekwencji dla rynku pracy. Jak podaje dziennik „Il Fatto Quotidiano", prawie połowa pracowników grupy korzysta z pomocy socjalnej i zasiłków dla bezrobotnych. Najnowszy raport związku zawodowego FIM-CISL pokazuje, że włoskie fabryki między styczniem a wrześniem 2025 r. wyprodukowały 151 430 samochodów, 36,3% mniej w porównaniu z analogicznym okresem 2024 r. Jeśli chodzi o samochody transportowe, np. busy dla sektora handlowego, sytuacja nie jest lepsza – produkcja spadła o 23,9% (114 060 sztuk).

Milano z Tychów

Premier Giorgia Meloni naciska na spadkobiercę potężnego niegdyś Fiata, aby produkował więcej samochodów we Włoszech. Meloni od początku krytykowała łączenie Fiata ze Stellantisem.

W 2024 r. rząd wchodził w coraz liczniejsze konflikty ze Stellantisem – powodem były niedostateczne inwestycje firmy we Włoszech. Przedstawiciele władz wielokrotnie ją krytykowali, poza tym rząd zakazał Stellantisowi eksponowania samochodów włoskiego pochodzenia, w sytuacji kiedy produkcja odbywa się za granicą.

W 2024 r. Alfa Romeo zaprezentowała swój nowy model o nazwie Milano, nawiązujący do korzeni marki, założonej ponad 100 lat temu właśnie w Mediolanie. Nie spotkało się to jednak z ciepłym przyjęciem włoskich władz. W czym tkwił problem? Model Milano produkowany był w… Tychach. Uznano więc, że nazwa błędnie sugeruje włoskie pochodzenie, a to jest zakazane przez prawo. Stellantis musiał ustąpić – nowy model wszedł na rynek pod nazwą Junior.

Mimo że najnowsze modele Fiata, Lancii i Alfy Romeo są projektowane we Włoszech, znaczna część ich produkcji odbywa się we Francji lub w innych krajach europejskich, gdzie koszty pracy są niższe. Przemawiając do przedstawicieli klasy politycznej, Carlos Tavares przyznał np., że produkcja Alfy Romeo Junior we Włoszech, a nie w Polsce mogłaby zwiększyć ostateczny koszt samochodu o ponad 10 tys. euro.

Solą w oku rzymskich władz jest też fakt, że Stellantis inwestuje w Maroku 1,2 mld euro. W otwartej tam w 2019 r. fabryce w Al-Kunajtirze moce produkcyjne mają wzrosnąć niemal trzykrotnie, z 200 tys. do 535 tys. sztuk rocznie, a liczba pracowników ma się powiększyć z 3,5 tys. do 6,5 tys.

Meloni przegrywa walkę z gigantem motoryzacyjnym, ponieważ Włochy nie mają realnego sposobu, aby zmusić konsorcjum do dalszych inwestycji w kraju. I to trochę na własne życzenie.

O ile rząd w Paryżu należy do głównych udziałowców Stellantisa (za sprawą wcześniejszej współwłasności Peugeota i Citroëna ma obecnie ok. 6% udziałów i dzięki temu państwo jest reprezentowane w organach decyzyjnych grupy), o tyle włoskie państwo nie posiada żadnych udziałów w firmie. Kiedyś było udziałowcem w Alfa Romeo, do czasu gdy w latach 80., na fali neoliberalnej polityki, marka została całkowicie sprywatyzowana i przejęta przez Fiata.

Udziały państwa w koncernie motoryzacyjnym służyły rządowi

eprasa.pl 740ab42e27

np. do wspierania rozwoju zacofanego, nękanego biedą i bezrobociem południa kraju, gdy decydowano o otwieraniu nowych fabryk w okolicach Neapolu. 32 lata temu powstała, w znacznej mierze dzięki rządowym dotacjom ze specjalnego funduszu pomocy, fabryka na Sycylii, w Termini Imerese, w której znalazło zatrudnienie ok. 2 tys. mieszkańców, ostatecznie jednak została zlikwidowana w 2011 r. Ludziom pozostało wyjechać na północ i nająć się do pracy w charakterze robotników budowlanych albo starać się przeżyć dzięki „opiece" mafii.

Fiat Panda powstaje w Serbii

Jak uważa prof. Vincenzo Comito, ekonomista i członek redakcji portalu ekonomicznego Sbilanciamoci.info, trudności Stellantisa wynikają nie tylko z bezczynności rządu czy przechodzenia na produkcję pojazdów elektrycznych, lecz także z fali zamknięć zakładów i zwolnień pracowników w Niemczech, rosnącej pozycji Chin oraz ceł ogłoszonych przez prezydenta USA. „Świat motoryzacji dynamicznie się zmienia, ale nasz kraj wydaje się coraz bardziej marginalizowany przez globalny rozwój", komentuje prof. Comito. W wywiadzie dla portalu Collettiva mówi o Stellantisie: „Wydaje się, że nie jest w stanie przetrwać samodzielnie. Nie jest obecny w Azji, która stanowi 60% globalnego rynku. Jest słaby w kategorii pojazdów elektrycznych i bardzo słaby w kolejnej rewolucji w tym sektorze, mówię tu o samochodach autonomicznych. Gama oferowanych przez niego modeli jest dość przestarzała i traci on zarówno na sprzedaży, jak i rentowności. Mam nadzieję, że się mylę, ale uważam, że jedyną szansą na przetrwanie jest sojusz z Niemcami lub Chińczykami".

Vincenzo Comito dodaje: „Przede wszystkim rząd powinien zdecydowanie wspierać samochody elektryczne, ale sprzeciwia się wszelkim działaniom mającym na celu łagodzenie kryzysu klimatycznego, więc robi to niechętnie. Powinien wspierać ten sektor, oferując dofinansowania do badań. Warto, aby rząd wsparł również branżę podzespołów, zachęcając zarazem małe w większości firmy do fuzji. Wątpię jednak, czy urzędnicy będą w stanie zrobić cokolwiek sensownego".

Włoskie media zarzucają Giorgii Meloni, że chowa głowę w piasek. Gdy inaugurowano otwarcie produkcji Fiata Pandy w serbskim mieście Kragujevac, podczas wspólnej konferencji z prezydentem Serbii Aleksandarem Vučiciem premier Włoch nie zabrała głosu.

Co ciekawe, podczas gdy Włochy dyskutują o kryzysie motoryzacyjnym i zagrożonych fabrykach, ok. 90% pracowników włoskich firm motoryzacyjnych spakowało walizki i wyjechało do Kragujevaca, gdzie Fiat postanowił skoncentrować część swojej produkcji. Włosi zatrudnili się w charakterze pracowników tymczasowych i zarabiają dwa razy więcej niż ich serbscy koledzy, chociaż ramię w ramię pracują przy tych samych liniach montażowych. Jeszcze mniej zarabiają Marokańczycy i Nepalczycy, a też zostali zatrudnieni w serbskiej fabryce jako pracownicy tymczasowi. Kwestia ta rodzi niewygodne pytania o przyszłość pracy w europejskim przemyśle motoryzacyjnym. Czy stoimy w obliczu nowego modelu pracy, w którym pracownicy stają się swego rodzaju nomadami, gotowymi przenosić się wszędzie tam, gdzie firma zdecyduje się zacząć produkcję? I co się stanie, gdy koszty pracy wzrosną również w Serbii?

Na razie włoscy pracownicy w Kragujevacu zarabiają lepiej. Jednak gorzka konstatacja na temat przemysłu, który woli zwalniać ludzi, niż inwestować lokalnie, pozostaje. Być może tak będzie wyglądać przyszłość przemysłu motoryzacyjnego: zglobalizowanego, tymczasowego i zawsze nieco niepewnego. Może ten nowy rodzaj globalizacji polega na tym, że to nie fabryki się przenoszą, lecz ludzie.

Z wyjątkiem Ferrari Włochy nie mają już żadnego krajowego producenta samochodów.

Zostało tylko Ferrari

Włochy słyną z wyśmienitego jedzenia i wspaniałej sztuki, a w ciągu ostatnich 100 lat kraj ten zyskał także renomę producenta jednych z najbardziej rozpoznawalnych samochodów na świecie.

Słynni włoscy projektanci i producenci aut stworzyli maszyny najwyższej klasy. Samochody te są doskonałym reprezentantem znaku „made in Italy", łącząc elegancję i tradycję. Auta stały się we Włoszech fetyszem, czymś antropomorfizowanym i wzbudzającym pożądanie. „Samochody są jak kobiety – powiedział kiedyś Enzo Ferrari, założyciel marki. – Trzeba umieć dotykać ich najczulszych miejsc".

Z wyjątkiem właśnie Ferrari, która to marka – choć bardzo dochodowa – pozostaje graczem niszowym z produkcją samochodów sportowych na poziomie nieco ponad 13 tys. egzemplarzy, Włochy nie mają już żadnego krajowego producenta. Lamborghini, również bardzo dochodowy, lecz niewielki gracz z produkcją na poziomie trochę ponad 10 tys. egzemplarzy, należy do Audi. Dawna Grupa Fiat Chrysler (FCA), z markami takimi jak Fiat, Alfa Romeo, Lancia i Maserati, weszła do grupy Stellantis. Sytuacja przemysłu motoryzacyjnego we Włoszech jest dramatyczna i dotyczy to nie tylko Fiata. Do początku lat 90. włoski przemysł motoryzacyjny konkurował z Niemcami o pozycję lidera w Europie. W 1989 r. z włoskich linii montażowych zjechały 2 mln egzemplarzy.

Włoskie zakłady Stellantisa nadal dysponują mocami produkcyjnymi na poziomie ok. 1,5 mln egzemplarzy. Obecne ich wykorzystanie nie przekracza 30%. Eksperci twierdzą, że do zapewnienia rentowności produkcji potrzebne jest co najmniej 70%.

Tomasz Skowronek

eprasa.pl 740ab42e27

Jak nowe terapie ratują życie

Medycyna molekularna, immunoterapia i technologia mRNA to przyszłość onkologii. Dają nadzieję chorym, którzy dziesięć lat temu nie mieliby szans

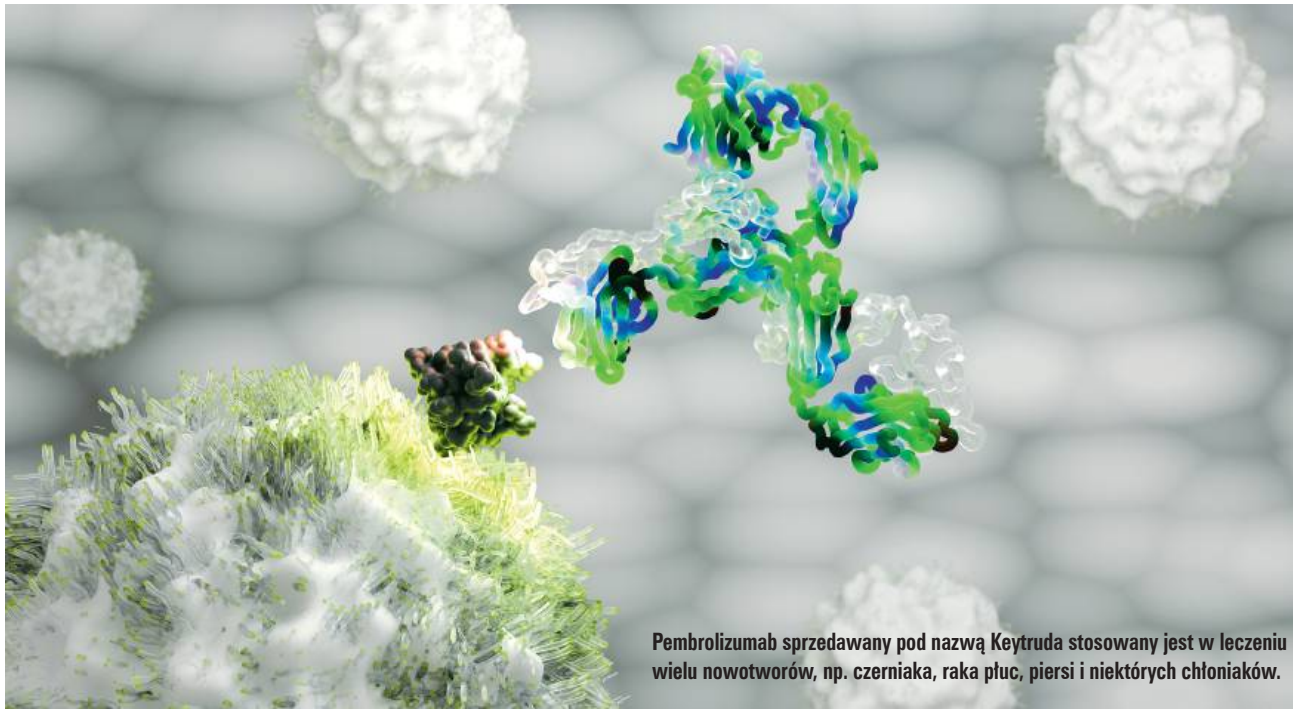

Pembrolizumab sprzedawany pod nazwą Keytruda stosowany jest w leczeniu wielu nowotworów, np. czerniaka, raka płuc, piersi i niektórych chłoniaków.

Marek Czarkowski

Współczesna onkologia znalazła się w punkcie zwrotnym. Lekarze odchodzą od paradygmatu „jednego leku na wszystko i dla wszystkich" na rzecz precyzyjnej medycyny molekularnej, immunoterapii i technologii mRNA. Przyszłością są terapie adresowane do konkretnego pacjenta.

To cicha, niezwykle kosztowna wojna, którą toczą w laboratoriach naukowcy z całego świata. Stawką jest życie milionów ludzi, potencjalnie znaczne ograniczenie liczby zgonów wywołanych chorobami onkologicznymi, a przede wszystkim dominacja na rynku, którego wartość szacuje się na kilkaset miliardów dolarów rocznie. Zarządy największych koncernów farmaceutycznych robią, co mogą, by w tej rozgrywce utrzymać się w czołówce i zapewnić zyski akcjonariuszom.

To była kwestia przypadku

Najlepiej sprzedającym się na świecie lekiem jest Keytruda (pembrolizumab). To jeden z najbardziej przełomowych leków onkologicznych w historii medycyny, w ostatnich latach zrewolucjonizował terapię wielu typów nowotworów. Jest produkowany przez amerykański koncern Merck & Co. z siedzibą w Rahway w stanie New Jersey. Tylko w ubiegłym roku przychody z jego sprzedaży wyniosły 29,5 mld dol. i stanowiły 45-46% przychodów całego koncernu, co świadczy o wysokim poziomie zależności Mercka od tego produktu.

Za oceanem terapia lekiem Keytruda to dla jednego pacjenta wydatek 150-200 tys. dol. rocznie. W Polsce fiolka 100 mg bez refundacji kosztuje 14 927,60 zł. Ale Narodowy Fundusz Zdrowia pokrywa koszt leczenia w całości, więc pacjenci nad Wisłą nie płacą.

Sukces leku polega na tym, że jest stosowany w leczeniu różnych przypadków onkologicznych, poczynając od czerniaka, przez raka szyjki macicy, raka piersi, raka głowy, na raku nerki, przełyku oraz płuc kończąc.

Jednak to nie amerykańscy uczeni zatrudnieni w koncernie z Rahway odkryli Keytrudę. Dokonała tego czwórka naukowców pracujących dla niewielkiej firmy biotechnologicznej Organon BioSciences BV z siedzibą w Oss w Holandii. Byli to Hans van Eenennaam, Andrea van Elsas

eprasa.pl 740ab42e27

i Gradus Johannes Dulos, do których w 2005 r. dołączył Gregory Carven. Nie szukali cząsteczki, która nadawałaby się na lek onkologiczny. Ich celem było odkrycie substancji mogącej znaleźć zastosowanie w lekach na choroby autoimmunologiczne. Przez przypadek odkryli coś innego.

By zrozumieć, w czym rzecz, trzeba poznać sprytny mechanizm, którym posługują się komórki nowotworowe. Nasz układ odpornościowy dysponuje limfocytami T, komórkami zdolnymi do rozpoznawania i niszczenia zagrożeń. Jednak by zapobiec autoagresji, limfocyty T wyposażone są w receptor PD-1, który działa jak hamulec bezpieczeństwa. Komórki nowotworowe „nauczyły się" wykorzystywać ten mechanizm, przez co stawały się „niewidzialne" dla naszego układu immunologicznego.

Pembrolizumab, czyli humanizowane przeciwciało monoklonalne, opracowane w latach 2006-2007 przez holenderskich naukowców z firmy Organon przy współpracy z brytyjską organizacją Medical Research Council Technology, znany jest dziś pod nazwą handlową Keytruda.

Ta substancja czynna, mówiąc obrazowo, „zdejmuje" hamulce z naszego układu odpornościowego, limfocyty T pozostają aktywne, rozpoznają komórki nowotworowe i skutecznie je niszczą.

Jednak nie od razu świat nauki docenił potencjał tego odkrycia. A w jaki sposób właścicielem pembrolizumabu stał się Merck & Co.? Najpierw, w roku 2007, koncern Schering-Plough przejął spółkę Organon BioSciences BV, a dwa lata później Merck & Co. przejął go za 41,1 mld dol. Początkowo Amerykanie nie wiedzieli, co zrobić z wynikami badań Holendrów. W branży farmaceutycznej panował pogląd, że wykorzystanie układu odpornościowego człowieka do walki z rakiem to ślepa uliczka, gdyż dotychczasowe wieloletnie próby nie dały efektów. Na początku 2010 r. zarząd koncernu podjął decyzję o zakończeniu projektu.

Zwrot nastąpił w połowie 2010 r., gdy koncern Bristol Myers Squibb opublikował wyniki przełomowego badania klinicznego III fazy dla substancji o nazwie ipilimumab (nazwa handlowa Yervoy) w leczeniu czerniaka.

Sukces ten zmienił postrzeganie immunoterapii. Merck natychmiast reaktywował program badań nad pembrolizumabem i już wiosną 2011 r. ruszyła pierwsza faza badań klinicznych.

4 września 2014 r. FDA, amerykańska Agencja Żywności i Leków, w trybie przyśpieszonym wydała zgodę na wprowadzenie na rynek leku o nazwie Keytruda. Reszta to już historia.

Podobnie działo się z lekami onkologicznymi, które obecnie są na drugim i trzecim miejscu na świecie pod względem sprzedaży: Opdivo (niwolumab), produkowanym przez Bristol Myers Squibb, który osiąga dzięki temu przychody rzędu 9-10 mld dol. rocznie, oraz Darzaleksem (daratumumab), produkowanym przez Johnson & Johnson.

Lek o nazwie handlowej Opdivo powstał w amerykańskiej firmie biotechnologicznej Medarex, w której pracowali jego twórcy, Nils Lonberg i Alan Korman. W roku 2009 koncern Bristol Myers Squibb za 2,4 mld dol. kupił Medarex, co wówczas wydawało się bardzo ryzykownym krokiem, gdyż immunoterapię uważano za szarlatanerię. Dziś w kręgach biznesowych panuje pogląd, że przejęcie Medareksu było jedną z najlepszych i najbardziej opłacalnych inwestycji w historii farmacji.

Przełom w leczeniu szpiczaka

Także koncern Johnson & Johnson nie może narzekać. Produkowany przez niego lek Darzalex zapewnia roczny przychód rzędu 9-10 mld dol. Prace nad nim rozpoczęły się ok. 2005 r. w laboratoriach europejskiej firmy Genmab w Kopenhadze i Utrechcie. Uczeni, którymi kierował prof. Jan van de Winkel, współzałożyciel, a obecnie dyrektor generalny Genmabu, poszukiwali cząstki zabijającej komórki rakowe szpiczaka plazmocytowego – nieuleczalnego nowotworu krwi, przy którym rokowania były bardzo złe. W 2008 r. zespół wyselekcjonował cząsteczkę, której nadano nazwę kodową HuMax-CD38. Wydawało się, że to jest to, czego szukali, lecz Genmab nie dysponował środkami, które mogłyby sfinansować III fazę badań klinicznych. Dlatego w 2012 r. zawarł umowę ze spółką Janssen Biotech należącą do koncernu Johnson & Johnson. Jej warunki, podobnie jak w przypadku umowy między Bristol Myers Squibb a Medareksem, uważano za „ryzykowne".

Genmab otrzymał 55 mln dol. w gotówce, do tego za ok. 80 mln dol. Amerykanie kupili akcje europejskiej spółki i mieli jeszcze zapłacić jej ponad 1 mld dol., jeśli lek osiągnie cele badawcze i sprzedażowe. Od tej chwili ciężar prowadzenia badań klinicznych oraz rejestracji leku przejął koncern Johnson & Johnson. I był to strzał w dziesiątkę.

Lekarze odchodzą od paradygmatu „jednego leku na wszystko i dla wszystkich" na rzecz terapii adresowanej do konkretnego pacjenta.

W listopadzie 2016 r. Agencja Żywności i Leków zatwierdziła lek pod nazwą Darzalex i dopuściła go do obrotu. Okazał się skuteczny, dlatego od tego czasu można mówić o przełomie w leczeniu szpiczaka mnogiego.

Niemal identyczna historia zdarzyła się z lekiem o nazwie Calquence (akalabrutynib), który został opracowany przez powstałą w 2013 r. holenderską spółkę biotechnologiczną Acerta Pharma z siedzibą w Oss. W 2015 r. brytyjsko-szwedzki koncern AstraZeneca przejął 55% udziałów w Acerta Pharma za 4 mld dol. (1 mld dol. płatne z góry i 3 mld dol. uzależnione od wyników programu akalabrutynibu), z opcją dokupienia pozostałych 45% za maksymalnie 3 mld dol. Była to jedna z największych transakcji biotechnologicznych w historii Holandii. W ubiegłym roku koncern zanotował przychód

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 740ab42e27

ze sprzedaży tego leku w wysokości 3 mld dol.

Nowoczesne leki onkologiczne i terapie są kosztowne. W przypadku Stanów Zjednoczonych i państw europejskich to kilkaset tysięcy dolarów lub euro na jednego pacjenta.

Okazuje się, że przełomowych odkryć dokonują często niewielkie, zakładane przez naukowców spółki europejskie, które następnie są przejmowane przez wielkie koncerny amerykańskie, a te zarabiają krocie na komercjalizacji leków. Nie świadczy to niestety o sile Europy.

Współczesna medycyna zastępuje klasyczną chemioterapię, niszczącą komórki chore i zdrowe, „precyzyjnymi uderzeniami".

Dlatego prawdziwym wyzwaniem onkologii XXI w. nie jest odpowiedź na pytanie, jak pokonać raka. Najważniejsze pytanie brzmi: co zrobić, aby nowoczesne leki i terapie były dostępne dla każdego, kto ich potrzebuje?

W nieznane

Współczesna onkologia jest obecnie w punkcie zwrotnym. Rak przestał być chorobą zdefiniowaną przez konkretny narząd: płuca, piersi, żołądek itd. – stał się zestawem rzadkich chorób definiowanych przez profil molekularny. Najnowsze leki onkologiczne dają pewność, że w nieodległej przyszłości diagnoza „rak" przestanie budzić paraliżujący strach.

Współczesna medycyna odchodzi od klasycznej chemioterapii, którą można porównać do bombardowania dywanowego, niszczącego zarówno chore, jak i zdrowe komórki, na rzecz „precyzyjnych uderzeń". Najnowsze badania nad lekami onkologicznymi koncentrują się na zrozumieniu molekularnych czynników wywołujących chorobę oraz na reaktywacji układu odpornościowego, tak by mógł podjąć skuteczną walkę z zagrożeniem.

To nie są już starania lekarzy o przedłużenie życia o kilka miesięcy, lecz cały kompleks działań, których celem jest przekształcenie śmiertelnych chorób w choroby niezagrażające życiu, a w wielu przypadkach całkowicie wyleczalne. Dlatego nowoczesne terapie onkologiczne należą do najdroższych procedur medycznych na świecie. Koszt jednorazowej terapii genowej może przekroczyć 1 mln dol.

Niezwykle kosztowna jest też terapia CAR-T, czyli spersonalizowana immunoterapia genowo-komórkowa, w której tak „przetwarza się" limfocyty T pacjenta, aby rozpoznawały i zabijały komórki nowotworowe. W praktyce jest to jednorazowe podanie „żywego leku", który może utrzymywać się w organizmie przez długi czas i niszczyć komórki nowotworowe.

AI w onkologii

Nie możemy pominąć roli sztucznej inteligencji w przyśpieszeniu badań onkologicznych. Od kilku lat odgrywa ona coraz większą rolę w diagnostyce, np. w analizie zdjęć rentgenowskich czy danych pochodzących z rezonansu magnetycznego lub tomografii komputerowej. Okazuje się, że AI potrafi zidentyfikować zmiany niewidoczne dla ludzkiego oka. Działają już firmy, które, wykorzystując sztuczną inteligencję, są w stanie sprawdzić, czy cząstka będąca kandydatem na lek zdoła pokonać komórkę rakową. To bardzo skraca czas badań.

Nieraz możemy przeczytać o „szczepionce na raka" – ale jednej, uniwersalnej szczepionki „na raka" nie uda się opracować. Za to można, opierając się na technologii mRNA, którą wykorzystano w pracach nad szczepionką przeciw COVID-19, tworzyć szczepionki przeciwnowotworowe oraz wykorzystać je jako nośnik „instrukcji" dla układu odpornościowego, aby nauczyć go rozpoznawania i niszczenia komórek guza.

Technologia mRNA stała się platformą do personalizowanej immunoterapii. Obecnie realizowanych jest ponad 120 badań klinicznych, w trakcie których testuje się różne szczepionki mRNA. Chodzi o nowotwory płuc, piersi, prostaty, jelita grubego, trzustki i czerniaka. Spersonalizowane szczepionki podaje się w połączeniu z inhibitorami PD-1/PD-L1 (czyli z takim lekiem jak Keytruda), aby wzmocnić odpowiedź immunologiczną.

Kluczowe zalety tej technologii to: szybkość projektowania (tygodnie – od sekwencjonowania guza do gotowej szczepionki), elastyczność (łatwo można zmienić zestaw antygenów), brak ryzyka integracji z DNA oraz możliwość wielokrotnego doszczepiania pacjenta w trakcie choroby.

Najnowsze dane dotyczące skuteczności tej terapii pochodzą z II fazy badań klinicznych prowadzonych przez koncern Merck & Co. i spółkę Moderna. Pacjentom z czerniakiem podawano spersonalizowaną szczepionkę przygotowaną z wykorzystaniem technologii mRNA plus pembrolizumab (może to być Keytruda).

Po 18 miesiącach u 74,8% pacjentów nie nastąpił nawrót choroby. To jak dotychczas najsilniejszy dowód na skuteczność tego rodzaju terapii, będącej głównym kandydatem do wejścia do rutynowego leczenia, jeśli faza III badań klinicznych potwierdzi te wyniki.

Tak czy inaczej, pojawienie się nowych leków i terapii oznacza, że będzie bardzo drogo. Stanowi to wyzwanie dla systemów ubezpieczeń, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Jak bowiem finansować terapie, które są skuteczne, lecz rujnują budżet? Jednym z proponowanych rozwiązań jest model płatności, w którym producent leku otrzymuje zapłatę tylko wtedy, gdy terapia okaże się skuteczna.

Istnieje też poważne ryzyko powstania „onkologii dwóch prędkości". Kraje bogate będzie stać na wprowadzanie kosztownych innowacji, a kraje rozwijające się będą skazane na korzystanie z terapii onkologicznych, które są już uważane za przestarzałe.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 740ab42e27

Prof. Tadeusz Oracki

Uczony nie może być posłuszny

Cały świat może głupieć, ale mnie nie wolno

Marek Książek

Prof. Tadeusz Oracki, autor cenionych słowników biograficznych, kończy właśnie 95 lat.

Kiedy w 1960 r. młody nauczyciel z Ostródy zgłosił do wydawnictwa Pojezierze w Olsztynie konspekt słownika biograficznego Warmii, Mazur i Powiśla od połowy XV w. do 1945 r., dyrektor i redaktor naczelny Henryk Panas odpisał mu, że pomysł jest interesujący, ale „nie wierzymy, aby to mógł wykonać jeden człowiek". Tadeusz Oracki nie poddał się i do swojego projektu przekonał historyków z Poznania, a po trzech latach jego dzieło ukazało się w Instytucie Wydawniczym PAX. I do dziś – zwłaszcza po opublikowaniu drugiego, poprawionego wydania – jest uznawane za podstawową skarbnicę wiedzy o ludziach i regionie północno-wschodniej Polski.

Szczegóły tej i wielu innych interesujących historii z życia profesora, który lubi pracować samodzielnie, znajdziemy w świeżo wydanej książce Marka Barańskiego „Cały świat może głupieć, ale mnie nie wolno". Autor zamieścił w niej cykl rozmów z Tadeuszem Orackim, przeprowadzonych w latach 1989-2025.

Bohater to uznany autorytet nie tylko w regionie warmińsko-mazurskim, gdzie zaczynał realizować swoją pasję, bo później pracował w Mławie, by pół wieku temu na stałe osiąść w Gdańsku. Pochodzi z Warszawy, należał do harcerstwa, podczas wojny uczył się na tajnych kompletach i należał do Szarych Szeregów, a jego ojciec, pracownik techniczny w kawiarni, działał w ruchu oporu i został zamordowany przez hitlerowców. Natomiast Tadek z matką po powstaniu warszawskim trafił do obozu pracy przymusowej w Saksonii. Po wyzwoleniu przez Amerykanów mógł wyjechać do USA, ale chciał się spotkać z rodziną w kraju. Przyjechał do Ostródy, gdzie jego kuzyn zajmował się osadnictwem. Uczył się w gimnazjum, potem w liceum, wstąpił do nowego ZHP, studiował pedagogikę w Gdańsku, by zostać nauczycielem, najpierw w Szczytnie, później w Ostródzie (jednocześnie studiując zaocznie polonistykę na UMK w Toruniu), tam też założył Klub Młodej Inteligencji.

„Założyłem ten klub i byłem jego prezesem. Mieliśmy kontakty z klubami ogólnopolskimi, m.in. z Klubem Krzywego Koła, z ciekawymi ludźmi, których znaczna część wybiła się, z niektórymi z nich mieliśmy do czynienia w nowej rzeczywistości polskiej jako osobami publicznymi. Przypomnę choćby postać dla mnie bardzo interesującą – Aleksandra Małachowskiego", wyznaje profesor.

Jego wzorem był Tadeusz Kotarbiński. Ateista. Pytany przez autora, dlaczego ateiści nie przyznają się publicznie, że nie wierzą w Boga, prof. Oracki odpowiada: „Wie pan, to jest tak jak z homoseksualizmem. Mniejszość, która jest źle widziana, stara się nie manifestować, ale to obecnie się zmienia (…). Zarówno ateiści, jak i homoseksualiści oraz inni należący do tzw. mniejszości powinni w różny sposób zaznaczać swoją odrębność w społeczeństwie. Mają zatem prawo do przeciwstawiania się osobom i instytucjom nie tylko ich krytykującym, ale nawet odmawiającym im praw obywatelskich, tak jak chociażby prawo do związków partnerskich".

Mimo upływu lat profesor nie zwalnia tempa. Wydał monografię noblistów oraz opracował – samodzielnie! – setki sylwetek studentów i profesorów z Prus Krzyżackich, Książęcych i Warmii, którzy od XIV do XVIII w. studiowali na uniwersytecie w Krakowie. Iście benedyktyńska praca! A z drugiej strony współczesny czytelnik może sobie tylko wyobrazić, ile czasu i wysiłku kosztowała młodych ludzi głodnych kontaktu ze zdobyczami nauki wędrówka z Olsztyna czy Królewca do Krakowa...

Wiedza o przeszłości daje profesorowi prawo do wygłaszania własnych sądów na temat stanu społeczeństwa. Przeraża go mentalność Polaka katolika. Jego zdaniem przybiera ona tak skrajne formy jak obóz narodowy z naczelnym hasłem „Polska dla Polaków". Krytycznie też ocenia epidemię komórkową, czyli rozmowy na każdym kroku z telefonem w ręku. Czasami zwraca uwagę jakiemuś pasażerowi gdańskiej kolejki, że za cicho mówi, bo słyszy go tylko 20 osób. Profesor odstaje w ten sposób od przeciętności, lecz wyznaje zasadę: „Cały świat może głupieć, ale mnie nie wolno". Jest szanowany w środowisku naukowym, aczkolwiek czasami niewygodny, zwłaszcza gdy wypomina błędy autorom innych opracowań.

A co z literatem Henrykiem Panasem, który jako dyrektor Pojezierza nie wierzył w możliwość jednoosobowego opracowania słownika przez profesora? Trzy lata później panowie spotkali się na jakiejś uroczystości, pisarz oficjalnie przeprosił naukowca, potem wypili bruderszaft i o sprawie zapomnieli. ■

eprasa.pl 740ab42e27

ŚLĄSK TO NIE REGION, TO ŚWIATOPOGLĄD

Podróż banką po aglomeracji śląskiej

Rozmawia Rafał Pikuła

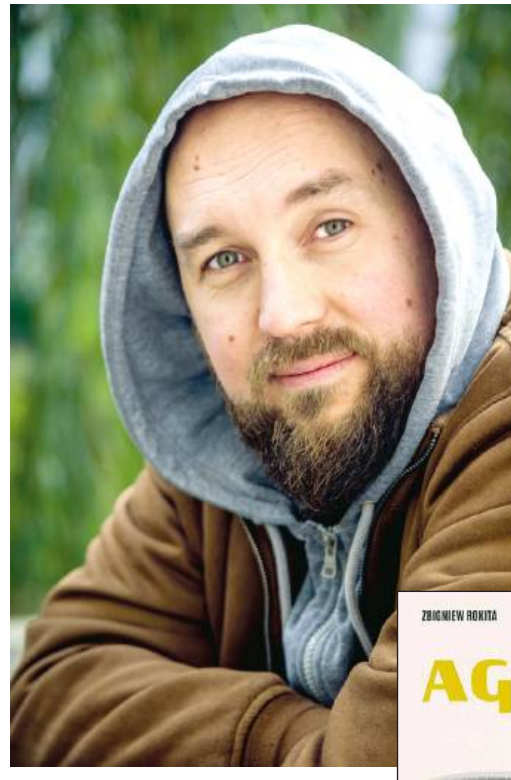

ZBIGNIEW ROKITA
– autor książki „Aglo", laureat Nagrody Literackiej Nike 2021 za „Kajś"

Nie przepracowałeś swojego Śląska. Po nagrodzonej Nike osobistej historii „Kajś" znów zabierasz czytelników na Śląsk, tym razem zapraszasz do podróży banką, tramwajem nr 7, przez kolejne miasta aglomeracji śląskiej. Po co ci ta podróż?

– Lubię podróżopisarstwo, a ciągnąca się przez pół Aglomeracji – przez Katowice, Chorzów, Świętochłowice, Bytom – trasa tramwajowej siódemki to dobra oś opowieści. Kilka lat po „Kajś" znów ruszyłem reportersko w Górny Śląsk, ale już w inny sposób. Poprzednią książkę pisałem, będąc w śląskiej diasporze, mieszkałem całe dorosłe życie w Krakowie, teraz od paru już lat żyję znów w Aglomeracji i widzę region inaczej. To perspektywa tubylcza.

Pewnie też wiele się zmieniło przez ostatnie lata na Śląsku.

– Nie znam regionu w Polsce, który zmieniałby się tak szybko. Trwa tu rewolucja górnośląska. Dotyczy tożsamości i pamięci, wymyślamy siebie na nowo w epoce postindustrialnej. „Aglo" to opowieść o tej teraźniejszości, bo na Górnym Śląsku teraźniejszość stała się ciekawsza niż historia.

Dorastałeś w Gliwicach, więc miałeś jakieś wspomnienie o Śląsku. To, wiadomo, obraz mityczny, a rzeczywistość potrafi zaskoczyć, olśnić, ale i rozczarować.

– Gdy zamieszkałem po powrocie z Krakowa na katowickim Zawodziu – ucieleśnieniu śląskiego stereotypu – nie czułem, że wracam do siebie, to była nowa przygoda. Gliwice są w Aglomeracji osobne, politechniczne, lwowskie, mniej przemysłowe, długo trwały w splendid isolation. Dobrze się tu zarabia, dobrze żyje, do pozostałych miast Aglomeracji poza sąsiednim Zabrzem, w którym były Multikino i Górnik, za mojego dzieciństwa się nie jeździło. Do dziś Gliwice są jednym z okien wystawowych regionu.

Wizytówka Górnego Śląska. Przeciwieństwo Bytomia?

– Bytom do niedawna uchodził za miasto upadłe, wymieniano go obok Radomia czy Wałbrzycha jako polskie Detroit. Ale to przeszłość. Dziś powoli staje się symbolem sukcesu, transformacji w dobre miejsce do życia: rewitalizuje się, dużo się tam dzieje, sprowadza się wiele ciekawych osób. Ma też ciekawą historię, szczyci się tym, że został założony kilka lat przed Krakowem. Tam wraz z Bytomskim Centrum Kultury od paru lat organizuję Aglo Festiwal, na którym dyskutujemy o Górnym Śląsku i innych polskich regionach, rozbijamy opowieść o Polsce monolitycznej. Od festiwalu nazwę wzięła moja najnowsza książka. Bytom jest w Aglomeracji najciekawszym architektonicznie miastem, w połowie XIX w. był naturalnym kandydatem na stolicę Górnego Śląska. I pewnie dziś to najszybciej przeobrażające się miasto Aglo.

Ale po przyjściu tam Polski Bytom rzeczywiście stał się symbolem katastrofy. W PRL miasto skazano na zniknięcie, przedłożono eksploatację surowców nad miasto i jego mieszkańców – dobrą książkę na ten temat, „Balladę o śpiącym lwie", napisała Agata Listoś-Kostrzewa. Z kolei wielkim bestsellerem w Czechach jest znakomita powieść Karin Lednickiej „Krzywy kościół". Karin opi-

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 740ab42e27

suje w niej los zaolziańskiej, śląsko-czeskiej Karwiny, czyli historię alternatywną Bytomia. Karwina dziś już nie istnieje, przeszło 20-tysięczne miasto zniknęło, został po nim jedynie krzywy kościół św. Piotra z Alkantary, który sam zapadł się o 40 m. Tak mógł skończyć Bytom. Dzisiaj się odradza, ale kopalnictwo i transformacja potężnie go doświadczyły. Wystarczy przejechać się tramwajem nr 38 z placu Sikorskiego przez Piekarską – kiedyś ulica była płaska, a teraz jedzie się najpierw ostro z górki, a potem wspina się pod górkę. To efekt szkód górniczych.

To chyba w ogóle specyfika Śląska, który próbuje wymyślić się na nowo.

– Wiele osób pyta: co po górnictwie? Tymczasem owo „po" już trwa. W 1990 r. polskie górnictwo – głównie na Górnym Śląsku – zatrudniało 400 tys. ludzi. A pamiętaj, że jedno miejsce pracy w kopalni generuje kilka kolejnych: w transporcie czy związanych z grubą usługach, nawet w branżach, których nie kojarzysz z węglem – padały np. pralnie, w których prało się odzież roboczą. Ponadto górnik często utrzymywał całą rodzinę, więc zmieniła się struktura rodziny. Zamknięcie kopalń niszczyło też cały mikroświat wokół nich: kolonie dla dzieci, wakacje dla pracowników, domy kultury, wspólnotę sąsiedzkich losów w wielu dzielnicach. Z tych 400 tys. zostało do dziś kilkadziesiąt tysięcy górników. Ta rewolucja już się dokonała. Ministerstwo Przemysłu, które Koalicja Obywatelska na chwilę przeniosła do Katowic, było pomysłem spóźnionym o wiele lat. Polska energetyka dziś jest bowiem na północy – gazoport, elektrownie wiatrowe, atom. Już nie Śląsk jest silnikiem Polski.

Niektóre fragmenty Aglomeracji dobrze sobie poradziły ze zmianami, w innych transformacja trwa. Śląsk jest silnie rozwarstwiony. Województwo śląskie to z jednej strony Tychy, Gliwice, Katowice czy Dąbrowa Górnicza – miasta z bardzo wysokimi dochodami na mieszkańca, rozwinięte – ale z drugiej Ruda Śląska, Świętochłowice czy Zabrze, gdzie sytuacja jest odwrotna. Możesz wysłać dziennikarza i on zrobi dwa materiały: jeden o tym, jak jest dobrze, drugi o tym, jak jest źle. I oba będą uczciwe.

W książce piszesz, że „Śląsk to nie region, to światopogląd". Co masz na myśli? Bo ja, mieszkaniec Warszawy, gdy słyszę, że Warszawa to światopogląd, mam w głowie niezbyt pochlebne opinie: o warszafce, lemingach, ludziach oderwanych od życia.

– W wielu sferach perspektywa śląska jest inna niż polska. Od I wojny światowej, przez Holokaust, komunizm, transformację czy dekomunizację, wielu Ślązaków ma inną perspektywę. Dotyczy to zresztą również bardziej fundamentalnych spraw, takich jak tożsamość, język czy stosunek do państwa polskiego. To często myślenie bluźniercze.

Kiedy wyjechałeś do Krakowa, studiowałeś, żyłeś tam, myślałeś o sobie raczej jako o Polaku – miałeś tę polską perspektywę. A śląskiej perspektywy chyba dopiero się uczysz? Która jest ci teraz bliższa?

– Atrakcyjniejsza jest śląska, bo jest kontrkulturowa, punkowa. Jednocześnie kształtowała mnie polska wyobraźnia i siatka pojęciowa, a o ile łatwo zmienia się emocje, o tyle trudniej zmienia się sztywne koncepcje. Jestem Ślązakiem, ale i nieco Polakiem, a może „post-Polakiem". To trochę tak jak z religią: człowiek może odejść od chrześcijaństwa, ale jeśli był wychowywany na chrześcijanina, przeszedł przez polską szkołę, i tak będzie „post-chrześcijaninem", bo pojęcia takie jak dobro, zło, grzech, wina będą w nim głęboko zakorzenione. A to nie są pojęcia konieczne, ktoś je nabył. Z polskością jest tak samo, to polskość zbudowała dekoracje dla mojego myślenia, moje imaginarium. Dziś próbuję to zniuansować i odejść od tego. Jedź do Etiopii, Mongolii czy Namibii – tam siatka pojęć będzie już zupełnie inna.

Co myślisz o ruchach autonomii Śląska czy o śląskości definiowanej w kontrze do Polski? A może paradoksalnie nie ma dzisiaj śląskości bez polskości, bo te dwie rzeczy są nierozerwalne?

– Autonomia to postulat gospodarczo-administracyjny. Zresztą dziś już martwawy – niemal nikt już o tym na Śląsku nie wspomina. O autonomii więcej mówią osoby śląskosceptyczne poza regionem, które utożsamiają ją z separatyzmem. Ale nawet wtedy, gdy Ruch Autonomii Śląska był silny, postulat autonomii nie był antypolski. Lubiłem hasło „Śląsk syty, Polska cała". Autonomię Ślązakom dał Józef Piłsudski, a czy Piłsudski był antypolski? Autonomia miała być próbą nowej decentralizacji, renegocjacji umowy społecznej między peryferiami a centrum; głównie umową gospodarczą. Znam opowieści o tym, że „damy palec, wezmą rękę", ale nikt tu o swoim państwie, Republice Górnośląskiej, nie myśli.

Większym problemem niż antypolskość Katowic jest antyśląskość Warszawy, części władz. Dwie trzecie spośród 600 tys. osób deklarujących narodowość śląską łączy ją z polskością. Większość Ślązaków nie widzi tu sprzeczności. Tymczasem żyjemy w sytuacji, gdy Ślązacy są dyskryminowani – nie lubię mówić zbyt dużo o dyskryminacji, bo to utrudnia dyskusję, ale w tym przypadku to adekwatne sformułowanie. Mimo 600 tys. deklaracji narodowości śląskiej mniejszość śląska nie jest uznawana. Również język śląski nie ma statusu języka regionalnego, a co za tym idzie, finansowania, które pomogłoby go uczyć w szkole. W ubiegłym roku parlament przyjął stosowną ustawę, ale została zawetowana przez poprzedniego prezydenta. Obecny również się sprzeciwia.

Czy to kwestia polityczna, czy może strach przed separatyzmami? Wiadomo, że różne ruchy separatystyczne w Europie miały wsparcie z zewnątrz, choćby ze strony Rosji. Może w czasach zagrożenia

Trwa tu rewolucja górnośląska. Dotyczy tożsamości i pamięci, wymyślamy siebie na nowo.

eprasa.pl 740ab42e27

zewnętrznego ignorowanie mniejszości jest elementem polityki bezpieczeństwa?

– Po pierwsze, jeśli Ślązacy są definiowani jako potencjalne zagrożenie dla krajowego bezpieczeństwa, to ktoś ma złe rozeznanie sytuacji. A po drugie, przecież tej mniejszości nie uznano ani za czasów Borysa Jelcyna, ani za wczesnego Władimira Putina, ani wtedy, gdy za Dmitrija Miedwiediewa Warszawa utrzymywała z Moskwą dobre stosunki.

Inna sprawa, że gdyby zapytać samych Ślązaków – wszystkich, nie tylko inteligencję – czy chcą nadania odpowiedniego statusu godce i mniejszości, to nie wiem, jaka byłaby odpowiedź. Być może jako inteligencja walczymy za niczyją sprawę, wiemy lepiej niż społeczeństwo, co dla niego dobre.

A może chodzi o niemieckość Ślązaków? Jarosław Kaczyński już w 2011 r. powiedział, że „Ślązacy to piąta kolumna Niemiec". W odbiorze społecznym, może niekoniecznie powszechnym, Śląsk bywa utożsamiany z niemieckością.

– Też myślę, że nie chodzi tu o Moskwę, więcej się mówi w tym kontekście – również bezzasadnie – o Berlinie. Słuchając w ostatnich latach narracji niektórych komentatorów, mam poczucie, że jesteśmy na wojnie nie z Rosją, ale z Niemcami. Dotyczy to np. reparacji: dlaczego upominamy się o nie wyłącznie od RFN, a nie od Federacji Rosyjskiej? Ale rozumiem, że wiele osób obawia się Ślązaków, bo nie orientuje się w tutejszych stosunkach. Problemem jest, gdy ktoś sieje panikę cynicznie lub nie ma wiedzy, a ma zawód odpowiedzialności publicznej jak dziennikarz czy polityk. Zwykły Kowalski z Opoczna nie ma jednak obowiązku być śląskoznawcą i może się gubić w śląskim niuansie, bo nasza historia i teraźniejszość istotnie się różnią od tej podlaskiej czy mazowieckiej.

Rozumiem, że ktoś może zarzucać Ślązakom separatyzm, a nie mieć przy tym złych intencji. Może kierować się troską o integralność państwa, o bliskich. Są mniejszości jak tatarska – niewielkie, bezkolizyjne, muzułmanie „nasi", mający udowadniać polską tolerancję, listek figowy. Ślązacy budzą emocje, bo swoim istnieniem podważają obowiązującą od wczesnego powojnia narrację o polskiej monoetniczności. Rozpychają się w słowiańskości i zadają pytanie o to, czym jest polskość. To trudne pytanie.

Niedawno prezydent zawetował ustawę o języku wilamowskim – języku kilkudziesięciu osób żyjących w jednym miasteczku. W ten sposób nie wypowiedział się jednak na temat Wilamowian, ale nakreślił swoją wizję państwa: czy chcemy państwa etnicznego i lękliwego, czy różnorodnego i pewnego siebie. Wilamowianie mogą przepaść bez pomocy państwa. Podobnie Ślązacy, choć jesteśmy znacznie silniejsi.

Na Górnym Śląsku teraźniejszość stała się ciekawsza niż historia.

W Warszawie upamiętniamy powstanie warszawskie – nieważne, że przegrane i może wywołane bez sensu. Powszechna jest dumna. Tymczasem powstania śląskie nie budzą takich emocji. Skąd to się bierze?

– Powstanie warszawskie świetnie się wpisuje w polski mit Gloria Victis. Nawet w hymnie stoi: „Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy", po czym sromotnie przegrał. W dyskusji o powstaniu warszawskim brakuje mi ambiwalencji, zdolności do przyznania, że było wielkim patriotycznym zrywem, jak i hekatombą, głównie ludności cywilnej, której ofiara z politycznego punktu widzenia była może bezzasadna, a odpowiedzialność dowódców powinna być przedmiotem refleksji.

Podobnie jest z wieloma innymi sprawami: żołnierzami wyklętymi, którzy bywali i bohaterami, i szujami, czy właśnie z powstaniami śląskimi. Przede wszystkim tak naprawdę było jedno powstanie, trzecie, gdyż dwa wcześniejsze to raczej lokalne ruchawki. Miało znamiona powstania, ale też wojny domowej czy polsko-niemieckiej. Z punktu widzenia traktatu wersalskiego powstanie było też kłopotliwe, bo wybuchło wbrew wynikom plebiscytu, w którym 60% głosujących opowiedziało się za Niemcami. To była próba szantażu wobec aliantów, polityki faktów dokonanych i zagrożenia „czwartym powstaniem" w razie nieuznania polskich racji. Była to wreszcie częściowo interwencja jednego państwa na terytorium drugiego – Górny Śląsk stanowił wówczas terytorium państwa niemieckiego. Dlatego dziś sam termin budzi tu kontrowersje.

Później zresztą wielu Ślązaków rozczarowało się Polską

– Nie po raz pierwszy i nie ostatni. Część szła do powstania z przekonaniem, że walczą o lepsze życie, mieli wobec Polski niepisane oczekiwania, swoje pacta conventa. Po pierwsze, poziom życia miał być przynajmniej taki jak w Cesarstwie Niemieckim w 1913 r. Po drugie, miał być możliwy awans społeczny bez konieczności spolszczania. Nic z tego się nie spełniło. I do dziś to wydarzenie jest trudne, kłopotliwe i niejednoznaczne.

W Polsce mamy skłonność do romantyzowania powstań, zwłaszcza warszawskiego, ale chyba próbuje się romantyzować powstania śląskie jako zryw przeciw Niemcom. Tłumaczysz, że tak wcale nie było.

– Pojawiają się próby wpisania powstań śląskich w ciąg „250 lat polskich powstań narodowych". W Gliwicach stanął pomnik Powstań Polskich. Na obelisku jest cała ich lista, m.in. kościuszkowskie, listopadowe, warszawskie, Solidarność – i oczywiście śląskie. Tyle że powstania śląskie różnią się od wszystkich pozostałych w swojej istocie: nikt na Śląsku nie walczył z okupantem. Władza niemiecka była tu legalna – od prawie dwóch stuleci. Nikt, nawet Warszawa, tego nie kwestionował. Wymieniając jednym tchem tak różne wydarzenia, zacieramy ich specyfikę i umacniamy mitologię tysiącletniej wojny polsko-niemieckiej.

Mamy w Polsce skłonność do przyjmowania perspektywy antyniemieckiej nawet tam, gdzie jest to ahistoryczne. Myślimy zbytnio Warszawą, za mało regionami. Na cmentarzu garnizonowym w Katowicach widziałem zbiorową mogiłę z napisem: „Szczątki alianckich żołnierzy zmarłych w germańskiej niewoli".

eprasa.pl 740ab42e27

A termin „alianci” jest projektowany nie z perspektywy Górnego Śląska, poza tym „germańska niewola” jest terminem ocennym. Tymczasem tu było wówczas Cesarstwo Niemieckie, Ślązacy służyli w armii kajzera, to była ich armia. Dlaczego nie zdecydować się choćby na bardziej neutralny termin „niemiecka niewola”? Język determinuje myślenie, a myślimy o Śląsku coraz bardziej w ziemioodzyskańczym duchu odwiecznie polskiej ziemi.

W książce piszesz, że twój ulubiony pomnik to taki, którego praktycznie nie ma – pusty cokół w Katowicach. Dlaczego?

– Bo to najlepsza metafora Śląska. Mariusz Szczygieł w książce „Fakty muszą zatańczyć” cytował czeskiego taksówkarza, który powiedział, że Polacy lubią być pomnikami, a Czesi – gołębiami. A Ślązacy? W tej środkowoeuropejskiej triadzie przypada im rola cokołów. Na tym katowickim placu Wolności każda kolejna władza stawiała swoich bohaterów. Za Cesarstwa Niemieckiego stali tam cesarze Wilhelm I i Fryderyk III Hohenzollernowie, za Polski powstańcy śląscy, podczas wojny żołnierze niemieccy, za PRL żołnierze sowieccy. Gdy tych ostatnich kilkanaście lat temu zdjęto, cokół został pusty. Najlepsze miejsce w centrum miasta, do wzięcia, gdzie pustka symbolizuje więcej niż dowolna statua.

Chciałbym, żeby tak zostało. Żeby zamontować tam tabliczkę: „Pomnik wszystkich pomników i metafora śląskiego losu”. Wypisać, kto tu stał, za jakiej władzy, i zostawić pusty cokół jako pomnik samej pamięci – pamięci, wobec której trzeba być nieufnym.

Piszesz, że śląska godka nie była dla ciebie językiem domu i rodzinnych rozmów. Dziś ten język wnosisz do teatru i mówisz, że dla żadnej innej kultury etnicznej teatr nie ma takiego znaczenia jak dla śląskiej. Dlaczego?

– W domu nie mówiliśmy zbytnio po śląsku, władała nim tylko babcia Marysia, reszta albo się wyśląszczyła, albo przyjechała tu skądinąd ze swoimi językami. To los wielu rodzin. A później, owszem, śląski coraz bardziej rozpychał się w przestrzeni publicznej, ważną rolę odegrał tu teatr. Nie znam drugiego przypadku społeczności, dla której odrodzenia czy narodzenia narodowego teatr byłby tak istotny. Pierwszym spektaklem, który wprowadził śląski na scenę, był „Cholonek” w 2004 r. Właśnie rozpoczął się 22. sezon, to jedno z najdłużej granych przedstawień w Polsce. Od tej pory śląszczyzna w teatrze pojawia się nieustannie, dbali o to Robert Talarczyk, Lech Majewski czy Mirosław Neinert. Wiosną wystawimy „Hamleta” po śląsku w Teatrze Śląskim. Godka również w literaturze udowadnia od lat, ile jest w stanie udźwignąć. W ostatnich latach na literacką, wysoką śląszczyznę (a to język skodyfikowany w ok. 90%, intensywne prace trwają) przetłumaczono m.in. Pismo Święte, Ajschylosa, Tolkiena, Dantego czy moje „Kajś”.

Paleta emocji, które godka potrafi udźwignąć w kulturze wysokiej, jest szeroka, ale wciąż testujemy jej granice. Na festiwalu Aglo w Bytomiu zadaliśmy sobie pytanie, czy po śląsku da się też bać. I zaprezentowaliśmy „Lśnienie” Stanleya Kubricka ze śląskim dubbingiem na żywo. Udało się, znowu nieco przesunęliśmy granicę. W przyszłym roku chciałbym pokazać „Listę Schindlera” po śląsku. Powiedzieć o Holokauście po naszymu.

Czyli jest szansa, żeby śląski był językiem nie tylko elit, teatru albo domowym, ale też miał swój średni rejestr, był językiem publicznym, na co dzień. Potrzeba serialu na Netfliksie po śląsku?

– To jest konieczne, mamy rejestry niski i wysoki, potrzebujemy teraz jak najwięcej rejestru średniego, w którym o nic nie będziemy walczyć, a tylko dobrze się bawić. Bo najważniejsza dla przetrwania śląszczyzny jest teraz jej atrakcyjność.

Mówiliśmy, co Ślązaków łączy, a teraz, uwaga, coś, co dzieli, czyli fusbal. Piszesz sporo o piłce nożnej, a ja mam wrażenie, że nigdzie w kraju przynależność klubowa nie jest tak silna jak na Śląsku.

– Tu każdy wie, który klub jest jego, nawet jeśli zupełnie nie interesuje się piłką. Przestrzeń drze się o tym. Jak kibicujesz takiej Jagiellonii Białystok czy Motorowi Lublin, to jesteś wyspą i wokół nie ma zbyt wielu innych drużyn, z którymi antagonizm wzmacnia twoje poczucie związku z klubem. Jeśli nie bywasz na wyjazdach, to nigdy w życiu nie widziałeś kogoś, kto nie lubi Jagi.

Inaczej jest w Aglomeracji, gdzie rzeczywiście, tak jak piszę w książce, gdy jedziesz siódemką, na jej trasie kilkukrotnie musiałbyś zmieniać koszulkę, żeby zawsze nosić obowiązujące barwy. Jedź np. do Świętochłowic, na Lipiny, tam po jednej stronie torów na tej samej ulicy są za Ruchem, a po drugiej – za Górnikiem. Tu geografia kibicowska wymaga choć minimalnej wiedzy.

Przynależność klubowa, kibicowska jest elementem lokalnej dumny. To pamięć o Wielkich Czasach. Jak zauważasz w książce, na 35 mistrzostw po 1945 r. 22 były śląskie, ale na 35 po 1989 r. już tylko jedno. I to Piasta Gliwice, który był w cieniu potęg Ruchu i Górnika.

– W tym roku Piast najpewniej spadnie. W piątek byłem na stadionie na meczu z Koroną Kielce i pobiliśmy antyrekord frekwencyjny, 3 tys. osób na meczu. A mistrza pewnie zrobi Górnik.

Który w zespole ma – jak sam piszesz – najsłynniejszego Ślązaka na świecie!

– Tak, Lukasa Podolskiego. Nie ma bardziej znanego Ślązaka. Wiele mnie w nim drażni, ale szanuję to, że dotrzymał słowa i wrócił do swojego klubu. Rogata dusza, gdy nie może akurat grać, wsiada w pociąg i jeździ z kibicami. Ostatnio na Stadionie Śląskim był mecz dawnych gwiazd Polski i Niemiec. Podolski pół meczu zagrał w drużynie Niemiec, drugie pół w drużynie Polski, pół jako Lukas, pół jako Łukasz. W jego losie można się doszukiwać metafory Śląska.

Rafał Pikuła

Polacy lubią być pomnikami, Czesi gołębiami. A Ślązacy? Im przypada rola cokołów.

eprasa.pl 740ab42e27

NA ROZSTAJU CZASU

W „Termopilach polskich” Jana Klaty musimy zderzać się z pytaniami ostatecznymi

Caryca Katarzyna Danuty Stenki to bezwzględna despotka.

Tomasz Miłkowski

Szalona gonitwa obrazów, myśli, konfliktów i gorączkowych poszukiwań dróg wyjścia z sytuacji krańcowych to w zamierzeniu autora „teatr mrącej głowy”, czyli świat oglądany/wspominany w gwałtownych zderzeniach przez księcia Józefa Poniatowskiego. Rodzaj kroniki życia i nadciągającej śmierci. To przez umierającą głowę przelatują te myśli ostatnie, wybrane, a więc istotne. Ale nawet jeśli ów porządek scenicznych zdarzeń nie zostanie przez widza dostrzeżony, pozostaje rytm wizyjnego widowiska, w którym absurd, ekscentryzm, realizm i poetycki skrót spotykają się z odczuwanym wyraźnie kontekstem tej opowieści.

Jan Klata nie pozwala o tym zapomnieć. Premierze „Termopil polskich” Tadeusza Micińskiego towarzyszy „Kraj(obraz) wojny” – wystawa Bartłomieja Kiełbowicza w murach Teatru Narodowego, interwencja artystyczna z czytelnymi hasłami odnoszącymi się do trwającej wojny w Ukrainie. A i plakat spektaklu, nawiązujący do plakatu Yoko Ono i Johna Lennona „War Is Over”, na którym „over” zastąpiono słówkiem „on”, jest dostatecznie wymowny. Znowu znaleźliśmy się na zakręcie czasu. Tak jak książę Józef ginący w Elsterze, kiedy Polska znikała z mapy Europy. Tak jak król Stanisław August przysięgający na Konstytucję 3 maja w poczuciu historycznego sukcesu, ale wkrótce przeżywający swoją największą klęskę.

> Teatr Narodowy i jego okolice to miejsce naznaczone historią, często bolesną.

Nie sposób więc uciec od poczucia, że zamieszkujemy w kraju rządzonym przez „króla Wyporka”, jak śpiewa słowami Micińskiego zespół Gruzja, i wciąż musimy się zderzać z pytaniami ostatecznymi: bić się czy nie bić, honoru bronić czy racjonalnego trwania, wchodzić w alianse z sąsiadami i z którymi? Jak powiada w dramacie książę Józef: „Zginąć zbyt łatwo, choć żyć bywa tak trudno”.

Powody, dla których Klata ponownie sięgnął po rzadko grywany dramat Micińskiego (wystawiał go 11 lat temu w Teatrze Polskim we Wrocławiu), są jasne. Zwłaszcza że chodzi też o wyrazistą inaugurację jego dyrekcji w 260. rocznicę powstania Teatru Narodowego. A swoją wagę ma samo miejsce, gdzie materializują się na scenie widma

eprasa.pl 740ab42e27

przeszłości i bitewne powidoki, wciąż zaludniające polską wyobraźnię. Znajdujemy się przecież o żabi skok od pałacu Pod Blachą i co jeszcze bardziej znaczące – od Zamku Królewskiego, gdzie w Sali Senatorskiej 3 maja 1791 r. uchwalono konstytucję. O rzut beretem stoi przed Pałacem Namiestnikowskim pomnik księcia Józefa Poniatowskiego.

Teatr Narodowy i jego okolice to miejsce naznaczone historią, często bolesną, czasem niecącą nadzieję. Starcie koryfeuszy niegdysiejszych (czy tylko niegdysiejszych?) walk o szansę dla Polski wybrzmiewa tu szczególnie dobitnie.

Powstał spektakl niełatwy, wymagający w odbiorze, lecz emocjonalnie pociągający, a w wielu momentach olśniewający. Trudno nie ulec drapieżnej scenie z udziałem carycy Katarzyny, która pojawia się w monstrualnej sukni, kryjącej w sobie roje kochanków. Wrażenie robi nie tylko obraz, kostium i rytm ukazania się carycy, ale także mocna, wystudiowana kreacja Danuty Stenki jako bezwzględnej despotki.

Takich zaskakujących i wartych zapamiętania scen jest w tym przedstawieniu więcej, dość przywołać monolog Tadeusza Kościuszki (Cezary Kosiński), scenę sejmu w Grodnie czy wspomniane już zaprzysiężenie konstytucji. Dyskusyjne jednak było spuentowanie tej sceny „Mazurkiem Dąbrowskiego", wprawdzie cytowanym przez Micińskiego, ale nie w tym momencie, bo przy całej swobodzie korzystania z materiału historycznego autor nie posunąłby się do takiego asynchronizmu – mazurek powstał dopiero sześć lat po uchwaleniu konstytucji.

Zresztą pomysł wciągnięcia widowni do wspólnego zaprzysiężenia ustawy rządowej – sam w sobie wart uwagi – nie za bardzo wyszedł, skoro nie wszyscy skorzystali z zaproszenia do powstania, a prawie nikt poza aktorami nie śpiewał, co znacznie osłabiło siłę finału pierwszej części.

Mocniej wypadł finał całości. Rozpoczynał go „Grób Agamemnona" Juliusza Słowackiego, recytowany z goryczą na grobie ojczyzny przez Jana Frycza w roli króla Stanisława Augusta (rolę tę gra na zmianę z Jerzym Radziwiłowiczem), a na sam koniec krajobraz po bitwie uwydatniony został dźwiękami i chórem z offu śpiewającym standard „Que sera, sera", który brzmi jak zapowiedź rezygnacji z oporu wobec nadciągającej przyszłości.

Wymowę spektaklu wzmacnia charakterystyczna dla teatru Klaty forma, idealne splecenie obrazu i dźwięku, czytelna w symbolice scenografia śmiało korzystająca z obrazów wideo – zgodnie zresztą z sugestią pisarza, najwyraźniej zafascynowanego filmowym montażem i rozmachem. Starannie przemyślana widowiskowość (ruchome podesty, sceny niemal pantomimiczne, m.in. scena rozbiorów Polski z trzema przenoszonymi z miejsca na miejsce szlabanami) i muzyka na żywo zespołu Gruzja tworzą zharmonizowaną z aktorami i statystami całość pulsującej materii, co chwila wysuwającej na czoło inny element widowiska. Metalowe, wściekłe piosenki Gruzji budują nastrój, nadają mu kierunek, akcentując współczesną wymowę przedstawienia. Czasem wręcz natarczywie, jak w pieśni „Aleksandria" do wiersza Dominika Gaca, w którym wybrzmiewa cała litania bolesnych miejsc: Verdun, Waterloo, Auschwitz, Charków, Katyń.

Młyny historii, nawet jeśli w konwulsjach i lęku przed jutrem, wciąż mielą.

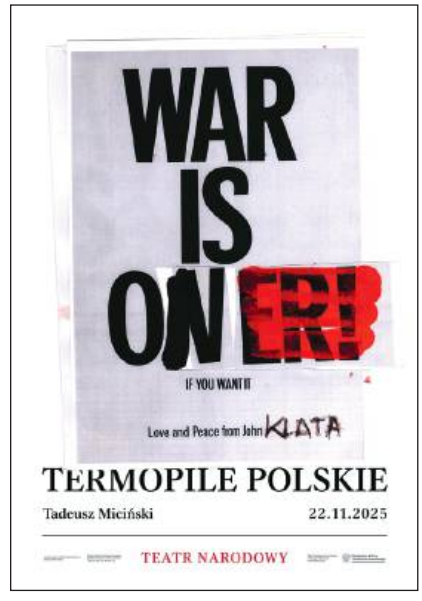

Plakat spektaklu nawiązuje do plakatu Yoko Ono i Johna Lennona „War Is Over".

Spektakl nie daje odpowiedzi na pytanie o przyszłość, chociaż obraz wschodniego sąsiada jest tu jednoznaczny. Nie tylko scena z carycą Katarzyną, ale także układy króla z kniaziem Patiomkinem nie pozostawiają cienia wątpliwości: oparcie bezpiecznej egzystencji na sojuszu ze Wschodem może przynieść tylko katastrofę.

Jednak nie ta oczywista diagnoza jest jądrem przesłania inscenizacji, która z trudnych doświadczeń historii czyni laboratorium zbiorowej świadomości z jej wzlotami i upadkami, desperackimi czynami i racjonalnym poszukiwaniem drogi w wichrze dziejów. To nie jest teatr publicystyczny albo spektakl z kluczem, w którym historyczne postacie reprezentują dzisiejszych aktorów sceny politycznej. To raczej, jak chciał Miciński, „kamień szlifierski dla dusz w Polsce". Dramat, z którym się zmagał, poprawiał go, zmieniał redakcje i koncepcje, a ostatecznie nie ukończył. Kto wie, może ta otwarta konstrukcja, nęcąc swoją różnorodnością, wybuchami geniuszu, poetyckiego furoru i nieporadności, otwiera przed inscenizatorami możliwości nadawania tekstowi własnego piętna na scenie. Aż dziw, że zaledwie czterech reżyserów (jak do tej pory) odważyło się zmierzyć z tym niezwykłym dziełem: Marek Okopiński (1970, Teatr Wybrzeże), Andrzej Maria Marczewski (1982, Teatr Rozmaitości w Warszawie; 1989, Teatr Polski w Bydgoszczy; 2006, Teatr Nowy w Łodzi), Krzysztof Babicki (1986, Stary Teatr) i wreszcie Jan Klata. Jego druga inscenizacja „Termopil polskich" przeczy bałamutnej tezie Fukuyamy o końcu historii. Młyny historii, nawet jeśli w konwulsjach i lęku przed jutrem, wciąż mielą.

Tadeusz Miciński, „Termopile polskie", reżyseria, adaptacja i opracowanie muzyczne Jan Klata, Teatr Narodowy w Warszawie, premiera 22 listopada 2025

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

eprasa.pl 740ab42e27

NA POWAŻNIE

Wystrzałowy cyrulik

Wystrzał petardy z konfetti kończy spektakl w nowej inscenizacji. Nie jest to jedyna atrakcja w przedstawieniu, które urzeka ruchem, tańcem i popisami wokalnymi. Największym walorem stał się beztroski humor nieco archaicznej historii o zalotach młodego hrabiego do pięknej wychowanicy starego doktora, któremu ta para pragnie zrobić psikusa. Perfekcyjne przygotowanie aktorskie obsady śpiewaków zaciera granicę między operą, teatrem komediowym i rewią. Nawet najwięksi sceptycy nie będą się nudzili.

Bronisław Tumiłowicz

Gioacchino Rossini, „Il barbiere di Siviglia", reżyseria Grzegorz Chrapkiewicz, dyrygent Adam Banaszak, Warszawska Opera Kameralna, premiera 20 listopada 2025

KURTYNA W GÓRĘ

Drakula na trasie Gliwice-Rzeszów

Spektakl należy do tzw. horroru gatunkowego, więc ma za zadanie straszyć publiczność. Chodzi oczywiście o upiora z Siedmiogrodu, który pije krew i jednocześnie zaraża swoje ofiary. Współcześnie odmianą tej epidemii był HIV, z którym cywilizacja jakoś chwiejnie się uporała, ale bać się nadal trzeba. Gliwickie przedstawienie straszy światłami, kostiumami, makijażem, głosami, projekcjami wideo, a nawet fletami prostymi. Uwaga: aktorzy wchodzą między widzów w teatrze!

Bronisław Tumiłowicz

„Drakula", reżyseria Jakub Roszkowski, Teatr Miejski w Gliwicach, premiera 27 lutego 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI

Amy Key
Aranżacje w kolorze Blue
Notatki o miłości i budowaniu sobie życia

tłum. Agnieszka Pokojska
Filtry, Warszawa 2025

Amy Key w poruszającym eseju autobiograficznym odsłania kruchość i siłę życia w pojedynkę, wydobywając na światło dzienne emocje, które zwykle chowamy w milczeniu. Z niezwykłą czułością pisze o desperacji, wstydzie i zazdrości, ale też o drobnych gestach opieki nad sobą, które potrafią uleczyć więcej niż niejedna relacja. Towarzyszy jej „Blue" Joni Mitchell – album, który stał się nie tylko ścieżką dźwiękową miłosnych rozczarowań, lecz także punktem wyjścia do zakwestionowania narzuconych wzorców uczucia. To książka niosąca cichą, lecz upartą, nieco kontrrewolucyjną nadzieję, że pełne życie jest możliwe również poza orbitą romantycznych obietnic. Kochać to można w kolorze blue.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Salamon & Fitzsimons
Home
SALAMONSPACE Michał Salamon

Kiedy latem pojawił się teledysk do „Warszawy", drugiego singla świeżo powstałego duetu, kończyło go optymistyczne „To be continued…", wiadomo więc było, że panowie mają coś jeszcze w zanadrzu. Długo nie kazali na siebie czekać. Już można słuchać minialbumu z pięcioma piosenkami, tworzącymi muzyczną i tematyczną całość. To debiutancki utwór „Thin Air" i oczywiście „Warszawa" (wokalista na naszą stolicę zamienił rodzinne Wellington), tytułowy „Home" o bardziej elektronicznym brzmieniu, „Only Get Better" i „Keys To The Kingdom" – wszystkie mówią o szukaniu swojego miejsca, tożsamości, przynależności, spokoju. Są refleksyjne, nastrojowe dzięki połączeniu charakterystycznego, „narracyjnego" wokalu Keva Fitzsimonsa i krystalicznego dźwięku fortepianu Michała Salamona, muzyki indie, którą wnosi Nowozelandczyk, i delikatnej jazzowej ballady Polaka. I są zachwycające.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. JEREMI ASTASZOW, GRZEGORZ BARGIEL, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 740ab42e27

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Uwłasnowolnienia

To słowo bardzo mi się podoba, tak bardzo, że je sobie przywłaszczam do tytułu, a jako zadośćuczynienie poświęcę felieton wystawie, w której opisie je znalazłem. Uwłasnowolnienie, czyli odzyskanie mocy sprawczej kobiet w sztuce, któremu poświęcona jest świeżo otwarta w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej „Kwestia kobieca 1550-2025" pod kuratelą nowojorskiej krytyczki sztuki Alison M. Gingeras. Paradoksalnie ta ekspozycja jest złożona wyłącznie z prac wykorzystujących tradycyjne media plastyczne – malarstwo i rzeźbę, w dodatku gros dzieł to sztuka dawna (np. XVII-wieczne autoportrety Sofonisby Anguissoli czy Lavinii Fontany) lub XX-wieczna. Sam dyskurs feministyczny też trudno nazwać nowatorskim – cała wystawa jest więc raczej akademickim repetytorium; być może takie było kuratorskie przesłanie: nie ma co walczyć o miejsce kobiet w sztuce, bo one zawsze w niej były. Trzeba po prostu to sobie przypomnieć.

W kolejnych salach/rozdziałach wyraźnie zarysowuje się historyczny rozwój emancypacji kobiet: od buntu przeciw skryptom płci (scenariuszom zachowań przypisywanym płciom) do buntu przeciw schematom płciowym (niebinarność). Tyle że już na dzień dobry widz męski dostaje kuksańca, w pierwszej sali, poświęconej femmes fortes, widzimy kolejne wcielenia Judyty i Salome, dokonujących uwłasnowolnienia przez dekapitację mężczyzny. Ja się bardzo staram wierzyć w feminizm wolny od mizoandrii, ale po takim powitaniu czytam komunikat wprost: zanim zaczniesz rozmawiać z facetem o równouprawnieniu, nie zapomnij ściąć mu łba.

Owóż, przechadzając się po wystawie, z każdą kolejną salą nabierałem pewności, że tutaj nie ma o co się pokłócić – rzecz jest słuszna, bezpieczna i inkluzywna nieomal do absurdu. Strażnicy tejże inkluzywności wywołali znacznie większą dyskusję w Bielsku-Białej, nagradzając na tegorocznym biennale malarstwa Małgorzatę Mycek, którą nazwałbym „osobą bohomaziarską". Jury postawiło na gest polityczny, antyestablishmentowy, ale zdający mi się dość sztubackim.

W 1993 r. w nobliwym częstochowskim teatrze byłem świadkiem turnieju jednego wiersza, gdzie do jury zaproszono dziką młodzież literacką, tzw. brulionowców, z Marcinami Świetlickim i Baranem na czele. Startowało tam wielu konkursowych wyjadaczy, wiedzących, „jak robić wiersze", poetów oczytanych i rozpisanych – jakież więc było ich rozczarowanie, gdy jedną z głównych nagród dostała babulinka za rymowankę o samotności i śmierci – trudno to było nawet nazwać grafomanią, to był klasyczny przykład „sztuki naiwnej". Rozumiem zatem i dzisiaj oburzonych nagrodami dla „brzydkich obrazków", jak choćby prof. Ernesta Zawadę, który sam maluje wielkoformatowe abstrakcje, kupowane „pod kolor ścian" przez zamożnych mieszczan. Jako artysta pozostał człowiekiem XX w. – nie w smak mu „tendencja ukierunkowywania malarstwa współczesnego w stronę prymitywizmu, podszytego wielkimi teoriami". Kuratorka Ada Piekarska kontruje: „To mechanizm obronny świata, w którym »mistrzostwo« stanowi walutę prestiżu i dowód słuszności. »Mistrzostwo« nigdy nie było neutralne – było mechanizmem selekcji klasowej i płciowej".

To też pokazuje warszawska wystawa (na której skądinąd znalazła się jedna praca Mycek). Kobiety nie miały wstępu na akademie, na zajęcia z rysunku z natury ani do kręgów artystycznych, lud nie miał dostępu do takiej edukacji z powodów ekonomicznych. Kobiety odsyłano do robótek ręcznych – na wystawie znajdziemy przykłady „malowania igłą", wspaniałych haftów, które wykraczały poza schematy. Takie są konsekwencje imperatywu inkluzywności w sztuce – oprócz dzieł już bez mała kanonicznych znajdziemy tu także sporo dzieł sztuki nieprofesjonalnej. Między innymi wizerunek Wilgefortis – brodatej świętej, obiektu kultu ludowej proweniencji, odrzucanego przez Kościół. Wzięła się legenda o świętej kobiecie z brodą prawdopodobnie z błędnie zinterpretowanych wizerunków ukrzyżowanego Chrystusa w szatach liturgicznych. Dzisiaj oczywiście Wilgefortis jest hołubiona jako trans-Jezus i patronka ofiar przemocy domowej.

> Nie ma co walczyć o miejsce kobiet w sztuce, bo one zawsze w niej były. Trzeba po prostu to sobie przypomnieć.

Tejże poświęcił swój nowy film Wojciech Smarzowski, odsądzany od czci i wiary przez wydelikaconą widownię, młodzież krytyczną. Pokazał, jak naprawdę wygląda przestępstwo z art. 207, więc oskarżają go o sadyzm i pornografię przemocy chłopcy i panny, które dotąd myślały, że przemoc jest wtedy, jak się usłyszy na siłowni od byczka komplement: „Ma pani fenomenalnie zgrabne pośladki". Niestety, bohaterka Smarzowskiego nie uwłasnowolnia się nawet poprzez zabójstwo oprawcy – dzisiejsza Judyta idzie do więzienia, zamienia więc jedną opresję na drugą, szczęśliwego zakończenia tradycyjnie u reżysera brak. ■

eprasa.pl 740ab42e27

Papszun na wydaniu, Legia w kryzysie

Polski czwartek w europejskich pucharach

Wojciech Kuczok

Papszuniada trwa w najlepsze. Przybliżmy postać, wokół której rozkręciła się właśnie najgorętsza od lat telenowela piłkarska w Polsce. Marek Papszun jest urodzonym warszawiakiem. Z wykształcenia historyk, do 2016 r. był nauczycielem i wuefistą, przy okazji trenował w niższych klasach rozgrywkowych kluby z podwarszawskich miejscowości, Legionovię prowadził nawet w sezonie zakończonym awansem do II ligi. Wiosną 2016 r. właściciel Rakowa Michał Świerczewski, twórca i założyciel sieci sklepów komputerowych, na której dorobił się miliardów, zaprosił Papszuna na rozmowę kwalifikacyjną, która wedle wspomnień szkoleniowca trwała… osiem godzin, a przysłuchiwała się jej w milczeniu psycholożka, prywatnie partnerka Świerczewskiego. Trener przedstawił szczegółowo swoje plany i został przyjęty do roboty, ale wcześniej na wszelki wypadek wziął bezpłatny urlop ze szkoły.

Początek miał kiepski, zaczął od kilku porażek, nie wykonał doraźnego zadania i mimo przejęcia drużyny walczącej o awans do wyższej ligi znalazł się poza miejscem barażowym. Świerczewski wykazał się cierpliwością, dzięki czemu zaczęła się bezprecedensowa, najdłuższa kadencja klubowa w Ekstraklasie – z jednym sezonem przerwy na odpoczynek Papszun jest w Rakowie do dzisiaj (stan na 28 listopada). Gdyby został w Częstochowie, za pół roku mógłby świętować dziesięciolecie rozpoczęcia projektu marzeń: potęgi Rakowa, którą zbudował od podstaw. W ciągu siedmiu lat przeszedł z klubem drogę od trzeciej klasy rozgrywkowej na szczyt, zdobył mistrzostwo Polski i… wziął sobie wolne.

Miał nadzieję na pracę w reprezentacji Polski, ale prezes Kulesza ostatecznie zdecydował się na Michała Probierza – jak wiemy, z fatalnym skutkiem. Raków przejął na rok Dawid Szwarga, asystent Papszuna, i wszystko się posypało: drużyna odpadła z Ligi Europy po fatalnej grze i porażce z Atalantą, zajęła w Ekstraklasie dopiero siódme miejsce i groziło jej popadnięcie w przeciętność. Marek Papszun jednak wrócił i z marszu sięgnął po wicemistrzostwo, przy czym jego drużyna walczyła o tytuł z Lechem do samego końca.

Polski i niemal pewnej awansu do wiosennej fazy rozgrywek Ligi Konferencji naraża na szwank swoją legendę i chce odejść do ekipy, która ma ledwie dwa punkty przewagi nad strefą spadkową i będzie jej szalenie trudno nie odpaść z europejskich rozgrywek już w grudniu? Bo Papszun Legię kocha i chce jej pomóc w potrzebie. I tutaj pojawia się zasadnicza różnica perspektyw: prezes Mioduski myśli, że magiczną moc ma samo logo klubu z Łazienkowskiej, wystarczy pstryknąć palcami i każdy przyjedzie do Warszawy jak do Ziemi Obiecanej, aby podpisać lukratywny kontrakt. Tymczasem jedyną motywacją Papszuna zdaje się stara, nierdzewna miłość do klubu, któremu kibicuje od dziecka. A który ktoś musi uratować przed historycznym spadkiem.

W Legii każdy się szarogęsi, chce być ważny i ma coś do powiedzenia, a Papszun to trener apodyktyczny.

Dorobek ekstraklasowy Papszuna w Rakowie jest imponujący: w ciągu pięciu sezonów zdobył mistrzostwo Polski, trzy wicemistrzostwa, dwa puchary Polski i dwa superpuchary. Żadnych pustych przelotów, poza debiutanckim sezonem, gdzie Raków jako beniaminek po prostu spokojnie się utrzymał. Trener został także trzykrotnie z rzędu nagrodzony przez tygodnik „Piłka Nożna" tytułem szkoleniowca roku. Prezesowi Świerczewskiemu pieniędzy nie brakuje, każdą propozycję finansową może skontrować, a swojego coacha nie zamierza nikomu oddawać – kiedy Papszun ogłosił, że chce być trenerem Legii, szef natychmiast go zgasił ripostą: „Chcieć to połowa sukcesu, trzeba jeszcze móc".

Nasuwa się pytanie, po co trener drużyny walczącej o mistrzostwo

Legia to podstarzała, wygasła gwiazda, wciąż przekonana o własnej wielkości i nieświadoma, że świat jej uciekł. Tam potrzeba wiernego kamerdynera, który będzie podtrzymywał jej złudzenia, jak Erich von Stroheim wobec Glorii Swanson w genialnym Wilderowskim „Bulwarze Zachodzącego Słońca". Tylko że Papszun może przynieść Rzeczywistość, to zderzenie Realnego z Wyobrażonym, na które Legia nie jest gotowa.

Obawiam się, że on tam nie zafunkcjonuje, mając nad sobą trzech etatowych doradców – dwóch dyrektorów sportowych, Michała Żewłakowa i Frediego Bobica, oraz szarą eminencję w postaci Jacka

eprasa.pl 740ab42e27

Marek Papszun podczas meczu Sparty Praga z Rakowem Częstochowa w rozgrywkach Ligi Konferencji. Praga, 6 listopada 2025 r.

Zielińskiego. W Legii każdy się szarogęsi, chce być ważny i ma coś do powiedzenia, a Papszun to trener apodyktyczny – dotąd funkcjonował wyłącznie w warunkach władzy absolutnej. Właściciel Rakowa wszystko podporządkowywał jego pomysłom, to Papszun decydował o transferach, a także o ich braku (wygrana późnym latem walka z norweskim napastnikiem Brunesem, który bardzo chciał odejść).

W czwartek Raków zagrał z Rapidem Wiedeń w Lidze Konferencji i jakoś jednak obyło się bez wrogich przyśpiewek pod adresem szkoleniowca. Kibole rozwinęli tylko chałupniczo wykonaną flagę, czyli wypisany flamastrami na prześcieradle wierszyk: „Raków podał ci rękę, kiedy sprawdzałeś klasówki, teraz jak Judasz chcesz się sprzedać za złotówki" – rym się zgadza, waluta już niekoniecznie, ale co tam. Widać, że to potępienie sporządzono naprędce i bez przekonania, ostatnie litery ledwie się zmieściły ciasno upchane. Mnie to nawet wzruszyło w swojej nieudolności, przypomniałem sobie, jak moja samotna cioteczka przywiesiła kiedyś na drzwiach piwnicy kartkę z napisem: „Uwaga, monitorink! Złodzieju, pamiętaj, że Bóg cię pokarze".

A Raków w przenikliwym zimnie na sosnowieckiej arenie zagrał, jakby chciał dowieść, że romanse trenera nic go nie obchodzą – był o klasę lepszy od wiedeńczyków, już po niecałej godzinie gry prowadził czterema golami i mógł zwolnić, aby spokojnie kontrolować mecz i dowieźć wygraną. Bohaterem wieczoru został Lamine Diaby-Fadiga, napastnik z olbrzymim potencjałem, błyskotliwy technik, który jednak pod opieką Adriana Siemieńca w Jagiellonii był bardzo chimeryczny i nie rozwinął skrzydeł. Papszun go ściągnął i „naprostował" – z Rapidem Francuz zaimponował spokojem przy pierwszych dwóch golach, a refleksem i dynamiką przy trzecim.

Przez pierwsze pół godziny wyglądało na to, że Medaliki znowu będą „męczyły bułę", aby przepchnąć nikłe zwycięstwo w końcówce, ale po pierwszym golu się rozkręciły. To wciąż drużyna oparta na żelaznej defensywie, nadzwyczaj skuteczna w destrukcji, ale o sile Rakowa świadczy też długa ławka – dopiero pod koniec meczu Papszun wpuścił kapitana naszej rewelacyjnej młodzieżówki Tomasza Pieńkę i wieloletnią gwiazdę Rakowa Iviego Lópeza, a kiedy filar defensywy Fran Tudor profilaktycznie został zdjęty w przerwie z powodu zgłoszonego bólu mięśniowego, jego zmiennik nie obniżył jakości drużyny. Owszem, Rapid jest tej jesieni najgorszą drużyną Ligi Konferencji, ale to wciąż firma, która w lidze austriackiej ustępuje tylko o punkt liderującemu Salzburgowi – nie posiadam się z radości, że dożyłem czasów, gdy silny klub austriacki przyjeżdża do Polski dwukrotnie w ciągu kilku tygodni i oba mecze przegrywa trzema golami (najpierw z Lechem, teraz z Rakowem).

Legia zaś zapada się w głębokim kryzysie, przegrała kolejny mecz, tym razem u siebie ze Spartą Praga, a kibice tak do jej nędzy przywykli, że już im nawet bluzgać się nie chce, po prostu wychodzą tłumnie przed końcem. Legioniści piłkarsko wyglądają katastrofalnie, wizerunkowo jeszcze gorzej: kibolstwo chóralnie zachęcało obecnego w loży VIP prezydenta Nawrockiego do wspólnego odśpiewania antybanderowskich i antykomunistycznych wulgarnych przyśpiewek, a w sektorze rodzinnym gościł antysemita Braun pod rękę z mordercą Walusiem – obaj oczywiście witani entuzjastycznie przez stołecznych psychopatriotów. Żenada i smród, tyle na razie o Legii, której zaiste przydałby się jakiś Herakles do posprzątania stajni.

Lech Poznań wygrał z Lozanną mecz, w którym był drużyną słabszą, wygrał dzięki furze szczęścia i przytomności ofensywnych zmienników, dzięki czemu w kwestii awansu do dalszej fazy rozgrywek pozostaje nie bez szans. Rozpaczliwa obrona przez większą część gry przeciw bardzo przeciętnej ekipie szwajcarskiej chluby nie przynosi, ale wynik cieszy, a zwycięzców ponoć się nie sądzi.

Przymknijmy więc oko także na mecz Jagiellonii, która nader oszczędnie się prezentuje w bieżącej edycji europejskich rozgrywek: wygrała minimalnie z mistrzem Finlandii, uciułała już w sumie osiem punktów i raczej może być spokojna o awans, pomimo dwóch skrajnie trudnych wyzwań grudniowych: zbliżających się meczów z Rayo Vallecano i AZ Alkmaar.

Nadal nasze drużyny mogą awansować w komplecie do fazy pucharowej, ale najprawdopodobniej wszystkie będą musiały się bić o wyższe cele już w lutym, na etapie jednej szesnastej Ligi Konferencji.

■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl 740ab42e27

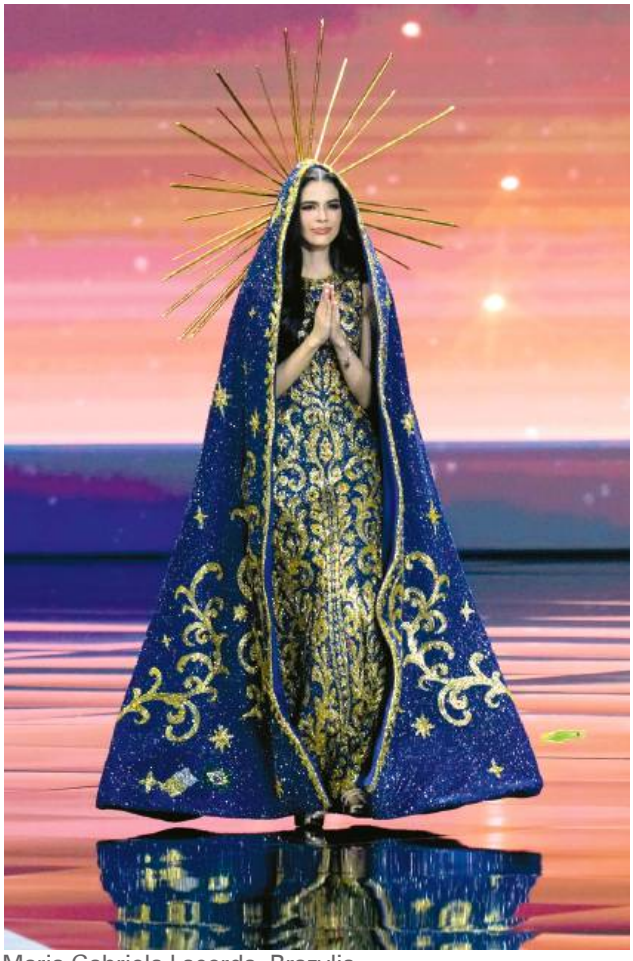
Maria Gabriela Lacerda, Brazylia

Vanessa Pulgarín, Kolumbia

MISS UNIVERSE

Sabrina Maged, Egipt

Stephany Abasali, Wenezuela

eprasa.pl 740ab42e27

Chandini Baljor, Gujana

Nathalie Yasmin, Holandia

21 listopada po raz 74. odbyły się wybory Miss Universe. Wzięło w nich udział 120 kandydatek z całego świata. Konkurs wygrała Meksykanka Fátima Bosch, absolwentka wydziału mody i projektowania na stołecznym uniwersytecie. Jak co roku najbardziej widowiskowy był pokaz w strojach narodowych.

Brigitta Schaback, Estonia

FOT. AP/EAST NEWS (4), AFP/EAST NEWS (3), MISS POLONIA.

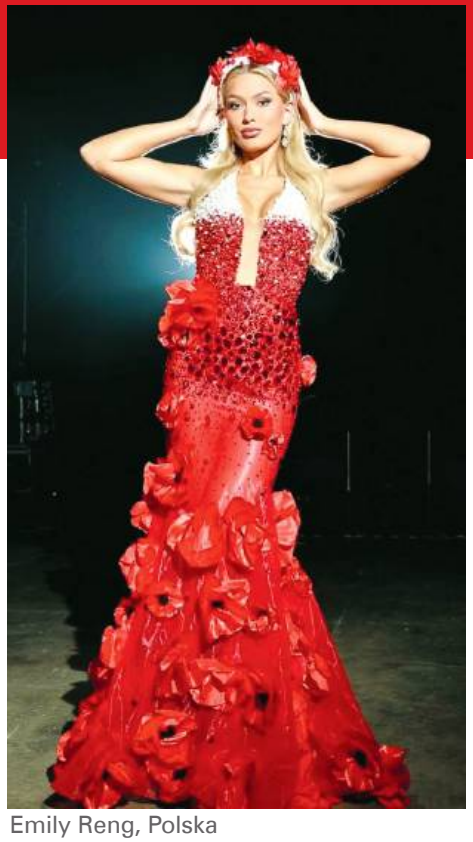

Emily Reng, Polska

eprasa.pl 740ab42e27

JOLKA

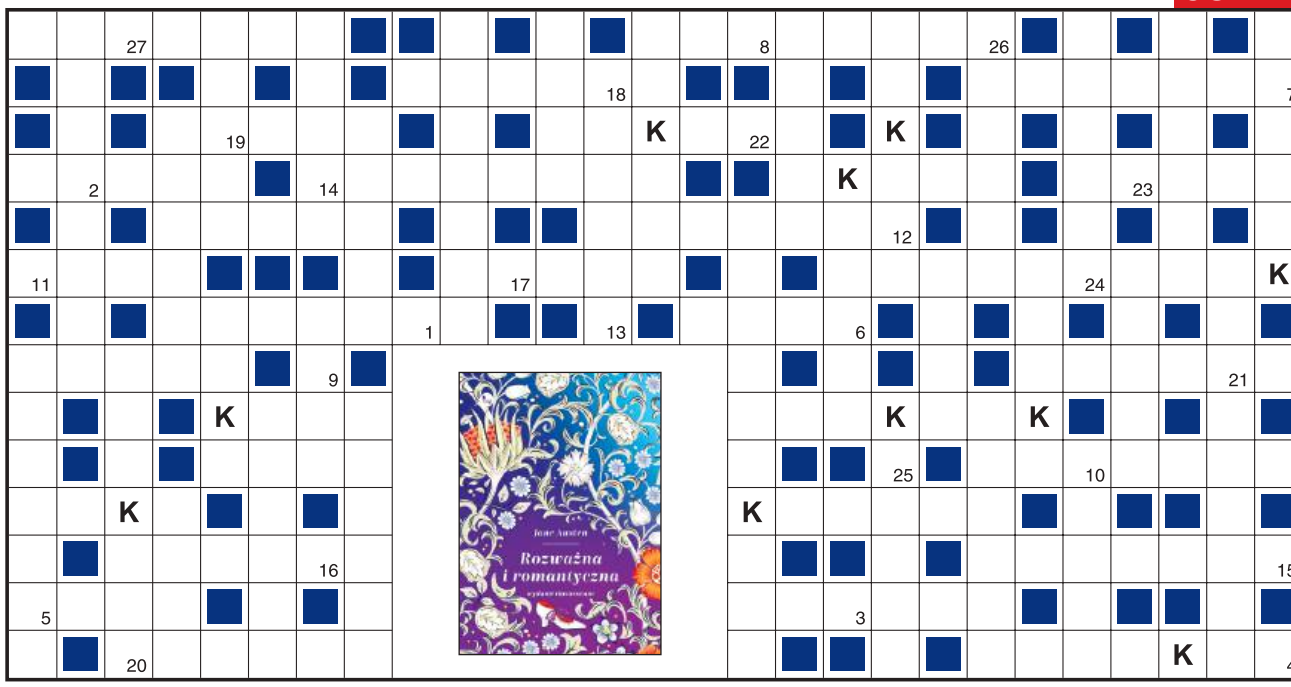

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- zdrobnione do Dodka imię aktora
- pingwin Kokosanka z gdańskiego zoo
- imię żony Konrada Wallenroda
- krzywonosa wśród ptaków morskich
- góry, które przekroczył Hannibal
- ironicznie o adoratorze, kochanku
- „Der Hölle Rache" Królowej Nocy
- turyści nim jadą
- na mur… – na pewno
- oceniany w winie
- Górnicza albo las
- pozwala wyeksponować i kolię, i biust
- Piebiak do Małej Emi: za jego czynienie nie wsadzamy
- Blaszany z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz"
- prowadzenie piłki ze zwodami
- „…grzechu" Żeromskiego
- kraj raj, kraina bogactw
- wybrany, ale urzędu jeszcze nie objął
- „...Pérez", musical Audiarda
- szara – dużo może
- ku czci tego świętego gonitwy z bykami
- handlowa, wojenna lub pojazdy w firmie
- przegrał z Dawidem
- solidny łyk, wdech
- wyłapują bezpańskie psy
- ojciec Arachne
- epos o bitwie pod Troją
- forma rozliczeń bezgotówkowych
- uczy narciarstwa, pływania
- ma wyższe wykształcenie techniczne
- zdradził za 30 srebrników
- kolor jaskrawoczerwony
- karciane czerwone serduszko
- dawny składzik, spiżarnia
- lekceważąco o słabym piłkarzu
- miasto w sąsiedztwie Słowińskiego Parku Narodowego
- modlitewny lub do kawy, pieprzu
- drobne domowe – coś dla złotej rączki
- przyjęcie sygnału
- partyzantów, komandosów, wartowniczy
- pasiastonogi krewniak żyrafy
- damski kostium plażowy
- Hammonda lub anielskie z kieliszków
- biegnie wzdłuż tkaniny
- choroba z serialu „Czarna śmierć"
- zarośnięta wyspa rzeczna
- dwupoziomowy autobus
- grupa osób pełniących straż
- prawa – zaufany pomocnik
- zawody kowbojów
- początek szpagatu
- trucizna z rącznika pospolitego
- koszyczek ostu lub łopianu
- z marchwią, pietruszką i porem w pęczku włoszczyzny
- zwada, zatarg
- daje sygnał do rozpoczęcia zawodów
- lamenty, płacze, biadolenia
- powściągliwość, złoty środek
- splot z trzech pasm włosów
- wezwanie na wyprawę wojenną
- pik inaczej
- Emiliano, meksykański rewolucjonista

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1250". Do rozlosowania książki „Rozważna i romantyczna" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 grudnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1247" z nr. 46: *Szczery wzroku nie ukrywa.*

Nagrody otrzymują: Anna Dymalska z Wrocławia, Stefan Szymski z Rymanowa, Włodzimierz Zdanowicz z Wrocławia, a także laureat JOLKI-1246 Teodor Makowski z Gdyni i laureat JOLKI-1244 Zbigniew Grzegorzewski ze Śremu.

eprasa.pl 740ab42e27

Boskie Buenos Aires

Jest spore grono ludzi z pogranicza PO i prawicy, które dobrze dziś funkcjonuje. Radosław Sikorski był przecież ministrem obrony w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. W tym samym rządzie wiceministrem spraw zagranicznych był Paweł Kowal, obecny przewodniczący Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Powołanie Jana Stanisława Ciechanowskiego na stanowisko ambasadora RP w Argentynie jest więc w tym gronie oczywiste. Mówił to zresztą Kowal: że zna Ciechanowskiego od wielu lat, szanuje go, nie spodziewał się, że wybierze on karierę dyplomatyczną, ale jest z tego zadowolony.

A skąd go zna? Ciechanowski całe życie funkcjonował na pograniczu nauki i polityki. Jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, ale nie dlatego Kowal i inni decydenci go znają.

Kowal może go pamiętać z czasów, gdy Ciechanowski zaczynał karierę, jeszcze w kancelarii premiera Jerzego Buzka. Albo gdy był zastępcą dyrektora sekretariatu pierwszego prezesa IPN Leona Kieresa. Ale pewnie pamięta go z okresu trochę późniejszego. Otóż gdy Kowal był sekretarzem stanu w MSZ, Ciechanowski był doradcą kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Potem awansował na wiceszefa tej instytucji, później, po śmierci w katastrofie smoleńskiej Janusza Krupskiego, został p.o. kierownikiem, by wreszcie, w roku 2013, zostać pełnym szefem urzędu. Do stycznia 2016 r.

W czasach PiS Ciechanowski został odsunięty od stanowisk państwowych, mógł więc napisać habilitację i wykorzystywać granty w zakresie badań nad historią stosunków polsko-hiszpańskich. A teraz wraca do pracy rządowej.

Co ciekawe, jego kandydatura została uzgodniona już wiosną. Andrzej Duda, gdy był prezydentem, zgodził się podpisać Ciechanowskiemu nominację ambasadorską. Tak w każdym razie twierdzi wiceminister Władysław Teofil Bartoszewski. Rzecz w tym, że Dudy już nie ma, a jest Nawrocki. Czy nowy prezydent będzie się czuł zobligowany tym zobowiązaniem?

Jest jeszcze inne pytanie: co minister Sikorski chce osiągnąć, wysyłając Ciechanowskiego do Argentyny? Były minister – to brzmi dobrze, można też mieć nadzieję, że nowy ambasador szybko znajdzie wspólny język z Polonią. Ale co poza tym? Jak należy traktować jego wyjazd?

W początkach III RP i w początkach drugiego rządu PiS, za Witolda Waszczykowskiego, na stanowiska ambasadorów wysyłano profesorów, wierząc, że będą reprezentować Polskę lepiej niż zawodowi dyplomaci, którym nie ufano. To miał być etap przejściowy – aż wykrystalizują się nowe kadry. Ale przecież to nie ten czas. I w MSZ, które zatrudnia kilka razy więcej urzędników niż w czasach Skubiszewskiego, dyplomatów godnych awansu nie powinno chyba brakować…

Potraktujmy więc Ciechanowskiego jako polityka i urzędnika, bo przecież takim przez wiele lat był. Warto zadać proste pytania. Czy zamierza rozwijać się w służbie dyplomatycznej i po powrocie z Buenos Aires (a będzie miał wówczas 55-56 lat) będzie szukał pracy w centrali MSZ? Czy po prostu wróci do zajęć na uniwersytecie?

Gratulujemy panu Ciechanowskiemu nowej, ciekawej pracy. Życzymy mu, by nie przeżywał katuszy, tak jak bohater filmu Krzysztofa Zanussiego „Persona non grata". W sumie to przecież fajny wyjazd. I fajna synekura.

Attaché

Ceremonia zapalenia płomienia olimpijskiego Zimowych Igrzysk Mediolan-Cortina 2026. Grecka aktorka Mary Mina przekazuje ogień pierwszemu niosącemu pochodnię, wioślarzowi Petrosowi Gaidatzisowi. Muzeum Archeologiczne w Olimpii, 26 listopada 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 740ab42e27

PENETRACJE

AGNIESZKA HOLLAND,
REŻYSERKA

Świat, w którym żyjemy – sto lat po Kafce – niepokojąco przypomina rzeczywistość, w której prawa jednostki liczą się coraz mniej, a system znajduje coraz więcej uzasadnień, by ograniczać nasze wolności – najczęściej w imię bezpieczeństwa i innych pięknych słów, pod którymi kryje się potrzeba kontroli i władzy. Świat sztucznej inteligencji to kolejne niebezpieczeństwo, które marginalizuje człowieka i jego potrzeby. (...) Film coraz mniej jest sztuką, w której chodzi o ważną wypowiedź, a coraz bardziej staje się produktem, mieszczańską rozrywką tworzoną według „sprawdzonych" formatów. Tworzenie czegoś takiego by mnie nie pociągało.

DOMINIK KSIĘSKI,
REDAKTOR NACZELNY I WŁAŚCICIEL TYGODNIKA „PAŁUKI"

Obecnie słowo „obiektywnie" oznacza „tak, jak ja uważam". Artykuł jest obiektywny, jeśli jest zgodny z punktem widzenia czytelnika. Jeśli przedstawisz w nim inny punkt widzenia, tekst jest zły, subiektywny. Mam wrażenie, że jeśli chodzi o kwestię komunikacji społecznej, świat się cofnął chyba do czasów wieży Babel. Ludzie mają pomieszane języki, nie rozumieją się wzajemnie. Tak było zawsze, bo np. petent nie rozumiał się z urzędnikiem. Ale w dawnych czasach ten petent przychodził do redakcji. A my w gazecie potrafiliśmy te dwa języki sprowadzić do wspólnego mianownika i w artykule była publikowana ugoda społeczna. Okazywało się, że rację ma petent, ale troszkę racji ma też urząd, bo trzyma się swoich procedur. My tłumaczyliśmy z jednego języka na drugi. A teraz już nie ma ochoty na uzgadnianie pojęć, tłumaczenie języków i dochodzenie do zgody. Wszyscy chcą krzyczeć, co mają do powiedzenia, i nie chcą słyszeć drugiej strony. Powstała kultura walki i wojny, a nie kultura budowania i zgody.

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI,
HISTORYK I PUBLICYSTA

Wszystkie krakowskie loże posiadają profile na portalu społecznościowym Facebook, gdzie każdy zainteresowany może znaleźć bieżące informacje o ich działalności, a trzy mają strony internetowe, tj. „Przesąd Zwyciężony" https://przesadzwyciezony.pl; „Semper in Altum" http://semperinaltum.pl; oraz „Gabriel Narutowicz" https://gabrielnarutowicz.org/. Wolnomularstwo w Krakowie nigdy nie było bardzo silne, jednak trzeba stwierdzić z całą mocą, że zrzeszało i nadal zrzesza wiele znaczących postaci, odgrywających istotną rolę zarówno w samym mieście, jak i w kraju.

WOJCIECH SZCZĘSNY,
PIŁKARZ

Miałem z ojcem kontakt, gdy Marina zaprosiła go na nasz ślub. Przyjechał. Potem jeszcze może dwa razy rozmawialiśmy przez telefon. To tyle. Niestety, mam poczucie, że ten kontakt nie był bezinteresowny. A potem doszedłem do wniosku, że ta relacja wygląda lepiej... gdy jej po prostu nie ma. Rodzina, którą ja sam zbudowałem, jest zdrowsza bez Macieja Szczęsnego. Chciałem uchronić swoje dzieci przed niektórymi zachowaniami i emocjami, na jakie byłyby narażone, gdyby mój ojciec w tej rodzinie był.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (3)

eprasa.pl 740ab42e27

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* włoska lub czerwona — A A K P T U
* rozwiązywana — A A A D K Z
* ważny w sztabie — A E E G Ł N
* ruchome łóżeczko — A K Ł O S Y

G S K R

ROZWIĄZANIA: KAPUSTA, ZAGADKA, GENERAŁ, KOŁYSKA

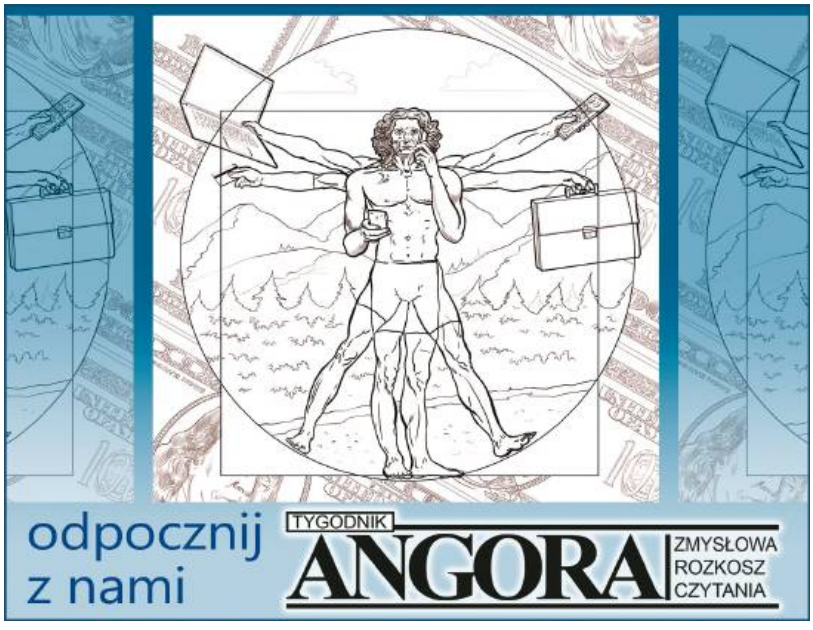

Aby język giętki...

BRONISŁAW KOMOROWSKI O KAROLU NAWROCKIM

Jest to kiepski czas dla Polski. Prezydent chce występować w roli totalnej opozycji wobec koalicji i rządu.

DANIEL OLBRYCHSKI O PEWNOŚCI SIEBIE

Pyszny nie byłem nigdy. Ale aktor bez pewności siebie zagra Hamleta tak, że widownia zażąda zwrotu pieniędzy.

PROF. JERZY HAUSNER O NOWYM UKŁADZIE

W Stanach Zjednoczonych wyrósł system kapitalizmu oligarchicznego, który idzie w parze z władzą autorytarną.

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Jego podejście do zwierząt jest absolutnie infantylne, co nie przystoi człowiekowi, który chce się uważać za męża stanu.

ADAM MAŁYSZ O RADOSŁAWIE PIESIEWICZU

Razi sytuacja, że jesteśmy odcięci od tego, co się dzieje w PKOl. Nie ma między nami żadnej współpracy.

PAWEŁ SOŁTYS O NARRACJI NACJONALISTYCZNEJ

Naprawdę trudno mi zrozumieć tych, co wierzą, że zbiorowo pochodzimy od jakiegoś Piasta Kołodzieja.

MAJA OSTASZEWSKA O POCZUCIU HUMORU

Śmiech jest wentylem, daje dystans, oddech. Humor chroni nas też przed nabzdyczeniem.

KINGA DĘBSKA O KOMPLEKSACH

Dotarło do mnie, że kompleksy nie mają sensu. Lepiej nosić głowę wysoko, zamiast się kulić.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLNE ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 740ab42e27

Dom dzienny, dom nocny

Ksenia Gryckiewicz

Agata Kus

Wystawa oparta na prywatnej kolekcji Radosława Kotarskiego ukazuje bogactwo współczesnej sztuki – od metaforycznych wizji po ujęcia bardziej dosłowne. To zaproszenie do zastanowienia się, czym jest dom, gdy zewnętrzny świat milknie, a człowiek zostaje sam ze sobą. Bo dom rozumiany jest tu nie tylko jako fizyczna przestrzeń, lecz także jako wewnętrzny obszar, w którym przechowujemy emocje, lęki i wspomnienia. Bezpieczne miejsce, ale też arena wewnętrznych zmagań, konfrontacji z własnymi niepokojami. Artyści prezentują dom jako strukturę pulsującą relacjami, napięciami i codziennymi rytuałami, gdzie noc miesza się z dniem, a realność z tym, co oniryczne. Ich prace tworzą wielogłosową opowieść o doświadczeniu życia „tu i tam", w przestrzeni materialnej i duchowej.

Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK
ul. Lipowa 4
do 15 lutego

Aleksandra Waliszewska

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

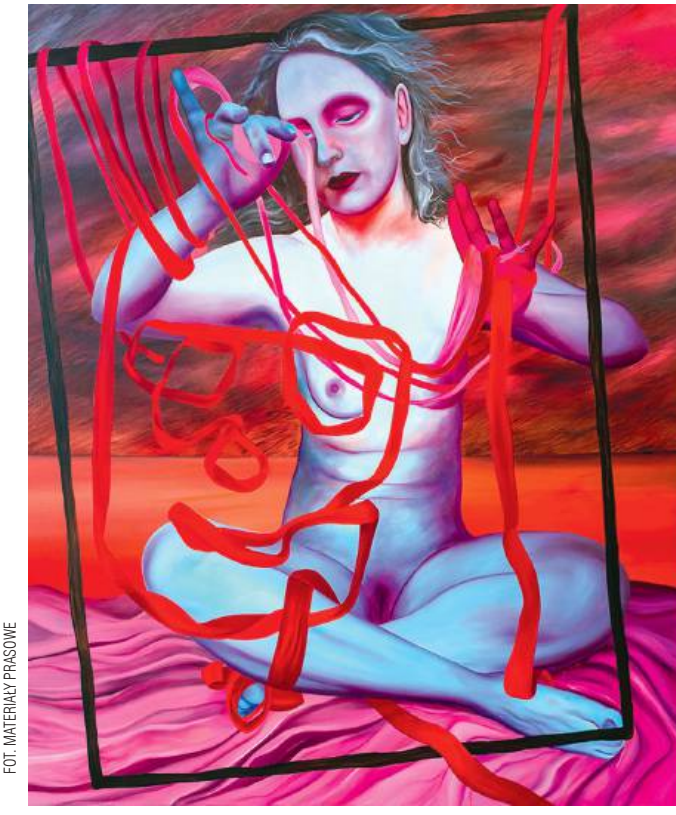
Paulina Stasik

eprasa.pl 740ab42e27

TEATR CAPITOL

Sylwester 2025/2026

PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu
i reżyseria
OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

Kuba **DMOCHOWSKI** Pola **GONCIARZ** Justyna **JELEŃ**
Olaf **LUBASZENKO** Krzysztof **WIESZCZEK**

NOWOŚĆ

środa, 31 grudnia godz. 17:00 i 21:00
Przywitaj Nowy Rok razem z nami!

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl/sylwester

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 740ab42e27

FILMING ITALY VENICE AWARD
NAJLEPSZY REŻYSER KOMEDIOWY

WŁOSKIE STOWARZYSZENIE KRYTYKÓW FILMOWYCH
NAJLEPSZA KOMEDIA I AKTORKA KOMEDIOWA

AJACCIO ITALIAN FILM FESTIVAL
NAGRODA PUBLICZNOŚCI PRIX SERGE LECA

W INNYM ŚWIECIE

reżyseria **RICCARDO MILANI**

WŁOSKA WERSJA
„LUNANY. SZKOŁY NA KOŃCU ŚWIATA"

Direzione Generale CINEMA e AUDIOVISIVO MiC

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD **5 GRUDNIA**

With the support of the Film Distribution Fund of the Italian Ministry of Culture (MiC) in collaboration with Cinecittà

eprasa.pl 740ab42e27